CZAS NA DŁUGI WEEKEND ▪ Deal Trumpa z Putinem ▪ Kto zarabia na samotnych
Matka Boska Niepolska ▪ Psychoterapeuta, czyli kto ▪ My, dzieci Neostrady

Kraków 13 – 19 sierpnia 2025 nr 33 (3971) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

ARKADIUSZ JAKUBIK

Jak zbudować dom dobry

NADZIEJA RADYKALNA

EKSTRA STRONY PRZED FESTIWALEM CONRADA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl d5d3d790f7

junior-angin

CUD MIÓD NA GARDŁO

Szukasz sposobu na problemy z gardłem dla całej rodziny? Wypróbuj nowy spray do gardła junior-angin.

- Unikalna wśród sprayów receptura oparta na miodzie*
- Zapewnia natychmiastową ulgę w bólu gardła[1]
- Koi chrypkę
- Łagodzi suchy kaszel

Dla dzieci od 3. r. ż. i dorosłych

Podłużna dysza ułatwia aplikację i wprowadzenie nawet do trudno dostępnych miejsc w gardle

Pyszny wiśniowy smak

Łatwa i precyzyjna aplikacja

Junior-angin spray do gardła, o smaku wiśniowym, wyrób medyczny, 20 ml JUN.2025.08.01

Skład: Polysac-Active™ (miód EU), woda, chlorek sodu, sorbinian potasu, ekstrakt z chrząstnicy kędzierzawej, aromat wiśniowy, kwas cytrynowy. **Zastosowanie:** junior-angin spray do gardła łagodzi kaszel i ból gardła. **Sposób użycia:** może być stosowany przez osoby dorosłe i dzieci powyżej 3 roku życia. W przypadku dzieci spray należy podawać pod nadzorem osoby dorosłej. Należy spryskać bezpośrednio tylną część gardła. Spryskiwać gardło 2 do 3 razy co 3 godziny lub w zależności od potrzeb. **Przeciwwskazania:** 1. nadwrażliwość na którykolwiek ze składników preparatu, 2. jeśli kaszel jest spowodowany przewlekłym zapaleniem oskrzeli, astmą, rozedmą płuc, przewlekłą obturacyjną chorobą płuc (POChP) lub 3. jeśli podczas kaszlu produkowane są duże ilości śluzu; 4. jeśli przewlekły lub nawracający kaszel spowodowany jest zgagą lub rozstrojem żołądka. **Podmiot odpowiedzialny:** M.C.M Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. **Producent:** Medical Brands Development B.V.

*Stan na dzień 25.02.2025 r.

1. Badanie "Post Market Surveillance survey on safety and efficacy of Cough Treatment, 2016" przeprowadzone na zlecenie Medical Brands Nederland

REKLAMA

To jest wyrób medyczny. Dla bezpieczeństwa używaj go zgodnie z instrukcją lub etykietą.

KS. ADAM

Boniecki: *Matka wszystkich cudów*

Tak niewiele jest w Ewangelii o Matce Jezusa. Czytamy stronicę za stronicą, gdzie nie ma o Niej wzmianki, potem nagle się pojawia i znów znika... Długo o Niej prawie nie pisano ani nie mówiono. W początkach historii chrześcijaństwa Jej obecność jest bardzo skąpa. Potem jednak się nasila i obrasta w cudowności. Oczywiście, jak to zwykle bywa, fakty mieszają się z opowieściami dobudowanymi przez nabożną pamięć ludzi.

Weźmy wszystkie opowieści o cudach, o Jej zjawieniach się, o niezliczonych źródłach, które wytrysły za jej sprawą z jałowej ziemi, o słowach Jej przypisywanych, cudownych uzdrowieniach i pociechach, którymi krzepiła umierających i ochraniała ludzi w niebezpieczeństwach. Wymysły? Zmyślenia? Wiara w obecność Matki Jezusa jest zjawiskiem tak szerokim, tak dziwnym, tak zniewalającym, że wszelkie racjonalne eksplikacje bledną. „Ciemny lud" widzi jasno.

Jest oczywiście mariologia, gałąź teologii, ale jest i wiara wsparta eksperymentem własnych doświadczeń, która swoje wie i nic jej nie jest w stanie zachwiać. Nie jest to jakiś jeden czy drugi przypadek – jest ich nieskończenie wiele. Oczywiście, powstaje też gąszcz opowieści, bajek wymyślanych przez ludzi.

Jest też mnóstwo niewysłuchanych próśb, zawiedzionych nadziei. Dlaczego? Nie potrafię odpowiedzieć. Człowiek wierzący czasem pyta w głębi duszy, dlaczego jego prośby okazały się daremne, podczas gdy prośby innych zostały wysłuchane. Mówi się więc, że nabożeństwo do Matki Boskiej bywa magiczne, że bardziej przypomina czary niż modlitwę. Nie wiem, może i tak bywa, choć nie śmiem tu twierdzić czegokolwiek. Religijność, praktyki religijne, trzeba oceniać bardzo ostrożnie. Jeżeli modlitwa jest jakąś formą obcowania z Bogiem, to należy tu być bardzo delikatnym. Te same słowa mogą być podejściem magicznym i prawdziwą modlitwą. Fakt, że wypraszano u Boga wręcz cudowne łaski, skłania do powściągliwości w wygłaszaniu ocen.

15 sierpnia, święto Wniebowzięcia Matki Boskiej wydaje się dziś o tyle dobrze ulokowane w wierze Kościoła, że nie budzi ani protestów, ani specjalnego entuzjazmu. Sprawa grobu Maryi, czy jego braku, nie jest czymś, co by budziło kontrowersje. Papież uznał, że Maryja była z ciałem wzięta do nieba – my się przekonamy, kiedy tam się znajdziemy. Dla wiernych znacznie ważniejsza od Wniebowzięcia jest jednak obecność Matki Jezusa w ich sprawach. Wiara w Jej troskliwość wobec ludzi na ziemi jest bardzo widoczna, choć dla tych samych ludzi fakt istnienia życia po śmierci bywa problematyczny.

Jak jest po tamtej stronie, przekonamy się po śmierci. Ten moment wiary jest ciężką do uchwycenia ewentualnością, z drugiej jednak strony trudno nie zauważyć wszystkich sygnałów o istnieniu tego wymiaru. Liczne święta i wspomnienia Matki Boskiej w kalendarzu są zapisem tradycji. Wielkie święta tajemnic Jej życia, wspomnienie ukazania się Jej komuś, wspomnienia różnych objawień wielu ludziom, niewiele mówią, lecz lokalnie, tam, gdzie to się wydarzyło, są wspomnieniem ważnym i żywym. Obchodzone na miejscu cudownych wydarzeń święta są fascynująco żywe.

Mieszkałem przez jakiś czas w Gietrzwałdzie. Kościół, zwykle niezbyt skłonny do zatwierdzania niezwykłych zdarzeń, tu ich niezwykłość potwierdził. Bo żywe wspomnienie bywa silniejsze od legalnej aprobaty, a w końcu surowe badania świadków przekonały kościelne instancje. Nie są to prawdy wiary, można w nie więc powątpiewać. Lecz świadectwa bywają powalające. ©℗

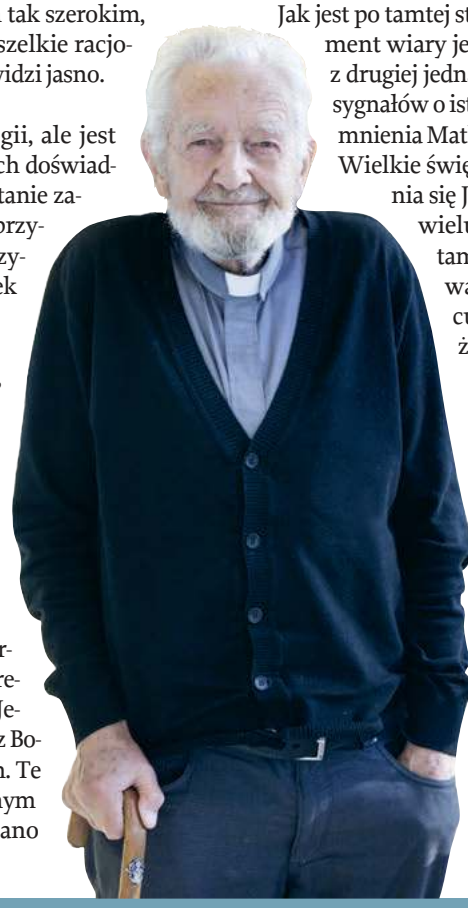

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAREK RABIJ
Renesans majsterkowania. Po pandemii tysiące Polaków uwierzyło w sens i wartość reperowania i konstruowania.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ
Najpierw pytał Czechów, jak im się żyje bez Boga. Teraz pyta Polaków, jak się modlą.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI
Opowieść o najważniejszym konfidencie Gestapo w Poznaniu. Rekonstrukcja życia postaci owianej tajemnicami.

Człowiek myślący samodzielnie to nie taki, który „ma pogląd na każdy temat” – napisał niedawno w „Tygodniku” Wojciech Bonowicz, zastrzegając, że wokół jest sporo udającej myślenie gadaniny. Mam wrażenie, że wiele publikowanych w tym numerze tekstów spełnia sformułowane przez niego kryteria myślenia samodzielnego. Były wśród nich, przypomnijmy, poczucie odpowiedzialności i samokrytycyzm, błyskotliwość idąca w parze ze zdolnością do rewizji własnego stanowiska, ale przede wszystkim: myślenie z kimś, bo „samodzielność to nie oddzielność”.

I tak np. Katarzyna Kubisiowska myśli z **ARKADIUSZEM JAKUBIKIEM**, rozmowę o przygotowaniach tego aktora do roli Jacka Kuronia prowadząc przez opowieść o relacji między Jackiem a Gają (oraz między Jakubikiem a Agnieszką Matysiak) w stronę konkluzji, że wbrew powszechnemu przekonaniu, iż z natury stoimy po ciemnej stronie mocy – człowiek jest dobry.

Przemysław Wilczyński z kolei myśli z **ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ** o tym, jak uregulować kwestie zawodów psychologa i psychoterapeuty – i zmierza do optymistycznej w sumie puenty, że z psychoterapii (przypomnijmy: procesu, w którym również myśli się z kimś) można osiągnąć pożytek w każdym wieku. Ważny kontekst tej rozmowy: cytowany przez **JAKUBA DYMKA** psycholog społeczny Nick Epley zauważa, że mamy tendencję do przeszacowania wysiłku związanego z kontaktem z innymi oraz niedoszacowania płynących z niego satysfakcji i korzyści; wydobywam z otwierającego numer tekstu tę obserwację, bo Dymek opisuje przemysł samotności, zarabiający na maksymalnym ułatwianiu nam właśnie życia w pojedynkę.

Moment nie jest łatwy – **TADEUSZ IWAŃSKI** pytający, co nam przyniesie rozmowa Trump–Putin, pokazuje to aż nadto dobitnie. Zarazem jednak twórcy zaproszeni na tegoroczny Festiwal Conrada (przedstawiamy ich w zamykającym wydanie Magazynie Conrad) dowodzą, że nawet w najtrudniejszych momentach pozostaje przestrzeń dla nadziei.

A mój ulubiony tekst numeru? **STANISŁAW ZASADA** zamiast do Santiago de Compostela wybrał się na Camino wokół jeziora Gopło. Szedł sam, ale chyba także jemu w pewnym momencie wędrówki smak wędzonego pstrąga przypomniał, że „samodzielność to nie oddzielność”. ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP”, autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

TEMAT TYGODNIKA

12 Przemysł samotności
JAKUB DYMEK
Życie w pojedynkę stało się łatwiejsze i wygodniejsze niż kiedykolwiek. Wielkie korporacje zbudowały wokół niego cały model biznesowy.

40 Matka Boska Niepolska
MONIKA BIAŁKOWSKA
Przekonanie, że ze względu na oddanie się Maryi jesteśmy wyjątkowym narodem, zawsze będzie fałszywe.

70 Wasze bezpieczeństwo, nasz kodeks
ROZMOWA Z ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ
Regulacja zawodów psychologa i psychoterapeuty jest konieczna, a przede wszystkim przyda się pacjentom.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // STEVE / ADOBE STOCK // GERARDO VIEYRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES // ARCHIWUM PRYWATNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Czas Nawrockiego
PIOTR ŚMIŁOWICZ

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ TEMAT TYGODNIKA

12 Przemysł samotności
JAKUB DYMEK

■ ■ KRAJ

18 Wakacje z edukacją
MARCIN KĘDZIERSKI:
System szkolny zaprojektowano tak, jakby wszyscy mieli zostać profesorami

22 Armia się stroi
MAREK RABIJ:
Najnowsza historia polskiego munduru wojskowego nabiera tempa – z możliwym happy endem.

25 Została tylko woda
AGNIESZKA KAMIŃSKA:
Era dorsza minęła, czas na wiatraki. Dla pracujących na Bałtyku: koło ratunkowe czy kurs na dno?

■ ■ ŚWIAT

30 Wyboista droga do normalności
KRZYSZTOF STRACHOTA:
Osiem miesięcy po obaleniu Asada Syrią targają ostre konflikty lokalne

33 W cieniu Kaukazu i winorośli
KAROL FRYTA:
Polacy w Gruzji to już nie tylko turyści, ale i pełnoprawni mieszkańcy

36 Pokolenie Zet sięga po hazard
MAŁGORZATA SIDZ: *Kasyna online i zakłady sportowe zyskują na popularności wśród młodych. Pułapki kryją się nawet w aplikacjach bankowych i w chińskich zabawkach.*

■ ■ WIARA

40 Matka Boska Niepolska
MONIKA BIAŁKOWSKA

43 Finisterra pod Mysią Wieżą
STANISŁAW ZASADA:
Moje Camino dookoła Gopła trwało cztery dni. Przeszedłem 50 km, byłem na dwóch odpustach, spałem na plebanii.

MAGAZYN CONRAD 02

75 – 90
WALDEMAR KULIGOWSKI
o ludziach nieznacznych
ROZMOWA Z WERONIKĄ MUREK
ALEKSANDRA WOJTASZEK
o literaturze wojennej
MICHAŁ SOWIŃSKI
o Auður Avy Ólafsdóttir

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
29 OLGA DRENDA
53 ELIZA KĄCKA
68 PAWEŁ BRAVO
74 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
ARKADIUSZ JAKUBIK
FOT.: BARTOSZ MACIEJEWSKI / ANYWHERE.PL

46 Opowieść bezimiennej
PAULINA MODEL:
Mrożących krew historii, przepełnionych przemocą wobec kobiet, jest w Biblii wiele.

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

50 Dzieci Neostrady
MARCIN WILKOWSKI:
Trzydzieści lat temu sieć była czystsza, a strony bardziej osobiste.

■ ■ NAUKA

54 Drugie życie
PIOTR SZYMANEK:
Co o świadomym śnieniu mówią psychologia i neuronauka?

■ ■ KULTURA

58 Kwatery miłości
ROZMOWA Z ARKADIUSZEM JAKUBIKIEM:
Jakoś nie mogę się zgodzić z powszechnym przekonaniem, że z natury stoimy po ciemnej stronie mocy. Ja uważam, że człowiek jest dobry.

62 Młodość śpiewa, młodość grzmi
PIOTR KOSIEWSKI:
Wystawa na 70. rocznicę Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie

65 Polecamy

66 Ten obcy
ANITA PIOTROWSKA *o „Człowieku słoniu" Davida Lyncha*

67 Weekend z Robinsonem
LEKTOR *o „Robinsonie Crusoe" Daniela Defoe*

■ ■ PSYCHE

70 Wasze bezpieczeństwo, nasz kodeks
ROZMOWA Z ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ WAKACYJNĄ OFERTĘ NA STRONIE 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

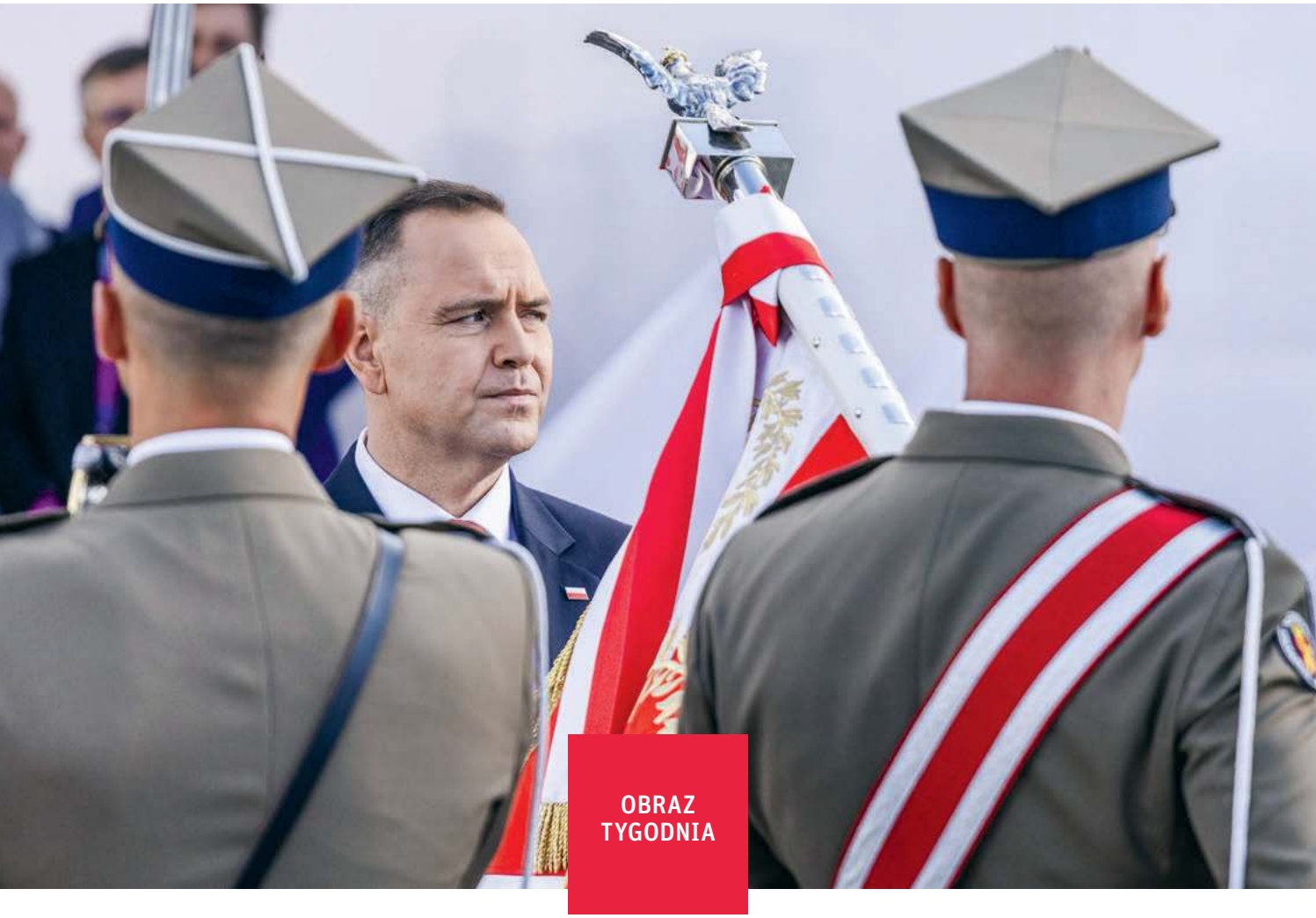

OBRAZ TYGODNIA

CZAS NAWROCKIEGO

Wiele wskazuje na to, że początek tej prezydentury to początek nowej epoki w polskiej polityce. Karol Nawrocki myśli nie tylko o rządach na prawicy, ale także o zmianie ustroju na prezydencki.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

POWYŻEJ: Uroczystość objęcia zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi przez nowego prezydenta. Warszawa, 6 sierpnia 2025 r.

Zarówno środowe zaprzysiężenie, jak i pierwsze dni prezydentury Karola Nawrockiego wyglądają jak ciąg dalszy kampanii wyborczej. Już dziś można wyciągnąć z nich wniosek, że celem nowej głowy państwa na najbliższe dwa lata jest pognębienie rządu Donalda Tuska i pomoc opozycji w sukcesie wyborczym w 2027 roku.

PLAN 21 | Podczas pierwszych dni prezydentury Nawrocki zdążył już zaprezentować dwa projekty ustaw, nawiązujące do jego kampanijnego „Planu 21". Chodzi o projekt przywracający kształt Centralnego Portu Komunikacyjnego z czasów rządów PiS, a także propozycję zwolnienia z podatków dochodowych małżeństw z co najmniej dwójką dzieci.

Oba pomysły, zwłaszcza drugi, byłyby trudne do udźwignięcia dla budżetu. Ale Nawrockiego to nie martwi, nawet jeśli zarazem piętnuje rząd za nadmierne zadłużenie. On wie, że ustawy w tym kształcie nie wejdą w życie, a swoją taktyką chce osiągnąć dwa cele: pokazać, że rząd Tuska nie jest prospołeczny, i zdjąć z siebie odium „hamulcowego", gdyby obecna większość zdecydowała się zasypywać go ustawami, które musiałby wetować.

Zresztą „Plan 21" to generalnie zbiór ogólnosłusznych haseł, pod większością których mógłby się podpisać także rząd. Wyraźne różnice z gabinetem Tuska to zapowiedź sprzeciwu wobec „ideologizacji" szkoły, a także kategoryczne weto wobec Zielonego Ładu i euro w Polsce – czego zresztą obecna większość nie planuje forsować.

BÓJ O SPRAWIEDLIWOŚĆ | Zasadniczy konflikt nowego prezydenta z rządem toczyć się będzie na innych polach. Zwłaszcza w obszarze wymiaru sprawiedliwości, czyli w dzie-

dzinie, której akurat najbardziej potrzebny byłby kompromis. Ale go nie będzie, bo minister Waldemar Żurek również jest nastawiony wojowniczo.

Rząd będzie miał też jeszcze większe niż dotąd problemy z rozliczeniem PiS, tym bardziej że Nawrocki nawet w orędziu wspomniał o nielegalnym prokuratorze krajowym, a część prokuratorów już dziś zaczyna w swych działaniach brać pod uwagę zmianę koniunktury politycznej. W tej sytuacji raczej więc nie ma szans na szybkie ustawowe uregulowanie problemu tzw. neosędziów czy uporządkowanie Trybunału Konstytucyjnego.

Trudno na razie przewidzieć, jaki kształt będzie miała zapowiedziana przez Nawrockiego rada ds. reform ustrojowych przy jego Kancelarii, której zadaniem ma być zaproponowanie jakiegoś kompromisu w wymiarze sprawiedliwości. Wątpliwe, by miała skład autentycznie pluralistyczny.

Ciekawe też, jak Nawrocki rozumie swoje słowa z orędzia, że nie zamierza awansować sędziów, którzy „kwestionują porządek konstytucyjny i prawny". Czy to zapowiedź odmowy np. zaprzysiężenia sędziów TK wybranych przez obecny Sejm lub mianowania sędziów wyłonionych przez KRS po 2026 roku?

DYPLOMACJA I WOJSKO | Największy problem może pojawić się w sprawach międzynarodowych. Nowy szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki już zasugerował wolę udziału szefa w szczytach UE, co zapowiada kolejną odsłonę „wojny o krzesło", jaka toczyła się w latach 2007-10 między Donaldem Tuskiem a Lechem Kaczyńskim. Tym razem będzie to wojna dużo ostrzejsza, bo tamtą osłabiały osobiste relacje premiera z prezydentem.

Nie wiadomo, jak będzie z armią. Na razie stosunki prezydenta z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem wyglądają na relatywnie poprawne, choć Nawrocki w żaden sposób nie zareagował na wygwizdywanie szefa MON na placu Piłsudskiego. Prezydent, zgodnie z przestrogami Antoniego Dudka, może rzeczywiście próbować prowadzić własną politykę w odniesieniu do wojska, choć raczej nie dojdzie do tego szybko.

Sytuacja nie jest więc wesoła dla obecnej koalicji rządowej.

NA PRAWICY | Ale cieszyć się też nie powinien Jarosław Kaczyński. Co prawda na razie Karol Nawrocki otoczony jest politykami PiS, a w orędziu wspomniał o Lechu Kaczyńskim, ale nie było w tym już tej nabożności, co w wystąpieniach Dudy.

To zaś, iż w żadnym z przemówień nie wymienił Jarosława Kaczyńskiego, pokazuje, że teraz to prezydent chce rozdawać karty na prawicy – korzystając z dobrych notowań także w elektoracie Konfederacji. Prezes PiS powinien już powoli zacząć myśleć o emeryturze. Diagnozę tę potwierdzają nerwowe zachowania Kaczyńskiego w ostatnich dniach, choćby podczas kolejnej „miesięcznicy" smoleńskiej.

Niezależnie od tego, czy Nawrocki rzeczywiście ma już dziś takie aspiracje, na pewno nie będzie przypominał uległego wobec prezesa poprzednika. Widać, że jest po prostu typem samca alfa, chcącym wyeliminować ze swojego terytorium innych podobnych samców. Zatem nie tylko Donalda Tuska, ale i Jarosława Kaczyńskiego. Sprzyjać mu w tym będą także kwestie metrykalne.

KONSTYTUCJA | Nowy prezydent zapowiedział utworzenie na swoim zapleczu jeszcze jednej rady – ds. konstytucji. Niewykluczone, że do 2027 r. pod jej auspicjami powstanie projekt nowej ustawy zasadniczej i będzie to konstytucja wprowadzająca model prezydencki. Jeżeli PiS z Konfederacją uzyskają w tych wyborach większość konstytucyjną (albo zbliżoną do niej), możliwe, że ok. 2030 r. uda się nową ustawę zasadniczą uchwalić.

Nie można więc wykluczyć również, że po zaplanowanych na ów rok wyborach prezydenckich znajdziemy się w całkiem nowych warunkach ustrojowych. Z Karolem Nawrockim wybranym na kolejną kadencję, odpowiedzialnym tylko przed „Bogiem i historią". ©

MAREK LADZIŃSKI / FORUM

Uwolnić Gazę

AGNIESZKA BRYC

W nocy z czwartku na piątek gabinet Beniamina Netanjahu zatwierdził plan zajęcia miasta Gaza. Zakłada przesiedlenie całej, blisko milionowej populacji, do obozów na południu Strefy Gazy. Okno operacyjne potrwa do 7 października – dnia, w którym przypada druga rocznica ataku Hamasu na Izrael. Po czym armia rozpocznie ofensywę lądową, celem zabicia pozostałych walczących bojowników (wojskowi szacują, że w okolicach Gazy oraz Al Mawasi wciąż operują dwa bataliony). Hamas jednak nie zamierza się rozbrajać, dopóki nie powstanie niepodległe państwo palestyńskie – jak ogłosił na początku sierpnia.

Rząd izraelski podjął decyzję pomimo sprzeciwu szefa sztabu generalnego gen. Eyala Zamira, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Tzachiego Hanegbiego oraz szefa Mossadu Davida Barnea. Przestrzegało przed nią również blisko 20 ekspertów prawa międzynarodowego i politologów z izraelskich uniwersytetów. „Użycie siły, które wykracza poza granice proporcjonalności i nie ma na celu samoobrony, jest bezprawne, a w pewnych okolicznościach stanowi nawet przestępstwo w rozumieniu przepisów regulujących użycie siły i międzynarodowego prawa karnego" – napisali do premiera.

Decyzja Netanjahu wywołała krytykę na arenie międzynarodowej i w kraju – w sobotę na ulice Tel Awiwu wyszło kilkadziesiąt tysięcy protestujących, domagających się zakończenia walk i uwolnienia zakładników.

Niezadowolenie słychać nawet wśród niezachwianych dotąd europejskich sojuszników Jerozolimy, jak Niemcy – kanclerz Friedrich Merz wstrzymał dostawy broni do Izraela (według danych Bundestagu od października 2023 r. do maja br. sięgnęły 485 mln euro). „Jeszcze ostrzejsze działania militarne armii izraelskiej w Strefie Gazy, zatwierdzone wczoraj wieczorem przez izraelski gabinet, sprawiają, że niemieckiemu rządowi coraz trudniej jest dostrzec, w jaki sposób te cele [obrona przed terroryzmem – przyp. red.] zostaną osiągnięte" – argumentował Merz.

Netanjahu bronił swojej decyzji podczas niedzielnego maratonu konferencji prasowych. Przekonywał, że „Izrael nie chce okupować Gazy, lecz uwolnić ją od Hamasu", oraz że „nawet po zajęciu Gazy, potrzebna będzie kolejna operacja, aby oczyścić centralne obozy w Strefie", a doniesienia o głodzie to „globalna kampania kłamstw". Co najważniejsze, do realizacji tych zamierzeń Izrael zdaje się mieć zielone światło ze strony Donalda Trumpa, o czym w poniedziałek poinformowało biuro prasowe premiera. ©

Wojna w Ukrainie: przystanek Alaska

TADEUSZ IWAŃSKI

Sześć telefonów Putina z Trumpem, pięć wielogodzinnych spotkań specjalnego wysłannika Stevena Witkoffa z dyktatorem na Kremlu, konsultacje na Bliskim Wschodzie – pokazują czas i energię, jaką Amerykanie włożyli w kontakty z Rosją w ciągu 200 dni od inauguracji Trumpa. Ta inwestycja się nie opłaciła. Kreml zwodził, a zarazem zwielokrotnił ataki z powietrza na Ukrainę, podnosząc liczbę ofiar cywilnych. Okrucieństwo zostało nagrodzone: 15 sierpnia na Alasce Trump podejmie Putina, nie zyskując nic, lecz w spektakularny sposób przełamując izolację Rosji na Zachodzie.

Takie uznanie dezorientuje, bo ostatnie miesiące to raczej rosnąca irytacja Trumpa wobec Putina i dobra komunikacja z Zełenskim. Środowa wizyta Witkoffa tę dynamikę zmieniła. Rosyjska inwestycja w niewiele rozumiejącego z polityki zagranicznej, lecz łasego na pochlebstwa Amerykanina przyniosła zwrot. W piątek miały być sankcje pośrednie na importerów rosyjskiej ropy – potencjalnie mocny cios w gospodarcze zdolności Rosji kontynuowania wojny – a jest dwustronny szczyt, na którym omawiana ma być przyszłość Ukrainy.

Według zachodnich gazet jest ona zarysowana w planie przewidującym uznanie przez Kijów rosyjskiej aneksji całości Donbasu i Krymu w zamian za wstrzymanie ognia przez Rosję, wycofanie się jej wojsk z fragmentów obwodów charkowskiego i sumskiego, oraz pozostawienie do dyskusji losów obwodów zaporoskiego i chersońskiego (gdzie agresor utknął). Putin ma się domagać też zakazu integracji Ukrainy z NATO, redukcji jej armii i wstrzymania dostaw zachodniego uzbrojenia. Żądania Rosji uległy więc jedynie semantycznej korekcie, zaś *clou* się nie zmieniło – Putin chce kontroli nad całą Ukrainą.

Zełenski odrzucił handel ukraińskimi terytoriami i jakikolwiek *deal* bez Ukrainy, przystępując do mobilizacji Europy. Obawa, że Trump z Putinem porozumieją się ponad głowami Europy i Ukrainy, jest duża – w sobotę brytyjski minister obrony David Lammy z najbliższymi współpracownikami Zełenskiego Andrijem Jermakiem i Rustemem Umierowem, przekonywali wiceprezydenta J.D. Vance'a, że negocjacje pokojowe nie mogą się odbywać pod rosyjskim ostrzałem, bez udziału Ukrainy, i przewidywać siłowej zmiany granic. Dla zwiększenia presji na Waszyngton liderzy Francji, Włoch, Niemiec, Polski, Wielkiej Brytanii i szefowa Komisji Europejskiej wydali deklarację potwierdzającą ukraińsko-europejskie czerwone linie.

Innej reakcji Ukrainy nie należało się spodziewać. Choć kraj jest wycieńczony, a społeczeństwo oczekuje zawieszenia broni, kluczowe są jego warunki. Nie ma akceptacji dla oddania *de iure* całego Donbasu – oznaczałoby to przekazanie Rosji Kramatorska i innych terenów, których mieszkańcy zostaliby pozostawieni na pastwę agresora. Pamięć okupacji Buczy, Irpienia czy Mariupola potwierdza, że taka decyzja oznaczałaby wyrok śmierci.

Z kolei pamięć o porozumieniach mińskich powoduje, że bez solidnych gwarancji bezpieczeństwa od Zachodu (optymalnie: członkostwa w NATO), silnej i doposażonej armii, kolejna agresja jest tylko kwestią czasu. Obie te lekcje zostały z całą brutalnością przez Ukraińców przyswojone, a zgoda Zełenskiego na rosyjskie warunki byłaby politycznym samobójstwem. Tym bardziej że nie myśli on rozstawać się z władzą, gdy zawieszenie broni otworzy możliwość przeprowadzenia wyborów. Zgoda uprawdopodobniłaby też nowy Majdan (tabu na antyrządowe protesty zostało złamane po lipcowych wystąpieniach w obronie instytucji antykorupcyjnych) i bunt w armii. Nie sposób Zełenskiemu odmówić racji, gdy mówi, że takie porozumienie Trumpa z Putinem byłoby martwe – Ukraińcy go nie kupią.

Putin zastawił pułapki – jeśli Ukraina się zgodzi, to scenariusz jak wyżej. Jeśli się nie zgodzi, to na Kijów, jako na hamulcowego procesu pokojowego, spadnie gniew Trumpa. Sprytne, choć czytelne, szczególnie że Amerykanin pragnie powtórki obrazków z piątku, gdy siedząc między premierem Armenii a prezydentem Azerbejdżanu narzucił agendę procesu pokojowego na Kaukazie, a ci obiecali zgłosić go do pokojowego Nobla.

Na Ukrainie jego celem jest powstrzymanie rozlewu krwi. Rozumie to Putin, oferując zawieszenie broni, lecz na warunkach realizujących strategiczne cele Rosji. Trump niejasne rosyjskie „ustępstwa terytorialne" bierze za przełom, czym kolejny raz dowodzi kompletnego braku zrozumienia kremlowskiej polityki.

W logice postczekistowskiej elity kontrola nad Ukrainą ma dwa cele. Wewnętrzny – spacyfikować wirusa społecznego buntu (Ukraińcy i Rosjanie to w kremlowskiej świadomości jeden naród, więc skoro pierwsi nie raz już zmietli władze, protestując na ulicach, drudzy mogą się zarazić). Zewnętrzny – skoro Zachód nie był w stanie wybronić Ukrainy, jest zbyt słaby, by wybronić się sam, a w związku z tym należy iść dalej, wyrzucić USA z Europy, a środkową jej część przekształcić w strefę buforową.

Trump w to nie wierzy, nie dostrzega też współzależności między bezpieczeństwem Europy i USA oraz tego, że plany Chin dotyczące Tajwanu zależą od powodzenia Rosji na Ukrainie. Liczy się obrazek na Truth Social i spełnienie wyborczych obietnic, a nie długotrwała presja na Rosję i miliardy dolarów na uzbrojenie dla Ukrainy, które rozeźliłyby ruch MAGA w przeddzień wyborów połówkowych do Kongresu.

Bez rozwiązania militarnego lub zwiększenia Rosji kosztów prowadzenia wojny, do pokoju nie będzie bliżej. Dlatego Alaska to przystanek. ©

Autor jest kierownikiem Zespołu Białorusi, Ukrainy i Mołdawii w OSW, stale współpracuje z „TP". Tekst ukończył 11 sierpnia rano.

ROMAN PILIPEY / AFP / EAST NEWS

Wiec w Kijowie, przypominający los jeńców wojennych, 10 sierpnia 2025 r.

NA PUNKTY

SMUTEK
W trakcie zaprzysiężenia nowego prezydenta sejmową salę opuścił Roman Giertych. Adwokat i poseł złożył do marszałka Sejmu protest, w którym sprzeciwił się przyjęciu przysięgi od Karola Nawrockiego w związku z „pozbawieniem obywateli prawa do rozpoznania protestów wyborczych przez Sąd Najwyższy".

ZASKOCZENIE
Protesty rozpoznawano: Prokuratura Krajowa poinformowała o wynikach oględzin protokołów z 250 obwodowych komisji wyborczych, co do których zgłaszano wątpliwości. Wynika z nich, że Nawrocki otrzymał o 1239 głosów mniej, a Trzaskowski o 1242 głosy więcej.

RADOŚĆ
Karol Nawrocki – przynajmniej na czas remontu Pałacu Prezydenckiego – zamieszkał w Belwederze, jego poprzednik tymczasem wrócił do Krakowa. Podczas pożegnania z urzędnikami Kancelarii Agata Kornhauser-Duda wyznała, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, a w mediach społecznościowych z satysfakcją opublikowała memy na swój temat. ©℗

Co dalej z Instytutem Pileckiego

PIOTR KOSIEWSKI

Na łamach „Rzeczpospolitej" przeczytaliśmy, że dyrektor Instytutu Pileckiego Krzysztof Ruchniewicz (na zdjęciu) chce zwracać Niemcom dzieła sztuki. Ruszyła fala oskarżeń, a posłowie PiS-u, z Piotrem Glińskim na czele, zapowiedzieli złożenie zawiadomienia do prokuratury. Powodem oskarżeń był zaplanowany przez IP cykl międzynarodowych seminariów poświęconych polskiemu mieniu zagrabionemu podczas II wojny światowej w świetle badań proweniencyjnych. A w szczególności jedno ze spotkań, poświęcone badaniu mienia „niepolskiego". W opisie seminarium pojawiło się słowo „restytucje" – i wystarczyło, by wywołać sensację.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Same badania będące tematem seminarium zostały kompletnie zignorowane, tymczasem są one istotne, bo służą ustaleniu historii obiektów, których pochodzenie jest wątpliwe. Odtwarzają też historię kolekcjonerstwa, muzeów i bibliotek. Pokazują – nadal mało zbadany – mechanizm rabunku dóbr kultury przez III Rzeszę i inne państwa totalitarne. Są wreszcie kluczowe dla ustalenia praw własności. Jednak o ewentualnych zwrotach nie decydują badacze, lecz instytucje państwowe.

Oczywiście, możemy nieustannie opowiadać, ile straciliśmy podczas wojny, nie mniej ważne jest jednak uświadomienie zagranicznym ekspertom trudności w odtworzeniu dziejów obiektów zrabowanych w Polsce i włączenie naszych strat do badań prowadzonych na Zachodzie. Jesteśmy zresztą beneficjentami badań proweniencyjnych. To dzięki nim udało się odzyskać obiekty ze zbiorów Wilanowa czy Muzeum Narodowego w Gdańsku. Wreszcie: jesteśmy zobowiązani do ich prowadzenia, także po to, by poznać własną historię i oddać sprawiedliwość ofiarom totalitaryzmów. Tym bardziej istotne, by te seminaria nie padły ofiarą gier politycznych.

Zamieszanie pokazuje jednak, że nadal mamy problem z Instytutem Pileckiego. Nie tylko nie udało się uporządkować spraw pozostawionych przez jego kierownictwo z czasów poprzednich rządów. Nie widać też, aby obecna władza miała pomysł na jego dalsze funkcjonowanie. ©

KPO, czyli Komu Potrzeba Odpalić

MAREK RABIJ

W zero-jedynkowym świecie współczesnej polityki każdy problem staje się szybko aferą. W odniesieniu do informacji o możliwych nieprawidłowościach w wydatkowaniu pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy można w tej chwili odpowiedzialnie powiedzieć tylko tyle, że część rzeczywiście wydano w głupi sposób. Przypomnijmy: właściciele firm z branży hotelarskiej i gastronomicznej z tych środków mieli kupować jachty, ekspresy do kawy, sauny i maszyny do lodów. Pieniądze, które w założeniu miały zwiększyć odporność polskiej gospodarki na przyszłe kryzysy, w części rozeszły się więc na błyskotki. Nadzór nad dotacjami sprawowała Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, której szefową, Katarzynę Duber-Stachurską, odwołano bez podania powodów jeszcze pod koniec lipca.

W niektórych przypadkach być może doszło do wyłudzenia funduszy. To wymaga sprawdzenia. Sęk w tym, że lektura listy beneficjentów KPO z sektora hotelowo-restauracyjnego i ich wniosków uświadamia przede wszystkim, jak krótkowzroczne i banalne są biznesplany naszych przedsiębiorców i jak krótkie nóżki ma polska polityka gospodarcza z jej nadrzędnym celem: wydać jak najwięcej funduszy unijnych.

Nie szukając sensacyjnych wytłumaczeń, można całą tę historię rozpisać w banalnym scenariuszu. 1. Rząd Tuska doprowadza do odblokowania pieniędzy z KPO. 2. Aby sukces był pełny, rządzący nakazują podległym instytucjom rozdysponować je jak najsprawniej, żeby na koniec roku móc pochwalić się realizacją 99,99 proc. planu. 3. PARP i inne agencje oddelegowane do tego zadania przyjmują więc wnioski jak leci. 4. A czy można mieć pretensje do właściciela solarium, że dywersyfikacja działalności kojarzy mu się z dobudowaniem sauny? Nie. Ale to też nie powód, by dawać mu na to publiczną dotację.

Pierwsze reakcje Donalda Tuska na wzburzenie wywołane informacjami o możliwych nieprawidłowościach każą przypuszczać, że premier swoim zwyczajem nie dopuści, by odpryski afery schlapały jego wizerunek. Rachunek odeśle zapewne ministrze funduszy i polityki regionalnej Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz. ©℗

JAKE LYELL / ALAMY / BE&W

Poligamiczna rodzina z Mali, Afryka Zachodnia, 2021 r.

Afrykańscy biskupi apelują o nowe podejście do poligamii i poliamorii

SAKRAMENTY ▪ Poligamia to praktyka powszechna i „całkowicie normalna" w wielu tradycyjnych społeczeństwach – piszą biskupi afrykańscy, zebrani na sympozjum Konferencji Episkopatów Afryki i Madagaskaru (SECAM). Nie pochwalając bynajmniej wielożeństwa, ale próbując zrozumieć jego podstawy i aktualny stan prawny (w 31 krajach jest to praktyka legalna).

Projekt dokumentu „Wyzwania duszpasterskie poligamii", zaprezentowanego w Kigali (Rwanda), opisał amerykański portal The Pillar. Zdaniem dziennikarzy nie zawiera on żadnych nowych rozwiązań, ale krytycznie ocenia dotychczasowe praktyki duszpasterskie, przepisy prawa kanonicznego i nauczanie Kościoła w tej kwestii. Chrześcijańscy misjonarze przez wieki byli wobec wielożeństwa bezkompromisowi, domagając się od kandydatów do chrztu konwersji na monogamię. Nie widząc, że poligamia zwykle była dla kobiet ratunkiem przed biedą i odrzuceniem społecznym (niezamężne i bezdzietne wciąż są narażone na pogardę, przemoc i wykorzystanie seksualne).

Wprawdzie prawo kanoniczne nakazuje katechumenowi zagwarantowanie opieki żonom, z których rezygnuje, przystępując do chrztu (odpowiednik naszych alimentów), ale pozwala mu też dowolnie wybrać, która z nich zostanie małżonką sakramentalną: zwykle dochodzi wtedy do „odmłodzenia" sobie partnerki, przez oddalenie pierwszej, najstarszej żony, za aprobatą i z błogosławieństwem Kościoła.

Projekt SECAM stwierdza, że przepis ten jest nie tylko krzywdzący, ale nie uwzględnia też afrykańskiej koncepcji małżeństwa, w której pierwsza żona pełni rolę kluczową w rodzinie i społeczeństwie. I zwraca uwagę na konieczność nowego podejścia Kościoła do problemu, chroniącego osoby najbardziej bezbronne: kobiety i dzieci.

Dokument krytycznie ocenia także inne, najczęściej spotykane praktyki duszpasterskie w kwestii poligamii: nadawanie poligamiście statusu „permanentnego katechumena", co pozwala mu uczestniczyć w życiu parafii (choć uniemożliwia przyjęcie chrztu i innych sakramentów), czy też chrzest tylko pierwszej żony, która staje się „ofiarą poligamii", zobowiązaną do życia zasadami wiary w niechrześcijańskiej nadal rodzinie.

Biskupi afrykańscy są przekonani, że rozwiązania, które zamierzają przygotować, okażą się przydatne dla całego Kościoła, stojącego w obliczu „postmodernistycznych form poligamii", np. poliamorii – zjawiska coraz częstszego, modnego i aspirującego do legalizacji w świecie zachodnim.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Pandemia rozgwiazd: tajemniczy zabójca znaleziony

EKOLOGIA ▪ Opis objawów choroby był przerażający: kurczące się i powykręcane w konwulsjach ramiona, które wkrótce całkiem odpadną. Na całym ciele pojawiające się białe plamy – oznaka rozkładu wszystkich tkanek. Zaledwie w ciągu kilku-kilkunastu dni zdrowy wcześniej organizm zmienia się w bezkształtną, martwą masę.

W ostatniej dekadzie taki los mógł spotkać 10 miliardów rozgwiazd należących do dwudziestu gatunków. Tylko w ostatnim roku choroba zabiła miliard osobników zamieszkujących zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej. Najbardziej podatne były majestatyczne rozgwiazdy olbrzymie (*Pycnopodia helianthoides*), posiadające do dwudziestu czterech ramion, których rozpiętość sięga metra.

Aż dotąd nie wiedzieliśmy, co właściwie zabija te morskie stworzenia. Głównymi podejrzanymi były zmiany klimatyczne, zakwity glonów i nieznane wirusy. Dzięki opisanym właśnie w „Nature Ecology & Evolution", trwającym cztery lata badaniom biologów z USA i Kanady okazało się jednak, że prześladowcą rozgwiazd jest jeden ze szczepów bakterii *Vibrio pectenicida*, określany jako FHCF-3.

W poszukiwaniu prześladowcy rozgwiazd Malenie Prentice z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej w Vancouverze i współpracownicy analizowali martwe ciała tych zwierząt – tak natknęli się m.in. na ślady bakterii *Vibrio*, która stała się główną podejrzaną. Ostateczny dowód winy musiał być jednak eksperymentalny – dlatego badacze założyli hodowlę zdrowych rozgwiazd (każdego osobnika trzymano w oddzielnym akwarium, by nie dochodziło między nimi do transmisji patogenów) i część z nich zarazili szczepem bakterii wyizolowanym z martwego zwierzęcia. Po dwóch tygodniach z pięćdziesięciu zarażonych osobników przy życiu została czwórka, a objawy ich choroby pokrywały się z tymi obserwowanymi w środowisku naturalnym. By jeszcze bardziej zwiększyć pewność swoich wniosków, badacze na koniec szukali śladów *V. pectenicida* w próbkach tkanek rozgwiazd pobranych z różnych lokalizacji przed i po rozprzestrzenieniu się epidemii. Ponownie, wszędzie tam, gdzie choroba zbierała swoje śmiertelne żniwo, znajdowano bakterie *Vibrio*.

IAMJOYFUL / ADOBE STOCK

Wiadomo, że inny szczep bakterii *V. pectenicida*, bardzo blisko spokrewniony z atakującym rozgwiazdy FHCF-3, infekuje małże – możliwe więc, że to z nich bakteria przeskoczyła na nowego gospodarza, zmutowała i rozpoczęła śmiercionośną wędrówkę po Pacyfiku. Celem kolejnych badań zespołu będzie ustalenie dokładnych ścieżek transmisji patogenu i zastanowienie się, czy da się go powstrzymać.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Nasz pop jest z Korei

POPKULTURA ▪ Stacja muzyczna MTV od czterdziestu lat nagradza najlepsze teledyski. I choć czasy, w których wysokobudżetowe produkcje wideo wyznaczały muzyczne trendy, dawno minęły, z listy najświeższych nominacji do MTV Video Music Awards nadal dowiadujemy się całkiem sporo o naszych gustach. Tym bardziej, że MTV nie chce już pełnić roli opiniotwórczej, od lat wyróżnia za to utwory i gatunki generujące największy ruch w social mediach i streamingu.

Zacznijmy od tego, że słuchanie muzyki jest wciąż – bardziej niż oglądanie filmów i seriali – naszym ulubionym sposobem uczestnictwa w kulturze. W najnowszych badaniach Narodowego Centrum Kultury zadeklarowaliśmy, że muzyki dla przyjemności słuchamy co najmniej raz w tygodniu (84 proc. ankietowanych). A co leci w naszych słuchawkach?

Mimo że streaming faworyzuje utwory krótkie i memiczne, wciąż cenimy sobie opowiadane w piosenkach historie – o codziennym życiu, miłości, rodzinie. Właśnie z tego powodu po raz pierwszy własną kategorię na MTV VMA otrzymała przeżywająca renesans muzyka country. Niekojarzona już wcale z zachowawczością, przeciwnie: otwarta i różnorodna, reprezentująca różne środowiska i poglądy. Jedna trzecia utworów pojawiających się w tym roku w topowej dziesiątce amerykańskiej listy „Billboard Hot 100" należy właśnie do tego gatunku. Co więcej, przeprowadzone kilka miesięcy temu duże badanie organizującej koncerty firmy Live Nation pokazuje, że ponad 60 proc. dzisiejszej widowni country to ludzie młodzi: zetki i milenialsi.

ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS

Rosé. Seul, 9 sierpnia 2024 r.

Drugim rosnącym globalnie trendem jest K-pop (MTV utworzyła dla niego osobną kategorię nagród w roku 2019), produkowany według sprawdzonego modelu – chwytliwe refreny, mieszanka gatunków (pop, hip-hop, R&B), dopracowana produkcja. Sukces koreańskiego popu, reprezentowanego w ostatnich miesiącach przez wokalistkę Rosé (osiem nominacji do MTV VMA), nie jest przypadkiem. Rząd Korei Południowej aktywnie wykorzystuje Hallyu (Koreańską Falę, czyli modę na tamtejszą kulturę) jako strategiczne narzędzie wzmacniania swojej pozycji, poprawy stosunków dyplomatycznych i napędzania gospodarczego wzrostu. Po kryzysie finansowym roku 1997, rząd postanowił odbudować siłę kraju właśnie za sprawą kultury. Od tamtego czasu najważniejsi koreańscy politycy otwarcie wprowadzają elementy Hallyu do swoich kampanii i działalności.

Idzie im to całkiem dobrze. Po sukcesach koreańskich filmów („Parasite") i seriali („Squid Game") amerykańska publiczność stała się jeszcze bardziej otwarta na treści z Korei. Między 2018 a 2023 rokiem streamingi K-popu wzrosły niebotycznie, a USA stały się drugim co do wielkości rynkiem eksportowym tego gatunku, goniąc już tylko Japonię.

©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMYSŁ SAMOTNOŚCI

Życie w pojedynkę stało się łatwiejsze i wygodniejsze niż kiedykolwiek. Wielkie korporacje zbudowały wokół niego cały model biznesowy.

JAKUB DYMEK

Jest jedna rzecz, którą internet – wdzierając się w nasze życie w pierwszej dekadzie XXI wieku – obiecywał ponad wszystko inne. Że już nigdy nie będziemy sami. Ludzie z całego świata, znajomi i nieznajomi, na wyciągnięcie ręki. Nieprzerwany kontakt z rodziną i bieżący strumień informacji o tym, co dzieje się u dawnych koleżanek i kolegów z klasy. Możliwość wejścia w dowolną subkulturę i dzielenia się najbardziej nawet niszowym zainteresowaniem. Chętni do zabawy – w zarówno niewinnym, jak i zdrożnym sensie – 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, w każdej strefie czasowej.

Przyklejeni do smartfonów

Nie sposób powiedzieć, że w tym wymiarze wielkie platformy cyfrowe, smartfony, otaczający nas gąszcz ekranów i powiadomień zawiodły. Przeciwnie. Jesteśmy przyklejeni do urządzeń, z których ktoś do nas nieustannie mówi, bardzo chce nam coś sprzedać, zwrócić na siebie uwagę albo pilnie podzielić się najbardziej nawet trywialną informacją. Trudno też zaprzeczyć, że o ile naprawdę chcemy być w kontakcie z bliskimi, to mamy do tego lepsze narzędzia niż kiedykolwiek. Wreszcie: nie sposób narzekać na brak rozrywki i okazji, by kogoś poznać. Algorytmy chętnie wykonają za nas pierwszy krok.

A jednak kolejne rządy informują o „epidemii samotności", lawinowo rośnie liczba problemów ze zdrowiem psychicznym na tym tle, a nasze życie intymne, miłosne i towarzyskie ma się jakby gorzej niż wcześniej. Więcej nawet: obsługa ludzi samotnych i czerpanie zysków z tego, że siedzimy w czterech ścianach, stały się fundamentem modelu biznesowego nowych usług cyfrowych i aplikacji. Choć nigdy wcześniej nie skarżyliśmy się tak bardzo na samotność, zarazem nigdy wcześniej odcięcie się od innych nie było tak wygodne, kuszące i przyjemne.

Co się stało?

Nerd, przegryw, incel

„Czy chcę wyjść ze znajomymi? Na drinka? Nadrobić plotki? Nie, miło mi, ale dziękuję bardzo" – deklaruje dziennikarka „Financial Times" Jo Elison. – „Wszystkie te propozycje wywołują we mnie przerażenie. Kocham, naprawdę uwielbiam moich przyjaciół. Ale jeżdżenie przez pół miasta, ciśnięcie się w jakimś lokalu, próby rozmowy... Całe to »socjalizowanie się« aż nadto przypomina pracę". Jakie wyjście może się w ogóle równać – pyta retorycznie Elison – z „siedzeniem w internecie", kilkoma błogimi godzinami bez obowiązków, spędzonymi na klikaniu i stukaniu w ekran?

To bezwstydne wyznanie ukazało się wiosną 2025 r. Gdyby pojawiło się 5, 10, a tym bardziej 20 lat temu, zostałoby uznane raczej za wyraz dziwactwa albo przyznanie się do porażki. Kto, mogąc spędzić wolny czas z przyjaciółmi na mieście, wybiera samotne siedzenie w domu i klikanie?

STEVE / ADOBE STOCK

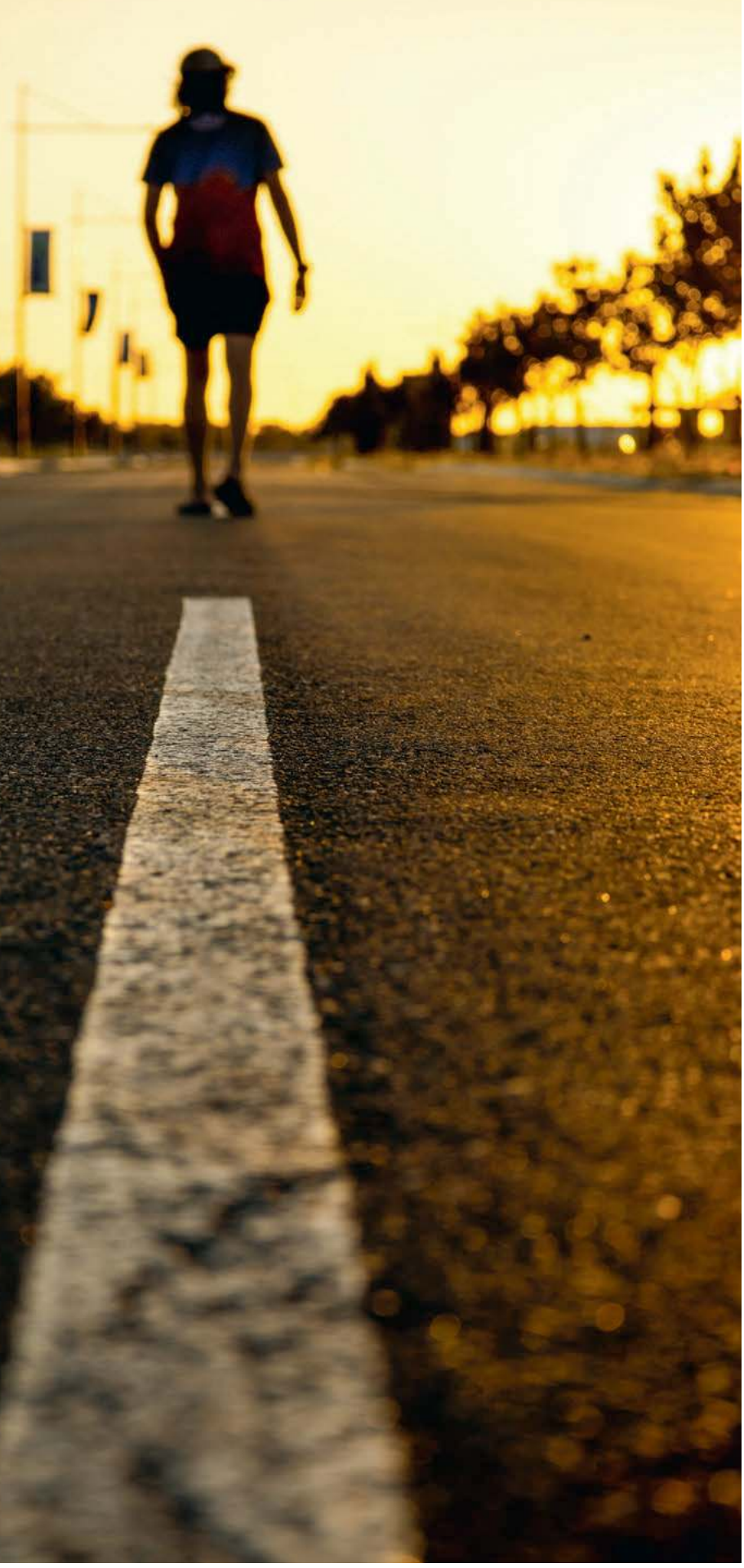

Nerd, przegryw albo incel. Popkultura wymyśliła dość słów na określenie jednostek, które z najróżniejszych powodów czują się lepiej z ekranem niż z drugim człowiekiem. Coś jednak się zmieniło. Przyznanie się, że wolimy ekran od drugiej osoby, nie jest już powodem do wstydu.

Preferencja, by spędzać czas samemu, i przekonanie, że nawet bardzo nieformalne wyjście do ludzi wymaga wysiłku i „przypomina pracę", stało się tak powszechne, iż... trudno dalej udawać, że jest inaczej.

Społeczny dystans

Słowa dziennikarki wyrażają otwarcie to, co wielu z nas i tak myśli skrycie. Ale dowodów dostarczają też badania. Amerykanie spędzają dziś w domach średnio o sto minut dziennie więcej niż w czasach, gdy George W. Bush najeżdżał Irak, MTV wciąż było *cool*, a do internetu trzeba było się wdzwonić przez modem. Można to policzyć przy pomocy American Time Use Survey, cyklicznego badania prowadzonego przez Departament Pracy.

Miara czasu spędzanego w domu, co oczywiste, wystrzeliła do góry w czasach pandemii, przymusowej izolacji i „społecznego dystansu". Uderzające jest jednak to, że gdy w końcu zniesienie pandemicznego reżimu prawnego, wprowadzenie szczepionki, otwarcie się restauracji czy hoteli pozwoliło nam wyjść z domów... my postanowiliśmy w nich zostać.

Ilość czasu spędzanego we własnych czterech ścianach skoczyła w 2020 r. o ponad półtorej godziny (względem roku poprzedniego), by w kolejnych latach spaść o 20 minut względem szczytu. 20 minut – tyle zostało ze wszystkich postanowień powrotu do sportu czy wycieczek za miasto. Tylko tyle średnio więcej czasu poza domem niż w pandemii spędzają Amerykanie, gdy nic już ich tam na siłę nie trzyma.

Domowe rozrywki

Patrick Sharkey z Uniwersytetu Princeton oszacował, jakie domowe aktywności pochłaniają więcej czasu niż wcześniej. Poza snem, na pierwszych trzech miejscach są praca wykonywana w domu, rozrywka i jedzenie. Czas „zaoszczędzony" np. na dojazdach do pracy „zainwestowaliśmy" w to, by więcej pracować z domu i oddawać się rozrywce przed ekranem.

Bo choć te konkretne badania nie uwzględniają jako osobnej kategorii czasu na kanapie czy w łóżku ze smartfonem w dłoni, to – bądźmy szczerzy – przecież tak właśnie często wygląda domowa rozrywka. Wątpliwe, ↦

↦ by respondenci deklarujący więcej czasu spędzonego na rozrywce w domu oddawali się wyłącznie grom planszowym czy układaniu puzzli. Lub jakiejkolwiek rozrywce *offline*.

Oczywiście, wszystko to uśrednione miary i z pewnością nie uwzględniają całego skomplikowania trendów w liczącym dziesiątki czy setki milionów obywateli nowoczesnym społeczeństwie. Ale obok danych dla ogółu populacji mamy nie mniej ciekawe dane dla grupy szczególnie w tym wymiarze ważnej. Generacji, która wychowała się ze smartfonami.

Młodzi gonią starych

W gospodarkach rozwiniętych jak świat długi i szeroki powtarza się pewna prawidłowość. Młodsze generacje przegoniły najstarszych członków społeczeństwa pod względem deklarowanej samotności i ilości czasu spędzanego bez obecności innych. Odsetek młodych, którzy uprawiają seks, chodzą na imprezy czy piją alkohol – spada. Rośnie zaś czas spędzony przed ekranem, liczba prób samobójczych i zgłaszanych problemów na tle psychicznym.

Badań wskazujących podobne tendencje są tuziny. A ton informowania o nich rozciąga się od alarmistycznego po wprost apokaliptyczny. Dosłownie przecież i bez większej przesady – od momentu, w którym ludzie stracą sobą nawzajem zainteresowanie, do wymarcia populacji wiedzie prosta droga.

W naszych czasach

Zanim jednak zajrzymy do tych danych, warto zatrzymać się przy jednej obserwacji. Historycznie samotność była raczej domeną dziwaków, nieszczęśników i radykałów. Od społecznych wyrzutków po ludzi żyjących na odludziu czy w odosobnieniu z religijnych powodów, aż po takich, którzy wykonują rzadki i wymagający przebywania z dala od innych zawód.

W czasach nieco bardziej współczesnych o samotności mówi się w kontekście wieku podeszłego albo utraty bliskich. Jeszcze całkiem niedawno społeczny portret osoby samotnej przedstawiał najczęściej wdowę, żyjącą na prowincji, której nie odwiedzają krewni i która nie ma kontaktu z instytucjami życia społecznego, może z wyjątkiem świątyni. Wydawało nam się jasne, że samotność to druga największa klątwa – obok słabego zdrowia – towarzysząca starości.

W książce „A Biography of Loneliness: The History of an Emotion" Fay Bound Alberti, historyczka kultury z King's College London, przekonuje, że samotność jako zjawisko w ogóle zaistniało dopiero w epoce nowoczesnej. Wcześniej, gdy nie sposób było przetrwać bez innych, bycie samotnym nie stanowiło masowego problemu. A na luksus cierpienia samotności mogli pozwolić sobie raczej możni. Oczywiście, można się spierać, czy biedni nie przeżywali jej podobnie, tylko nikt ich o zdanie nie pytał. Jedno jest jednak pewne: nigdy wcześniej nie utożsamialiśmy samotności jako problemu młodości. Aż do teraz.

Im bardziej cyfrowe platformy obiecywały nam kontakt z całym światem, **tym bardziej zarabiały na tym, że w rzeczywistości byliśmy sami.**

Recesja relacji

Psycholożka, autorka książek o generacji Z Jean Twenge i ekonomista David Blanchard we wspólnym raporcie o „spadającej satysfakcji z życia" młodych dorosłych w krajach anglojęzycznych przywołują tuziny niepokojących wskaźników.

Blisko połowa młodych kobiet w Australii – 46 proc. – skarży się na chorobę psychiczną, 39 proc. piętnastolatków w Irlandii zadaje sobie ból i robi krzywdę, dziewczynki z problemami psychicznymi – głównie na tle odżywiania – to jedna trzecia wszystkich przyjęć na intensywną terapię dla tej grupy wiekowej w Wielkiej Brytanii, uczucie „uporczywego smutku i beznadziei" deklaruje ponad połowa uczennic liceów w USA, zaś młodzi mężczyźni spędzają dziś średnio tyle czasu na dobę w samotności, ile jeszcze dekadę temu mężczyźni dobiegający emerytury.

Jak policzył zajmujący się gospodarką, demografią i podziałami społecznymi John Burn-Murdoch, na całym świecie odsetek ludzi przed 34. rokiem tworzących związki spadł w ciągu ostatnich trzech dekad o kilkadziesiąt procent. Niechęć lub niezdolność do tworzenia par, owa „recesja relacji", ma być przemilczaną przyczyną spadającej dzietności.

Pracujące dla Komisji Europejskiej badaczki Béatrice d'Hombres i Chiara Gentile wykazały z kolei na danych obejmujących kraje UE, że istnieje wyraźna korelacja między intensywnym korzystaniem z social mediów i deklarowanym poczuciem samotności.

Na odwrót po polsku

Spójrzmy wreszcie na charakterystykę osób doświadczających samotności w Polsce. Raport CBOS z jesieni 2024 r.: „W ciągu ostatnich siedmiu lat dwukrotnie zwiększył się odsetek bardzo często lub permanentnie doświadczających samotności. Obecnie jest to już mniej więcej co dwunasty dorosły. Do czynników sprzyjających doświadczaniu samotności zaliczyć należy młody wiek (do 34. roku życia), mieszkanie w dużym lub największym mieście, bycie singlem, a także niezadowolenie z własnego położenia materialnego. Istotne w tym kontekście okazały się również poglądy polityczne. Jak wynika z analiz, osoby o centrowych, prawicowych, a także niesprecyzowanych poglądach politycznych w mniejszym stopniu narażone są na poczucie osamotnienia niż te identyfikujące się z lewicą".

Nieomal wszystko jest tu na odwrót, niż podpowiadałby nam dominujący dotąd obraz problemu. Nie starsi na wsiach, lecz młodzi w miastach. Generacje, które mają do dyspozycji aplikacje randkowe, znajomość języków i paszporty w kieszeniach oraz lepszą sytuację na rynku pracy niż ich rodzice. Także ludzie, którzy w dosłownym sensie sami nie są – np. mają wokół kolegów i koleżanki na studiach i w pracy.

Jak na ironię, najwięcej deklarujących samotność jest w grupie uczniów i studentów (37 proc.) oraz w wieku 18-24 lata (32 proc.). To więcej niż wśród emerytów (26 proc.) i grupy wiekowej powyżej 75. roku życia (25 proc.).

Warto się więc zastanowić, czy aby na pewno o samotność rozumianą jako brak innych ludzi tu chodzi. Bo nawet sam sposób zadania pytania przez badaczy CBOS sugeruje, że może problem jest nieco innej natury. „Czy zdarzają się Panu(i) sytuacje, w których, pomimo iż dookoła są różni ludzie, to czuje się Pan(i) osamotniony(a)?" – pytają badanych ankieterzy.

Stulecie antyspołeczne

Jak wytłumaczyć „epidemię samotności", gdy wokół nas są ludzie – a dzięki platformom cyfrowym są zawsze na wyciągnięcie ręki? I jak pogodzić to z wyznaniem Jo Elison, która nie chce się z nikim spotkać, nawet jeśli może i mimo że – jak sama deklaruje – „kocha swoich przyjaciół"? Wreszcie: skoro sami deklarujemy, że wolimy spędzać czas w pojedynkę, to w czym problem?

Derek Thompson w głośnym eseju opublikowanym na łamach magazynu „The Atlantic" ogłasza, że XXI w. jest „stuleciem antyspołecznym". Nie samotnym, a antyspołecznym właśnie. Samotność dalej dotyka tych samych grup, co 30 i 50 lat temu, głównie starszych, uboższych, chorych. Jednak zjawisko, które szczególnie charakteryzuje naszą epokę, trzeba nazwać inaczej. Nie samotnością, a odosobnieniem z wyboru.

To wspólny mianownik łączący kapryśną dziennikarkę z Londynu, która nie ma ochoty widzieć znajomych, z milionami młodych, którzy deklarują samotność, choć otoczeni są przez rówieśników *online* i *offline*. W jednym i drugim przypadku koszty – od finansowych po psychiczne – wejścia w relację z innymi wydają się większe niż rezygnacji.

Niewolnicy dopaminy

Jak przekonuje psycholog społeczny z uniwersytetu w Chicago, Nick Epley, mamy tendencję do przeszacowania wysiłku związanego z kontaktem z innym człowiekiem i niedoszacowania satysfakcji oraz czerpanych korzyści. Swoimi eksperymentami Epley próbuje dowieść, że w życiu codziennym, począwszy od małych spraw, wybieramy pozornie bezpieczniejsze niekontaktowanie się z innymi, rezygnujemy z poszukiwania pomocy, darujemy sobie nawet *small talk* i powierzchowne znajomości. Oczywiście, rezygnacja z kontaktu z innymi czy zaniedbywanie relacji jest tym łatwiejsze, że na wyciągnięcie ręki – dosłownie, bo w smartfonie – mamy niekończącą się bibliotekę rozrywki. I równie nieskończoną pulę narkotyzujących dawek dopaminy.

A skoro o niej mowa, to można zaczerpnąć także z teorii dr Anny Lembke, wykładającej na Stanfordzie autorki wydanej również w Polsce książki „Niewolnicy dopaminy". Lembke przypomina, że nieustannie jesteśmy stymulowani przez zaprojektowane w tym celu mechanizmy platform cyfrowych: Lajki! Wiadomości! Promocje! Oburzające treści! To zaś powoduje, że poszukiwanie podobnych emocji i uniesień *offline* staje się nieporównywalnie bardziej czasochłonne i trudne. Nie znajdując ich równie łatwo i w porę, tym bardziej zwracamy się ku ekranom. I pętla się zamyka. Albo raczej zaciska na nas.

Cytowany już Thompson określa problem tak: „Jednostkowa preferencja do bycia samemu, gdy rozciągnąć ją na społeczeństwo i pozwolić trwać, przeprogramuje naszą obywatelską tożsamość i społeczną psychologię. Antyspołeczne stulecie jest skutkiem kaskady zmian: odosobnienie z wyboru jest napędzane postępami w rozwoju infrastruktury cyfrowej i rozkładem istniejącej wokół nas fizycznej infrastruktury życia społecznego".

I nawet jeśli brzmi to zawile, morał jest prosty. Wybieramy życie samemu. Oczywiście nie bez wpływu jest postępująca indywidualizacja społeczeństwa, wycofywanie się państwa, cały ten upadek struktur porządkujących życie w świecie nowoczesnym – wielkich zakładów pracy, rodziny i sąsiedzkiej wspólnoty. System rynkowy odpowiada jednak tylko na bodźce i wyrażane przez nas potrzeby – przekonuje Thompson. Skoro mamy preferencję, by się zamykać – najpierw w łonie swojej klasy społecznej, później rodziny, w końcu sami ze sobą – to rynek nam dostarcza tego, czego chcemy.

SAMOTNOŚĆ W LICZBACH

37%

Tyle osób deklaruje samotność w grupie uczniów i studentów. Do czynników sprzyjających doświadczaniu samotności zaliczyć należy młody wiek – stwierdza raport CBOS z jesieni 2024 r.

SAMOTNOŚĆ W LICZBACH

32%

Tyle osób deklaruje samotność w grupie wiekowej 18-24 lata.

25%

To więcej niż wśród osób powyżej 75. roku życia.

Ekran w każdym pokoju

Być może najciekawsze przykłady, do jakich się odwołuje, pochodzą z dziedziny architektury i mieszkalnictwa. Nie tylko bowiem żyjemy samotnie. Odsetek jednoosobowych gospodarstw domowych w aglomeracjach rośnie – a miasta takie jak Sztokholm czy Londyn przodują w tym aspekcie. W coraz większym stopniu budujemy domy do samotniczego życia.

Zmieniające się obyczaje i struktura rodziny najpierw wycięły z planów mieszkań jadalnię: skoro i tak coraz rzadziej jemy razem, to osobne pomieszczenie stało się zbędne. Uzyskaną przestrzeń klienci woleli wykorzystać do zabawy i rozrywki. Temu mógł służyć np. przestronny salon. Ale gdy rozrywka zaczęła z biegiem czasu oznaczać przede wszystkim przebywanie przed ekranem, zmieniły się też priorytety. Teraz konieczne jest, by na każdej ścianie – nawet za cenę okien i światła dziennego – powiesić ekran. A więc projektuje się pod zmaksymalizowanie powierzchni ekranów w mieszkaniach, faworyzuje obszerniejsze sypialnie, w których można się zamknąć i spędzić pół dnia, większe garderoby i coraz bardziej intymną, prywatną przestrzeń.

To jeden z licznych dowodów na „postępujący rozwój infrastruktury cyfrowej i rozkład istniejącej infrastruktury życia społecznego". Nowe zwyczaje i wymogi, które przyszły po pandemii, i tak każą nam zresztą uczynić – czy nam się to podoba, czy nie – z własnych mieszkań połączenie siłowni, biura, baru (ze stolikiem dla jednej osoby) i kina. Im bardziej wychodzimy tym oczekiwaniom naprzeciw, tym mniej powodów (i może też pieniędzy), by opuszczać naszą twierdzę.

Biznes samotności

Analizę Thompsona jednak trzeba pociągnąć dalej, bo w dyskusji o tym, czy wybraliśmy odosobnienie, czy zostaliśmy na nie skazani, powinien mocno wybrzmieć jeden aspekt.

↦

Wokół „samotności z wyboru” powstał cały model biznesowy. Nie chodzi o same smartfony i ich wpływ na psychikę (zresztą nowe media i technologie co dekadę albo dwie generują nowe obawy i paniki moralne). Chodzi o coś głębszego. Internet – jeśli to słowo cokolwiek jeszcze znaczy – nie tylko wywiązał się z obietnicy połączenia nas z ludźmi i usługami z całego świata, nawet jeśli za cenę interakcji w życiu *offline*. Nowe platformy cyfrowe i narzędzia *online* szczególnie dobrze przysłużyły się obsłudze potrzeb jednostki, których wcześniej być może nie byłaby w stanie zaspokoić (albo musiałaby w tym celu polegać na innych lub skorzystać z pośrednictwa instytucji).

Obietnica usunięcia człowieka-pośrednika z drogi dla niektórych stanowi nawet zaletę. I tak w miejsce jedzenia w restauracji dostaniemy usługę dowozu pod drzwi. W miejsce flirtu aplikacje randkowe. Karnet na siłownię czy wyjście na orlika podmienimy na aplikację do ćwiczeń w domu. Zamiast seksu algorytm wygeneruje nam pornografię. A sprawni innowatorzy podsuną serwisy subskrypcyjne z treściami dla dorosłych dającymi iluzję intymności. Zamiast rozmowy – skoro już o pozorze bliskości mowa – chatbota napędzanego sztuczną inteligencją.

Wielkie korporacje i mniejsze start-upy na wyścigi próbują zdominować rynek, jaki stworzyli samotni ludzie, potrzebujący się po prostu komuś wygadać. Na pewno gdzieś w jakimś amerykańskim biurowcu ktoś przedstawia wyliczenia, ile warta jest ludzka samotność i ile rocznych obrotów psychoterapeutów, psychiatrów, duchownych i coachów może przechwycić sprawny model AI.

> W miejsce restauracji dostaniemy dowóz pod drzwi, w miejsce flirtu aplikacje randkowe, zamiast seksu pornografię, **zamiast rozmowy chatbota.**

Sam jak klient

Samotność nie jest już tylko problemem społecznym, ale zasobem, o który walczą korporacje. Ludzka izolacja przeszła proces urynkowienia. Odosobnienie z wyboru stało się zaś rozwiązaniem o tyle mniej kontrowersyjnym, że po prostu wygodniejszym i łatwiejszym.

Łatwo byłoby zrzucić wszystko na smartfony, równie łatwo oskarżyć przemożną siłę kapitalizmu czy neoliberalizmu – choć tak ogólne kategorie mają to do siebie, że można nimi wyjaśnić niemal wszystko. Możemy też w nieskończoność kłócić się o to, co było pierwsze – czy my chcieliśmy być sami, czy przymusiły nas do tego okoliczności. Naprawdę ciekawe jest jednak to, że wokół tego zjawiska powstał model biznesowy. Może nawet do niedawna nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak duża część cyfrowej gospodarki potrzebuje naszej samotności do działania.

Oczywiście, że coraz powszechniejsza samotność czy – jak pisze Thompson – „rozciągnięta w skali całego społeczeństwa indywidualna preferencja do bycia samemu” zmienia reguły życia społecznego, demografii i gospodarki. Byłoby naiwnością sądzić, że gdy zmieni się coś tak fundamentalnego, jak chęć ludzi do przebywania ze sobą nawzajem, inne wymiary życia pozostaną niewzruszone. Jeśli coś jest w tym dziwnego, to chyba tylko to, ile czasu potrzebowaliśmy, by zauważyć ten związek. Im bardziej cyfrowe platformy obiecywały nam kontakt z całym światem, tym bardziej zarabiały na tym, że w rzeczywistości byliśmy sami.

Korporacjom zależy na tym, by tak pozostało. Człowiek, który polega na cyfrowych usługach, by zaspokoić swoje potrzeby, od innych ludzi stroni, a za to ma nieskończenie więcej czasu na konsumpcję i kompulsywne poszukiwanie dopaminy – to klient idealny. Czego chcieć więcej?

© JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: Piotr Mucharski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY

LATO WCIĄŻ TRWA!

CZYTAJ TYGODNIK NA PLAŻY, W GÓRACH, W LESIE.

SPECJALNA OFERTA!

PREZENT DLA PRENUMERATORÓW

Przy zamówieniu nowej lub przedłużeniu obecnej prenumeraty **WAKACYJNE WYDANIE SPECJALNE „SZEROKIEJ DROGI" W PREZENCIE***

OFERTA WAŻNA DO 3 WRZEŚNIA

*dla pierwszych 100 osób w wersji papierowej, a dla kolejnych – w cyfrowej (pod warunkiem przekazania kontaktu z adresem e-mail na Bok@TygodnikPowszechny.pl do końca trwania oferty)

SKORZYSTAJ!

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT® INPOST

InPost

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

dowiedz się więcej!
powszech.net/KupTygodnik | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: SHIFAAZ SHAMOON / UNSPLASH

KRAJ

WAKACJE Z EDUKACJĄ

Współczesna szkoła przypomina mistrzostwa lekkoatletyczne, w których oprócz biegaczy muszą startować pływacy, siatkarze i szachiści. System edukacyjny zaprojektowano tak, jakby wszyscy mieli zostać profesorami.

MARCIN KĘDZIERSKI

Czas wakacji. Medialne doniesienia o wynikach egzaminów ósmoklasisty i matur. Problemy ze znalezieniem opieki nad znudzonymi dziećmi. Utyskiwania na rodziców, którzy nie potrafią okiełznać swojego potomstwa w przestrzeni publicznej. Paragony grozy znad morza czy gór. Co łączy te wszystkie obrazki?

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co to właściwie znaczy „być dobrym uczniem" – i jak to zmierzyć

Zacznijmy od wyników egzaminów. W mediach społecznościowych bez trudu można odnaleźć zdjęcia świadectw albo wpisy dumnych rodziców, chwalących się osiągnięciami swoich dzieci. Można zaryzykować hipotezę, że czują się współtwórcami ich sukcesów, i jest w tym pewnie część prawdy. W końcu wielu z nich od lat inwestowało czas i pieniądze w pozalekcyjne zajęcia czy korepetycje. Ambicje rodziców materializują się w rezultatach osiąganych przez dzieci. „Bez pracy nie ma kołaczy", „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje", „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz", „umiesz liczyć, licz na siebie", „każdy jest kowalem swojego losu" – znamy wiele ludowych porzekadeł, stanowiących doskonałe podglebie pod (neo)liberalny paradygmat myślenia o edukacji.

Takie myślenie jest obecne także w przestrzeni eksperckiej – w niedawnym podkaście Polityki Insight prof. Maciej Jakubowski, dyrektor rządowego Instytutu Badań Edukacyjnych, opisu-

jąc rosnące nierówności edukacyjne, nie omieszkał wspomnieć w ich kontekście o ambicji. Ci, którym jej brakuje, niejako sami są sobie winni, bo przecież nic nie stało na przeszkodzie, by – mówiąc kolokwialnie – bardziej przyłożyli się do nauki. W tym paradygmacie kluczowym celem edukacji są wyniki, bo to właśnie od nich zależy sukces na rynku pracy.

Ci, którzy patrzą w ten sposób na edukację, ignorują dwa ważne czynniki: predyspozycje genetyczne i status społeczno-ekonomiczny. „Dobrzy" uczniowie, osiągający najlepsze wyniki w egzaminach, przeważnie mają jedno i drugie. Może być tak, że sama ambicja nie wystarczy. Poza tym trzeba mieć też świadomość tego, jak tę ambicję zarówno kształtować, jak i później – realizować.

Szkoła tępi nadpobudliwość, neuroatypowość, kreatywność i wrażliwość artystyczną

To jednak nie wszystko. Ludzie obdarzeni są różnymi talentami i predyspozycjami. Współczesna szkoła (nie tylko polska) premiuje raczej osoby, które dysponują określonym zestawem cech. Nadpobudliwość, kreatywność, ekstrawersja, wrażliwość artystyczna, zamiłowanie do uprawiania pewnych sportów czy wreszcie szeroko rozumiana neuroatypowość, w tym takie zjawiska jak np. dysleksja – z takim zestawem trudno dobrze odnaleźć się w szkole. Więcej: system edukacji wręcz tępi zachowania, które wynikają z wymienionych tu cech. Nie zapomnę komentarza jednej z psycholożek, która diagnozując dziecko z dysleksją, ale o ponadprzeciętnej inteligencji i kompetencjach interpersonalnych, nie zastanowiła się, jak mądrze rozwinąć jego potencjał, tylko z troską szukała recept, jak zmierzyć się z problemem, który jest nim głównie dlatego, że tak ustawiliśmy cele systemu.

Można oczywiście katować dziecko godzinami czytania na głos, ale prawdopodobnie i tak nie zostanie ono w przyszłości osobą, która będzie musiała publicznie odczytywać teksty. Co nie znaczy, że nie będzie robiła w życiu mnóstwa innych rzeczy, które lepiej wykorzystają jej naturalne predyspozycje, choćby wspomniane kompetencje interpersonalne.

Menedżerowie czy animatorzy kultury, ale także trenerzy personalni, są tak samo potrzebni jak profesorowie. Niestety, system edukacyjny zaprojektowany jest tak, jakby wszyscy mieli zostać tymi ostatnimi. Przypomina mi się w tym kontekście historia Gillian Lynne, słynnej tancerki baletowej i choreografki, która w wieku 8 lat o mały włos nie trafiła do szkoły specjalnej. Na całe szczęście spotkała psychologa, który miał powiedzieć jej matce: „Pani córka nie jest nadpobudliwą wariatką, ona jest tancerką. Proszę wysłać ją do szkoły baletowej".

Współczesna szkoła przypomina mistrzostwa lekkoatletyczne, w których oprócz biegaczy muszą startować pływacy, siatkarze, łucznicy i szachiści. Jasne, będą tacy, którzy jakoś się odnajdą w nie swojej konkurencji i przemkną przez szkołę na „trójach". Może będą i tacy, którzy się „przekwalifikują" – znamy zresztą takie przykłady ze świata sportu. Znajdzie się jednak także grupa, której kompetencje nijak nie wpiszą się w zestaw. A mogłyby, gdyby cały system nie był zaprojektowany pod wyniki i wąsko mierzony sukces. Gdyby mogły czerpać radość z samego biegania „nie na czas", a przy okazji dzielić się z innymi swoimi pasjami, rozwijając je.

Uczniowie nie powinni uczyć się dla ocen – motywacja zewnętrzna to błąd

Na początku lat 70. XX wieku eksperci UNESCO w tzw. raporcie Faure'a napisali, że społeczeństwo wyklucza osoby, które nie odnalazły się w systemie szkolnym. Mimo upływu ponad 50 lat niewiele się ↦

Na placu zabaw „Rezerwat Dzikich Dzieci" w Lublinie. Sierpień 2017 r.

↦ zmieniło. Nadal nie mamy pomysłu, jak mądrze społecznie wykorzystać talenty osób, które „przepadną” w szkole.

A w rzeczywistości Polski AD 2025 jest nawet gorzej. Mam wrażenie, że z roku na rok coraz mocniej fetyszyzujemy kwestię ocen i wyników egzaminów. Dzieciaki są od maleńkości wpychane w świat brutalnej konkurencji, w której jest się poddawanym ocenie na każdym kroku (dochodzą do tego konsekwencje tzw. sharentingu, czyli publikowania w sieci zdjęć dzieci przez rodziców). Zdecydowanie nie pomagają też dzienniki elektronicznie, które napędzają wynikowe szaleństwo – rodzice mają fasadowe poczucie kontroli, a nauczyciele fasadowy dowód, że pracują.

Parafrazując łacińską maksymę, uczniowie uczą się nie dla szkoły, ale dla ocen. Sęk w tym, że od maleńkości stymulujemy dzieci motywacją zewnętrzną. System kar i nagród, czyli w praktyce – przemoc. Tu nie ma wiele miejsca na wolność.

Oczywiście dziecko może wybrać, czy bardziej biologia, czy bardziej geografia. Wiadomo jednak, że generalnie musi wpisać się w oczekiwania. Przyjemność, radość, pasja – to pojęcia dla wybranych. Tych, którzy akurat charakteryzują się pożądanym przez system edukacyjny zestawem cech. Choć i oni poprzez kierat wyników mogą zostać skutecznie wyleczeni z pasji.

W świecie sterowanym niemal wyłącznie przez bodźce z repertuaru motywacji zewnętrznej trudno oczekiwać, aby ludzie robili coś z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie wiem, skąd zdziwienie, że dzieci i młodzież w wakacje nie chcą nic robić. Nie ma oceny, nie ma motywacji. Często nie ma też kreatywności, bo ta cecha również w obecnym modelu funkcjonowania szkoły nie jest specjalnie doceniana.

Jak nauczyć rodziców bycia rodzicami – bez świadectw i projektowania przyszłości

No dobrze, ale czy ten problem dotyczy wyłącznie młodych? Czy pokolenie obecnych rodziców nie przeszło podobnego formatowania? Czy nasz *software* aż tak bardzo się różni? Uważam, że nie. Niezależnie od faktu, że często jesteśmy przemęczeni pracą ponad siły i często brakuje nam kreatywności w budowaniu relacji społecznych, w tym relacji z własnymi dziećmi. Obawiam się, że wielu rodziców, niekoniecznie z własnej winy, zwyczajnie nie wie, co z nimi robić, zwłaszcza w czasie wakacyjnym, kiedy nie da się ich „upchnąć” na ósme zajęcia dodatkowe w tygodniu.

Oczywiście trudno oczekiwać od wszystkich rodziców kreatywności. W takiej sytuacji przydaliby się jednak z jednej strony animatorzy „kulturalno-oświatowi” (których nasz system edukacyjny nie generuje), a z drugiej strony zestaw konkretnych kompetencji i rozwiązań, które można zastosować w praktyce wychowawczej (i których nasz system edukacyjny także nie uczy).

Mam tu na myśli zarówno podstawy wiedzy z zakresu psychologii rozwojowej człowieka czy pedagogiki, jak i praktyczne umiejętności w obszarze komunikacji czy zarządzania małymi zespołami. A nawet inspiracje dotyczące konkretnych metod pracy z dziećmi.

Już widzę społeczną reakcję na wprowadzenie w szkołach zajęć wspomagających dla przyszłych, ale i obecnych rodziców. Bez ocen i bez świadectw. Bez przekonania, że to na potrzeby rynku pracy. Z drugiej strony: może wtedy nie tylko łatwiej przychodziłoby nam wypełnianie rodzicielskich obowiązków wychowawczo-formacyjnych, ale też społecznie lepiej rozumielibyśmy uwarunkowania związane z funkcjonowaniem młodego CZŁOWIEKA.

Dziecko też człowiek – ma prawo być w przestrzeni publicznej z trudnymi emocjami

Podkreślam to, bo niestety nie wszyscy postrzegają dzieci jako ludzi. Choćby w momencie, kiedy tworzone są „*child-free zones*” w hotelach czy restauracjach. Taki młody, kilkuletni (albo kilkunastomiesięczny) człowiek ma przecież prawo płakać bez wyraźnego powodu, ma prawo zachowywać się nieracjonalnie, ma prawo nie podporządkowywać się niektórym normom kultury, ma prawo być uciążliwym dla otoczenia – to wszystko przecież nie jest jego wina. A jednocześnie ma prawo być w przestrzeni publicznej.

Nie zapominajmy, że każdy i każda z nas przeszedł/przeszła przez ten etap życia, i choćby z tego powodu powinniśmy wznieść się jako społeczeństwo na wyżyny wyrozumiałości wobec tych słabości. Dokładnie tak samo, jak powinniśmy się wznieść na wyżyny wyrozumiałości wobec uciążliwości, które stają się udziałem osób starszych.

Mam pełną świadomość, że prościej zastosować przemoc. Dziecko nie chce się uczyć? Pała! Dziecko hałasuje w restauracji czy w kościele? Usunąć! Dziecko nie chce być posłuszne rodzicom? Przylać! Przemoc nie wymaga kreatywności ani wysiłku. Nie rozwiązuje też długofalowo żadnego

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym,
co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC I MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

problemu, ale daje poczucie krótkotrwałej sprawczości. Jest pójściem na łatwiznę.

Sam z rodzicielskiego doświadczenia wiem, ile wysiłku może nieraz kosztować powstrzymanie się od zastosowania choćby słownej przemocy. Ile czasu, cierpliwości, wyrozumiałości, ale i kreatywności. Przekraczanie przemocy uczy jednak, że dobrze rozumiana wolność przynosi daleko lepsze efekty, nawet jeśli nie da się ich łatwo podliczyć w słupkach.

Choć są i takie sytuacje, kiedy się da. Dziś dzieci mogą wyjechać na wakacje przez dwa miesiące w roku, bo poza nimi muszą wypełniać obowiązek szkolny. Trudno się zatem dziwić, że branża turystyczna chce przez te 9 tygodni wydusić maksimum. Zwłaszcza że kapryśna letnia pogoda może skrócić sezon. Jednocześnie właśnie z przyczyn ekonomicznych coraz więcej rodziców decyduje się na zabranie dziecka na jakiś wyjazd w czerwcu lub wrześniu, byle tylko ominąć szczyt sezonu i tym samym szczyt cen.

Naturalnie można ludziom tego zakazać i zagrozić uczniom brakiem klasyfikacji. Ale można spróbować kreatywnie przemyśleć organizację zarówno roku szkolnego, jak i w ogóle modelu funkcjonowania edukacji. Tak, aby był bardziej elastyczny, dostosowany do potrzeb i możliwości dzieci i rodziców.

Szkoła może funkcjonować przez cały rok – i przez cały rok można jechać na wakacje

Jakby to mogło wyglądać w praktyce? Dziecko zamiast w 30-osobowej klasie mogłoby funkcjonować w mniejszym zespole, niekoniecznie idealnie rówieśniczym, w którym realizacja treści dydaktycznych odbywa się w bardziej zindywidualizowany sposób.

Taka mała grupa może się umówić, że elementy wymagające pracy całego zespołu odbędą się właśnie w okresie wakacyjnym, a w maju czy wrześniu będzie przestrzeń na pracę indywidualną. Wtedy ludzie mogliby korzystać z atrakcji niemal cały rok, bo zarówno Bałtyk, jak i polskie góry (i inne lokalizacje turystyczne) mają co zaoferować wiosną, latem, jesienią i zimą. Co więcej: szkoła nie byłaby przestrzenią martwą przez długie 9 tygodni czerwca, lipca i sierpnia, tylko funkcjonowałaby przez 12 miesięcy.

Takie rozwiązanie wymaga oczywiście większej odwagi, pomysłowości, elastyczności, ale i odpowiedzialności – zarówno od szkoły, jak od dzieci i ich rodziców. A przede wszystkim od nauczycieli, którzy przyzwyczaili się do obecnego modelu. Dlatego łatwiej wprowadzić sztywną organizację i obwarować ją przymusem. Tak samo jak łatwiej ustawić szkołę pod egzaminy i oceny.

Wielu rodziców nie wie, co robić z dziećmi.
Zwłaszcza w wakacje, gdy nie da się ich „upchnąć” na ósme zajęcia w tygodniu.

Zapewniam, że to jedynie wąski, „wakacyjny” wycinek, bo takich naczyń połączonych ze szkołą jest znacznie więcej – weźmy choćby gonienie całych rodzin przed świtem, żeby dzieci mogły zdążyć na czas do szkoły, zwłaszcza w okresie zimowym. Nawet, jeśli rodzice coraz rzadziej idą do pracy na siódmą rano.

Edukacja domowa ma sens – mimo problemów „Szkoły w Chmurze”

Są już w Polsce ludzie gotowi kwestionować utarte schematy. Np. rodziny zaangażowane w prowadzenie tzw. edukacji domowej (ED). Wbrew swojej nazwie, nie odbywa się ona wyłącznie w domach, ale często także w ramach społecznych kooperatyw, które poszukują optymalnych, elastycznych rozwiązań, służących wszechstronnemu rozwojowi młodego człowieka.

Proces dydaktyczny, choć musi uwzględniać konieczność „zaliczenia” podstawy programowej, może tam obejmować znacznie więcej elementów i w bardziej zindywidualizowany sposób podejść do predyspozycji konkretnego dziecka. Skupić się mocniej na rozwoju talentów, które każdy posiada, niż martwić się, że z jakiegoś przedmiotu nie ma najwyższej oceny. Co równie istotne, może lepiej niż dzisiejsza szkoła uwzględniać specyfikę zarówno psychologii rozwojowej, jak i wiedzę z zakresu neurodydaktyki.

Oczywiście na tej drodze pojawiają się trudności i błędy. Zdaję sobie sprawę, że w ostatnim czasie wokół ED, głównie za sprawą „Szkoły w Chmurze”, narosło wiele negatywnych emocji, podkręconych relatywnie słabszymi wynikami egzaminów maturalnych – wskaźnik zdawalności był tu o 20 punktów procentowych niższy niż w tradycyjnych szkołach.

Problem w tym, że „Szkoła w Chmurze” często ogranicza się do kształcenia eksternistycznego w trybie zdalnym, co nijak nie odpowiada potrzebom i możliwości dzieci. Stworzyła także pozór, że ED jest dla każdego, co nie jest prawdą. Prowadzenie edukacji domowej wymaga zainwestowania wielu zasobów (na czele z czasem), którymi większość rodziców zwyczajnie nie dysponuje. Jednocześnie aby ED mogła stać się swoistym poligonem doświadczalnym rozwiązań, które mogą pomóc zreformować tradycyjny system oświaty, niezbędne jest funkcjonowanie specjalnych środowisk i inicjatyw wspierających rodziców.

Czy ministerstwo ma pomysł na „ocenozę”, nierówności i kryzysy psychiczne młodzieży

Niestety, zarówno poprzednie kierownictwo resortu edukacji, jak i jego obecne władze nie tylko nie są zainteresowane rozwojem tego eksperymentu, ale podejmują działania, które uderzają w funkcjonowanie instytucji wsparcia ED, a tym samym zostawiają rodziców samym sobie. Mowa tu o systematycznym obniżaniu dotacji dla szkół ED i wprowadzaniu takich zmian w algorytmie jej przyznawania, które w zasadzie uniemożliwiają ich funkcjonowanie w ramach publicznego systemu oświaty. To oznacza, że ED zostanie w praktyce zarezerwowana dla osób najbogatszych, a przecież kreatywność nie jest warunkowana wyłącznie dochodem.

Choć rozumiem powody, dla których w MEN trwają prace nad rozporządzeniem zmniejszającym po raz kolejny wsparcie dla podmiotów ED (które w skali ogólnych wydatków na oświatę jest i tak marginalne), jestem przekonany, że jego wprowadzenie uderzy nie tylko w samo środowisko ED w Polsce, ale także w cały system publicznej oświaty, który jak tlenu potrzebuje inspiracji i zmian.

Alternatywą jest dalsze zakopywanie się w neoliberalnym paradygmacie polityki edukacyjnej, z całą jego „ocenozą” i nierównościami, a także problemami psychicznymi młodzieży, które narastają z roku na rok w tempie geometrycznym. Nie stać nas na takie oszczędności.

© MARCIN KĘDZIERSKI

BARTŁOMIEJ BODZEK / EAST NEWS

Wojskowe Targi Służby i Pracy, organizowane przez MON. Tarnów, 4 kwietnia 2025 r.

Armia się stroi

MAREK RABIJ

WOJSKO | Jak na symbol instytucji, której ufamy bardziej niż Kościołowi i policji, wiemy o nim niewiele. Tymczasem najnowsza historia polskiego munduru wojskowego nabiera tempa – z możliwym happy endem.

W odniesieniu do tej firmy stara giełdowa maksyma „*sell in May and go away*" byłaby fatalną poradą. Kto zgodnie z nią przed wakacjami pozbyłby się akcji Grupy Tekstylnej Arlen i pojechał na urlop, plułby sobie teraz w brodę. Polski producent odzieży ochronnej i mundurów od czerwcowego debiutu na warszawskiej giełdzie niemal ciągle zyskuje na wartości. Inwestorzy obstawiają, że to właśnie Arlenowi przypadnie w udziale realizacja jednego z najważniejszych zamówień dla polskich żołnierzy. Nie Wojska Polskiego, ale właśnie wojskowych – mowa bowiem o nowoczesnym umundurowaniu, na które czekają od lat.

Żołnierz na przymiarce

Trwająca od kilkunastu miesięcy Operacja Szpej, czyli wymiana umundurowania i osobistego wyposażenia polskich żołnierzy, wchodzi wedle zapowiedzi resortu obrony w decydującą fazę. MON chce jeszcze w tym roku wybrać nowy wzór polskiego munduru, nowe materiały i rozpisać przetarg na dostawy.

Składając pod koniec ub. roku meldunek z postępów w realizacji planu, szef Sztabu Generalnego gen. Wiesław Kukuła wyliczył posłom z Komisji Obrony Narodowej, że do tej pory zakupiono jedynie 30 tys. kamizelek kuloodpornych i 62 tys. lekkich hełmów kompozytowych. Wojsko i MON prowadzą także testy kilku typów nowej bielizny letniej i zimowej. O tym, który ostatecznie wejdzie do wyposażenia armii, mają zdecydować sami żołnierze. Miejsce prostych szelek do przenoszenia oporządzenia wzoru „988 Lubawka" mają zająć nowoczesne modułowe pasy taktyczne. Kobiety testują z kolei damskie wzory mundurów polowych, wreszcie dostosowane krojem do kobiecej sylwetki.

Bez cienia przesady można stwierdzić, że wojsko czeka na nowe szaty bardziej niż na nowe czołgi i samoloty. W ankiecie nastrojów w armii, które w 2024 r. przeprowadziło Wojskowe Biuro Badań Socjologicznych, tylko 11 proc. żołnierzy dobrze lub bardzo dobrze oceniło ja-

kość i ilość swojego wyposażenia. Ankietowanych poproszono o wskazanie, czego brakuje im najczęściej. Przeszło co czwarty (26 proc.) wskazał na wyeksploatowane samochody, ale 15 proc. za najpilniejszą potrzebę uznało wymianę wysłużonego wyposażenia indywidualnego i umundurowania. Aż 35 proc. żołnierzy zawodowych i kontraktowych nie pamiętało, by w czasie służby w ich jednostce kiedykolwiek wymieniono mundury; kolejne 21 proc. deklarowało, że nowych sortów nie widziało co najmniej od trzech lat.

Gdzie te miliardy

Rzeczywistość polskich jednostek wojskowych nadal nie wygląda więc tak bajecznie, jak w relacjach sztabowców i deklaracjach polityków wszystkich niemal obozów, którzy na każdym kroku chwalą się budżetem na obronność sięgającym 4,7 proc. PKB. Odpowiadając na pytanie o kierunek rozwoju sił zbrojnych, aż 61 proc. żołnierzy jako priorytetową wskazuje modernizację techniczną i wymianę wyposażenia, a dopiero potem zwiększanie liczebności. Przeszło połowa podkreśla, że modernizację zna wyłącznie z przemówień polityków, bo w ich jednostkach od lat nie pojawił się nowy sprzęt.

Jak to możliwe w sytuacji, gdy tylko w tym roku do wojska trafić ma ponad 186 mld zł, a w dekadzie 2024-2035 zsumowane wydatki na obronność przekroczą 643 mld zł? Statystycy z Wojskowego Biura Badań Socjologicznych zapewniają, że to w głównej mierze specyfika organizacji sił zbrojnych, w których obok jednostek wysokiej gotowości są też formacje zaplecza. Nowy sprzęt płynie dziś głównie do oddziałów, które w strukturach armii są jednostkami pierwszoliniowymi, np. do 6. Brygady Powietrznodesantowej, 21. Brygady Strzelców Podhalańskich czy 12. Szczecińskiej Brygady Zmechanizowanej, doskonale wyszkolonych i w pełni zgranych operacyjnie z NATO. Reszta musi po prostu poczekać na swoją kolej.

Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona, niż utrzymują statystycy, i nieoficjalnie przyznają to nawet najwyżsi dowódcy, z generałem Kukułą na czele. Po dekadach niedofinansowania lista pilnych potrzeb armii rozrosła się tak bardzo, że zabrakło na niej miejsca dla komfortu żołnierzy. Dla generalicji, która służbę zaczynała jeszcze w PRL-u, taki wybór był zresztą oczywisty. W Ludowym Wojsku Polskim jakość nigdy nie miała większego znaczenia. Armia z masowego poboru miała być liczna i musiała być licho wyszkolona. Miała też fatalne wyposażenie, czego symbolem były ciężkie metalowe hełmy, buty, które „dopasowywały stopy do siebie" oraz słynne pasy do przenoszenia sprzętu, zwane „szelkami-dusicielkami".

Z chwilą, gdy armia przeszła na zawodowstwo, profesjonalny miał się stać także sprzęt żołnierzy. Zawieszenie zasadniczej służby wojskowej nie pociągnęło za sobą jednak modernizacji wyposażenia. W ten sposób wojsko wkroczyło w nową geopolityczną rzeczywistość w mundurach, butach i w hełmach z poprzedniego stulecia.

Nie dla wędkarzy

A tak się składa, że ostatnia dekada XX w. spauperyzowała polski mundur wojskowy. PRL, która pod koniec 1989 r. miała pod bronią ok. 340 tys. żołnierzy, zostawiła swej następczyni przepastne magazyny wypełnione zapasami grubo ponad potrzeby przeszło dwukrotnie mniejszej armii III RP. Rozpoczęła się era wyprzedaży, które w kilka lat wyposażyły w mundury armię polskich grzybiarzy, wędkarzy i działkowiczów.

Kamuflaż wzór 68, zwany powszechnie „Moro", jeszcze w 1989 r. został pospiesznie zastąpiony wzorem 89 „Puma", ale nowość nie zagrzała miejsca za bramami jednostek. Już cztery lata później ustąpiła miejsca kamuflażowi wzoru 93 „Pantera" z charakterystycznymi trójkolorowymi plamami w kształcie przypominającym liście dębu. „Pantera" miała początkowo być jedynie wzorem mundurowym specjalsów z GROM-u, zaprojektował ją jeden z oficerów tej elitarnej jednostki, ale gdy na ćwiczeniach zaczął w niej paradować prezydent Lech Wałęsa, wzbudzając zainteresowanie nowym kamuflażem, postanowiono ją wprowadzić we wszystkich jednostkach lądowych.

Wzór 93 obowiązuje w Wojsku Polskim do dzisiaj. O wiele krótszą metrykę mają przepisy zakazujące chodzenia w – choćby i niekompletnym – mundurze cywilom. Sens wprowadzenia takiego zapisu polskie władze dostrzegły dopiero w roku 2016, dwa lata po tym, jak na wschodzie Ukrainy i na Krymie zaroiło się od rosyjskich „zielonych ludzików", a Putin tłumaczył, że mundury przypominające rosyjskie można kupić w prawie każdym sklepie z militariami.

Kolejną cegiełkę w murze oddzielającym polskich cywilów od mundurów postawiła ustawa o obronie ojczyzny z 2022 r. Przepisy w aktualnym brzmieniu są bezwzględne. W mundurze wojskowym mogą w Polsce chodzić jedynie żołnierz pozostający w służbie, cywil pracujący w wojskowej jednostce, któremu przysługuje takie prawo z mocy pełnionej funkcji, oraz uczniowie szkół wojskowych. Weteranom i żołnierzom w stanie spoczynku wolno wkładać go tylko na uroczystości państwowe. Jedynym dopuszczanym przez prawo przypadkiem, gdy mundur zakłada cywil, są inscenizacje lub produkcje filmowe i teatralne – o ile wcześniej zgodę wyrazi na to wojsko.

Ufamy żołnierzom

Statystyczny Polak nie zdaje sobie nawet sprawy, że zakładając kompletne barwy polskiej armii, złamałby prawo. Ale nie musi. Jeśli za miarę naszego stosunku do munduru uznać zaufanie do armii, to uniformy żołnierzy budzą dziś powszechnie bardzo ciepłe skojarzenia. Jak wynika z ankiety przeprowadzonej na początku tego roku na zlecenie Polskiego Instytutu Ekonomicznego, armii ufa aż 74 proc. społeczeństwa, więcej niż WOŚP (71 proc.), bankom (60 proc.), policji (57 proc.), Unii Europejskiej (52 proc.) oraz Kościołowi katolickiemu (36 proc.).

Wojsko przez lata budowało sobie tę pozycję, prezentując społeczeństwu wyraźną – jak na polskie realia – apolityczność. Żołnierze i ich dowódcy zawsze mieli oczywiście rozmaite sympatie polityczne i światopoglądowe, ale zazwyczaj udawało im się nie przynosić ich do pracy. Nawet u schyłku ostatniej kadencji PiS, kiedy ugrupowanie Kaczyńskiego zerwało z niepisaną regułą zakazującą grania o poparcie sprawami bezpieczeństwa kraju, armia zdołała uniknąć losu całkowicie zwasalizowanej policji i Straży Granicznej.

Owszem, Mariusz Błaszczak z lubością organizował kolejne konferencje z żołnierzami w roli statystów. Wojsko przejeżdżało, maszerowało i przelatywało na każde wezwanie MON, ale w debacie politycznej żołnierze się nie pojawiali. Nawet głośna dymisja, złożona w trakcie ↦

↦ kampanii wyborczej przez Rajmunda Andrzejczaka i Tomasza Piotrowskiego, dwóch najwyższych dowódców, przez część żołnierzy została uznana za jeden krok za daleko, mimo że obaj dowódcy konsekwentnie odmawiali komentarzy do swojej decyzji.

Czas neogenerałów

Od 6 sierpnia Wojsko Polskie ma nowego zwierzchnika. Karol Nawrocki jeszcze w kampanii wyborczej dawał do zrozumienia, że uprawnienia, które daje prezydentowi artykuł 134. Konstytucji, będzie interpretować dosłownie. Polska ustawa zasadnicza mówi wprawdzie, że w czasie pokoju głowa państwa sprawuje kontrolę nad armią „za pośrednictwem ministra obrony narodowej", bo polityka obronna kraju pozostaje w gestii rządu, ale dla Nawrockiego kluczowe decyzje dotyczące wojska, zwłaszcza personalia, mogą być zbyt ważnym poletkiem konfliktu z gabinetem Tuska, aby oddać je bez walki.

Upolitycznienie procedury nominacji generalskich może być dla nowego prezydenta tym prostsze, że to nie on zapoczątkowałby ten proces. Jak podkreśla generał broni w stanie spoczynku Mirosław Różański, a obecnie senator, Polska jest jednym z nielicznych krajów NATO, w których awans na stanowisko generalskie w strukturach wojskowych nie pociąga za sobą automatycznej nominacji na taki stopień. Zdarzają się sytuacje, kiedy pod wyborem sztabowców z jakiegoś powodu długo nie podpisuje się MON i nie kieruje do prezydenta wniosku o przyznanie stopnia generała.

W tej sytuacji łatwo wyobrazić sobie scenariusz, w którym nowy prezydent odkłada *ad Kalendas Graecas* wręczenie patentów generalskich nominatom wskazanym przez szefa MON. Taki konfrontacyjny kurs z pewnością przypadłby do gustu akolitom Nawrockiego, którzy w stadionowym stylu wygwizdali ministra Kosiniaka-Kamysza podczas uroczystości przekazania prezydentowi-elektowi zwierzchnictwa nad armią. W wariancie konfrontacji totalnej głowa państwa mogłaby nawet posunąć się do wręczenia nominacji generalskich z pominięciem MON. W wojsku mielibyśmy wówczas do czynienia z kopią kryzysu w sądownictwie. Żołnierze niższych szczebli niemal codziennie musieliby odpowiadać sobie na pytanie, czy obowiązuje ich posłuszeństwo wobec „neogenerałów".

Kluczowe pytanie brzmi – jak zachowa się wówczas armia? Czy korpus oficerski nie ulegnie pokusie szybszej ścieżki awansu i da się wciągnąć w konflikt polityczny między rządem a prezydentem? A nawet szerzej: czy polskie wojsko pozostanie apolityczne, czy może dojdzie do wniosku, że najwyższy czas wesprzeć „swoich"?

W prawo zwrot

Wojsko ma dziś serce wyraźnie po prawej stronie. Pokazał to opublikowany przed kilkoma dniami raport o „Aktywności wyborczej żołnierzy podczas wyborów prezydenckich 2025 r.", przygotowany na zlecenie fundacji Stratpoints kierowanej przez gen. Różańskiego. Autorzy przeanalizowali wyniki pierwszej i drugiej tury w 34 komisjach wyborczych w miejscowościach, w których dużą część populacji stanowią wojskowi i ich rodziny. W pierwszej turze najsilniejszą dysproporcję w stosunku do średniej krajowej odnotowano w liczbie głosów oddanych na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Poparcie dla pierwszego w analizowanych komisjach było wyższe aż o 9,07 punktu procentowego niż wynik krajowy, a dla Brauna o 1,29 punktu procentowego. W komisji przy bazie polskiego kontyngentu w Kosowie Mentzen i Braun zdobyli łącznie przeszło 65 proc. głosów! W drugiej turze w 34 analizowanych komisjach Karol Nawrocki wygrał z Rafałem Trzaskowskim 56,91 proc. do 43,09 proc.

Wysokie poparcie dla kandydatów prawicy wśród żołnierzy nie oznacza oczywiście, że wojsko jest gotowe do rokoszu. Nie jest również niespodzianką. Kandydaci z kręgu Konfederacji cieszyli się dużą popularnością w całej populacji wyborców przed trzydziestką, a wojsko to z definicji matecznik młodych mężczyzn. Antysystemowa agenda Konfederacji, uderzająca głównie w instytucje państwa, jest jednak dobrym podłożem dla wzrostu rozmaitych ekstremizmów, niebezpiecznych zwłaszcza wtedy, gdy rozkwitają w środowisku sankcjonującym systemową przemoc – a takim przecież jest armia.

Polska polityka brutalizuje się od lat. Dlatego Wojsku Polskiemu, które właśnie obchodzi swoje święto, wypada życzyć, żeby nadal trzymało się od niej z daleka.

©℗ MAREK RABIJ

Kupić, skrócić

UMUNDUROWANIE Wojska Polskiego w detalach opisuje rozporządzenie Ministra Obrony Narodowej z 20 maja 2022 r. Nasi żołnierze mają dziś do dyspozycji aż osiem wzorów mundurowych, od polowego, używanego na co dzień, aż po wieczorowy, który oficerowie wkładają na specjalne okazje.

NIE MA tu miejsce na modową dezynwolturę, choć wojskowym pozostawiono nieco swobody w doborze akcesoriów, takich jak teczka, okulary przeciwsłoneczne czy symbole żałoby. Po ostatnich zmianach z maja br. żołnierzom wolno także łączyć z mundurem elementy wyposażenia rodem ze sklepów z militariami dla cywilów, takie jak plecaki w barwach maskujących i rękawiczki taktyczne. Przepisy próbują tu nadgonić realia, a te są takie, że w część wyposażenia nasi żołnierze od dawna zaopatrują się sami, kierując się własnym gustem i potrzebami. MON musiało też w końcu pogodzić się z faktem, że Wojsko Polskie podczas swoich rutynowych zajęć wchodzi czasem w interakcje ze społeczeństwem oraz siłami sojuszniczymi NATO. W rozporządzeniu pojawiły się więc zapisy sankcjonujące noszenie kamizelek odblaskowych przez żołnierzy kierujących przemarszem kolumn wojskowych po drogach publicznych oraz *passus*, który pozwala wreszcie legalnie założyć cienką bluzę taktyczną pod noszak z płytami balistycznymi.

POD KONIEC ubiegłego roku sejmowa Komisja Obrony Narodowej wyraziła nawet zgodę na przełomową zmianę regulaminu, która wreszcie pozwoliłaby żołnierzom dekompletować sorty mundurowe i dokonywać drobnych modyfikacji dopasowujących je do budowy ciała. Na razie jednak za samowolne zwężenie spodni lub skrócenie nogawek można, przynajmniej w teorii, wpaść w kłopoty. ©℗ MR

HUBERT BIERNDGARSKI / REPORTER

Kiedyś to była ryba. Port w Ustce, 2010 r.

Została tylko woda

AGNIESZKA KAMIŃSKA

GOSPODARKA | Nie ma ryb, nie ma rybaków – słychać w polskich portach, gdy kolejne kutry idą do kasacji. Era dorsza w Bałtyku minęła, czas na wiatraki. Dla pracujących na morzu: koło ratunkowe czy kurs na dno?

Im mniej ryby w skrzynkach, tym więcej wspomnień. Porty rybackie puchną od opowieści o dwukilogramowych flądrach, o sieciach tak pełnych, że nie mieści się w nich dłoń, o dorszu, którego nadmiar zakopywano w lesie, o smażalniach otwartych przez cały rok. Kiedyś to była ryba. A dzisiaj? Została tylko woda – słychać w Ustce, Władysławowie, Darłowie.

W Łebie o poranku jest jeszcze sennie. Port jest tutaj centrum miasta. Na wodzie kołysze się kilka łodzi, z jednej dobiega muzyka. Pachnie rybą.

– Stoję jeszcze, ale po pas w bagnie – słyszę na powitanie. Rozmówca jest nieufny, nie chce się przedstawiać. Obawia się kontroli, bo „rybak to teraz łodziej jest". Kto tak mówi? Politycy, ekolodzy, którzy nigdy na morzu nie byli. – Tępią nas. Limity na dorsza wprowadzili. Foki wyżerają ryby z sieci i nic nie można z tym zrobić. Foka ważniejsza niż dzieci moje.

Powoli zaczynają schodzić się turyści. Pytają o dorsza. Dziś jest tylko flądra i ostatnia skrzynka śledzia, ale już zamówiona. – Za darmo pracujemy – mówi rybak. Pytam, dlaczego jeszcze łowi. – A co tu innego robić? Rybak, który nie pływa, długo na lądzie nie wytrzyma.

Sezon na szprota

Na koniec 2024 r. morska flota rybacka w Polsce liczyła 721 statków. W ciągu roku ubyło ich ponad sto. Ostatnio tak znaczna redukcja miała miejsce tuż po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Znikają zwłaszcza mniejsze łodzie, wydawałoby się: na stałe wpisane w krajobraz nadmorskich miejscowości. To ich załogi żyły głównie z połowów dorsza.

Jeszcze w latach 2015-2019 polskie statki wyławiały ok. 200 tys. ton ryby rocznie, z czego trzy czwarte z łowisk bałtyckich. Oprócz szprotów, ostroboków i śledzi, najczęściej właśnie dorsza. Ale od 2020 r. połowy tej ryby są zakazane ze względu na zły stan jej populacji w Bałtyku. Może się trafić wyłącznie w tzw. przyłowie, czyli przy okazji połowów innych gatunków. Również tutaj obowiązują limity, których wysokość wyznacza corocznie Komisja Europejska.

Dorsz z Bałtyku, nawet jeśli się trafi, jest chudy, rybacy nazywają go „bolkiem". Nadmorscy restauratorzy przyznają, że wolą atlantyckiego, większego i bardziej mięsistego. Zakazane są też ukierunkowane połowy łososia. Latem w smażalniach coraz trudniej przekonać turystów, że to, co trafia na talerz, jest prosto z kutra. W ubiegłym roku w Bałtyku złowiono już tylko 75 tys. ton ryby. Krajowy surowiec zaspokaja co najwyżej jedną trzecią potrzeb przetwórstwa.

– Obecnie w Bałtyku poławiane są głównie szproty i śledzie. Wolno łowić ↦

↦ stornię, czyli flądrę, ale nie są to ilości pozwalające utrzymać się mniejszej flocie. A zasoby dorsza, mimo ograniczenia połowów, odbudowują się bardzo wolno – mówi prof. Jan Horbowy, kierownik Zakładu Zasobów Rybackich w Morskim Instytucie Rybackim w Gdyni. Jako przyczynę słabości dorsza wskazuje zmiany środowiskowe. Ryba ta do rozrodu potrzebuje wody słonej, zimnej i dobrze natlenionej. – Powiększające się strefy beztlenowe w Bałtyku powodują, że ginie bentos, czyli bezkręgowce, którymi żywi się dorsz, stąd też jego wysoka śmiertelność naturalna – tłumaczy. – Można się spodziewać, że zakaz połowów dorsza w najbliższych latach zostanie utrzymany.

Połowy szprota, który trafia głównie do przetwórstwa, są rentowne dla większych kutrów trałowych, choć i one w okresie ochronnym tarła dorsza, czyli od maja do końca sierpnia, mają zastój. „Łodziowcy", czyli rybacy małoskalowi, korzystający z sieci stawnych, łowią teraz głównie flądrę, turbota, troć bałtycką.

– Tym, co złowiłem rano, nie jestem w stanie zaspokoić nawet kilku zamówień detalicznych. Ci z nas, którzy zostali, robią to już chyba tylko z sentymentu – rozkłada ręce Jacek Wittbrodt z Władysławowa. Prezes Zrzeszenia Rybaków Morskich na pytanie o sytuację rybaków odpowiada: — Nie ma o czym rozmawiać. Rybołówstwa już nie ma.

Choć tak jak on, wielu jego kolegów jeszcze nie złożyło sieci, są zmuszeni szukać sobie innego zajęcia.

Na unijnej kroplówce

Według różnych szacunków w rybołówstwie morskim może wciąż pracować ok. 2 tys. osób. Dzięki funduszom z UE (w latach 2014-2020 wypłacono ponad 860 mln zł) armatorzy inwestowali w statki i sprzęt oraz nowoczesne przetwórnie ryb, otrzymywali też rekompensaty za tymczasową przerwę w połowach, spowodowaną pandemią Covid-19, a potem rosyjską agresją na Ukrainę, i pokrywali straty spowodowane przez foki.

Wielu za dotacje zainwestowało w gastronomię, otworzyło sklepy z rybami, tawerny, smażalnie. Niektórzy poszli w turystykę, postawili domki letniskowe, otworzyli wypożyczalnie sprzętu wodnego.

– Wolelibyśmy łowić ryby, niż brać dotacje, ale dla rybaków, którzy się jeszcze nie zezłomowali, udział w projektach unijnych to kroplówka, która utrzymuje przy życiu. Za chwilę i tak każdy dojdzie do wniosku, że to dłużej nie ma sensu. A nie widać młodych, którzy garnęliby się do rybołówstwa – mówi Wittbrodt.

Na morzu dodatkowym zarobkiem dla armatorów bywa udział w ekologicznych programach badawczych, np. testowaniu sprzętu fokoodpornego albo obserwacji, czy sieci nie są pułapką dla ptaków. Morski Instytut Rybacki od czasu do czasu czarteruje statki rybackie np. do monitorowania środowiska czy połowów badawczych łososi. Są to jednak jednorazowe zlecenia, nie stałe źródło dochodu.

Obecny program operacyjny UE dla rybołówstwa nakierowany jest już głównie na to, aby skłonić rybaków do odejścia z zawodu.

Ratuj się, kto może

– Kiedyś człowiek wychodząc w morze wiedział, że zarobi. W siatkach pełno, morda uśmiechnięta, było wesoło. Zdawaliśmy rybę i nie było dylematów, czy starczy, żeby rodzinę wykarmić. Dzisiaj jest smutno i nerwowo – odpowiada Rafał Bocheński z Darłowa na pytanie, jak zmienił się jego zawód. Pracuje na morzu od początku lat 90. Wtedy Darłowo było portem dla kilkudziesięciu statków. Dzisiaj nie widać ani jednego kutra, zostało 12 łodzi. W Ustce, kiedy Polska wchodziła do UE, pływało 115, teraz tylko 36.

– Zdarza się, że wychodzimy w morze po to, żeby wypływać dni, jakich wymagają kryteria unijnych programów. Palimy ropę bez sensu – mówi Bocheński. Przyznaje, że z zawodu uciekają wszyscy, którzy mogą. Sam też o tym myśli, ale musi się czymś zająć do emerytury. Armatorom, inaczej niż załodze, nie przysługuje świadczenie pomostowe za pracę w szczególnych warunkach. – Od lat bezskutecznie próbujemy przekonać kolejnych ministrów, że potrzebne są zmiany – mówi przewodniczący Darłowskiej Grupy Producentów Ryb i Armatorów Łodzi Rybackich.

Dla rybaków to ostatni moment, żeby zezłomować się z wykorzystaniem środków unijnych. Tylko w dwóch ostatnich naborach wniosków w programie operacyjnym dla rybołówstwa do likwidacji poszło 112 statków, kolejnych 43 czeka na kasację. Pracę straciło ponad trzystu członków załóg.

Największymi beneficjentami są armatorzy. Właściciel skasowanego statku

HUBERT BIERNDGARSKI / REPORTER

może liczyć na rekompensatę od 160 tys. do ponad 3 mln zł, w zależności od jego pojemności. Zatrudniony na statku rybak otrzymuje 100 lub 200 tys. zł odprawy (liczy się staż pracy), pod warunkiem, że odejdzie z zawodu na co najmniej 5 lat. Niektórzy mówią, że tyle można zarobić w rok, pracując na budowie w Danii. Nie brakuje też historii o takich, którzy za unijną kasę popłynęli na innej niż morska fali i zostali z niczym.

A w każdym porcie pracują też „najemnicy", żyjący od połowu do połowu, z procentu od ryby. Bez umowy, ubezpieczenia, ZUS-u, udokumentowanych rejsów, nie łapią się na pomoc. Armatorzy mają swoje zrzeszenia, ale rybacy nie mają związków zawodowych. Trudno też o zbieżność interesów właścicieli i załóg dużych kutrów oraz rybaków małoskalowych. Rozproszony głos środowiska nie ma siły przebicia i łatwo go zignorować.

Nadzieja w wiatrakach?

Na początku lipca w wodzie stanęła pierwsza turbina elektrowni wiatrowych budowanych na Bałtyku. Docelowo wiatraków ma być kilkaset, tzw. farmy wiatrowe zajmą ok. 8 proc. powierzchni polskiego morza i do 2030 r. mają dostarczyć energię dla 8 mln gospodarstw domowych. Na morzu ma miejsce wielka transformacja energetyczna Polski.

Co ta gigantyczna inwestycja oznacza dla rybaków? – Utrudni im i tak już niełatwą działalność. To kolejny element, który najpewniej przyczyni się do wygaszania rybołówstwa morskiego w Polsce – uważa Iwona Bojadżijewa, ekspertka Fundacji Instrat, autorka raportu „Niespokojny Bałtyk" badającego wpływ transformacji energetycznej na polskie rybołówstwo.

Przede wszystkim wyspy na akwenach zajmą rybakom łowiska i utrudnią do nich dostęp, a budowa i obsługa elektrowni już teraz sprawia, że zagęścił się ruch zarówno na morzu, jak i w portach: w Ustce i Łebie trwa przebudowa pod bazy serwisowe.

– Tu nie przeszkadzać, tam nie pływać. Zamiast łapać rybę, musimy usuwać się z drogi, jak jakieś rowery wodne. Jak na razie to tylko ponosimy koszty finansowe, a liczyliśmy na to, że uwzględnią nas w tym inwestycyjnym torcie – nie kryje frustracji Marcin Jodko z Krajowej Izby Producentów Ryb w Ustce.

We wrześniu 2021 r. z inicjatywy ministra klimatu i środowiska podpisano porozumienie sektorowe na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej (MEW). Jest w nim mowa o konieczności wypracowania zasad współistnienia rybołówstwa i inwestorów, a jako jeden z celów strategicznych wpisano wykorzystanie potencjału polskich armatorów przy instalacji i serwisowaniu turbin. Rybacy zostali włączeni do rozmów w specjalnie utworzonej grupie roboczej.

– Wygląda na to, że skończyło się na obietnicach. Nie usłyszeliśmy żadnych konkretów. Mam wrażenie, że temat rybołówstwa został zarzucony, a państwo jawnie sprzyja inwestorom – mówi Marcin Jodko.

Kutry rybackie mogą być wykorzystywane choćby do monitoringu na etapie budowy elektrowni wiatrowych, jednak ze względu na rygorystyczne standardy ze strony inwestorów to opcja dla niewielkiego procenta floty. Na dodatek w 2022 r. Ministerstwo Infrastruktury zawęziło definicję żeglugi krajowej, wycinając z niej morską strefę ekonomiczną. Branża odebrała to jako blokadę dostępu do niej dla polskich załóg.

Rozwój MEW otwiera możliwości pracy dla serwisantów. Wymaga ona jednak certyfikatów, szkoleń, kursów językowych. Na to potrzeba czasu, pieniędzy i siły, a średnia wieku w rybołówstwie to 48 lat.

– Szanse na to, że rybacy będą masowo migrować do tego sektora, są niewielkie. MEW nie będzie kołem ratunkowym dla rybołówstwa. Skorzystają nieliczni – podsumowuje ekspertka Instrat.

Dawid kontra Goliat

Jak na razie to rybacy bardziej niż na pracę przy wiatrakach liczą na odszkodowania od deweloperów za utratę potencjalnych połowów. Ogólne zasady rekompensat miały znaleźć się w ustawie, którą Ministerstwo Klimatu i Środowiska skierowało w lipcu do rozpatrzenia przez Radę Ministrów. Ale zapisy dotyczące rybaków z niej wypadły – jak informuje MKiŚ ↦

Protest rybaków przeciwko zakazowi połowu dorszy w Bałtyku. Ustka, styczeń 2020 r.

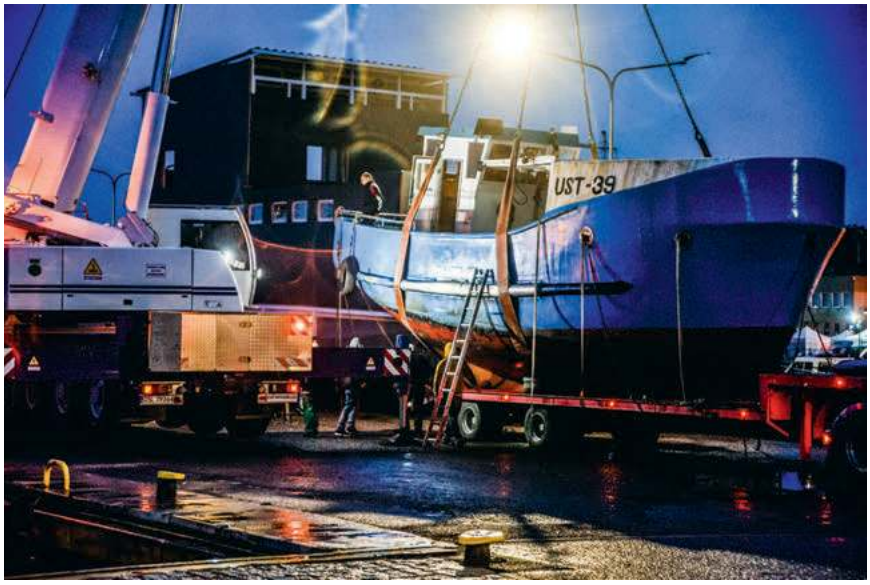

HUBERT BIERNDGARSKI / REPORTER

Złomowanie kutrów rybackich. Port w Ustce, 11 lipca 2024 r.

– „ze względu na złożoność tych kwestii i konieczność wyważenia interesów różnych stron". Wypracowaniem regulacji ma się zająć resort rolnictwa.

Ten zaś odsyła do wspomnianej ustawy. Jednocześnie szykuje rybakom podwyżki kar pieniężnych i nowe sankcje za naruszenie przepisów połowowych. Nie czekając na systemowe regulacje, pierwsze odszkodowania wypłaciło rybakom konsorcjum Orlen i Northland Power (Baltic Power), deweloper jednej z elektrowni wiatrowych. W odpowiedzi na postulaty rybaków, do podstawy wyliczeń włączono tzw. rok dorszowy, kiedy połowy były jeszcze dozwolone. Kwestią sporną pozostaje historyczna wartość połowów – rybacy podają inne dane niż inwestor. Trudno też przewidzieć, co przyniesie przyszłość.

– Łowiska będą przecież zablokowane na kolejne dekady. Może za parę lat pojawi się tam ryba, a nam nie wolno będzie po nią pływać – zwraca uwagę Rafał Bocheński.

Baltic Power poinformował, że niemal stu armatorów otrzymało rekompensatę, ale okazuje się, że w większości były to wypłaty jednorazowe (35 tys. zł) dla statków rekreacyjnych i przewoźników wędkarzy. – Jesteśmy rozgoryczeni postawą inwestora – mówi Marcin Jodko.

Inwestor zaś liczy na ministerialne przepisy i zapewnia, że jeśli się pojawią, wyrówna ewentualne różnice w wysokości rekompensat. Deklaruje też, że stawia na „polski wkład" w projekt. – Udział polskich przedsiębiorstw w całym cyklu życia farmy, od fazy rozwoju, poprzez budowę, aż po ok. 30 lat eksploatacji, wyniesie minimum 21 proc. – zapewnia Magdalena Podsiadły z Baltic Power. Jeśli chodzi o rybaków, firma widzi dla nich miejsce choćby w bazie serwisowej w Łebie, gdzie zatrudnienie ma znaleźć ponad 70 osób. Spółka oferuje bezpłatny dostęp do internetowej platformy nauki języka angielskiego. – Rozważamy także dofinansowanie do specjalistycznych kursów oraz szkoleń potrzebnych do pracy w sektorze *offshore wind* – dodaje Podsiadły.

Na koniec 2024 r. morska flota rybacka w Polsce liczyła 721 statków. **W ciągu roku ubyło ich ponad sto.**

Sytuację, w której rybacy muszą sami negocjować warunki rekompensat z gigantami *offshore*, negatywnie ocenia Fundacja Instrat. – Instytucje państwowe zawodzą. Nie przewodzą temu procesowi w sposób, który uwzględniałby interesy poszkodowanej grupy. Brakuje też działań skierowanych bezpośrednio do członków załóg, którzy w środowisku rybackim są grupą najbardziej wrażliwą – uważa Iwona Bojadżijewa.

Rybacy nie są przeciwni zielonej energii, ale nie kryją rozczarowania brakiem działań administracji centralnej. Jacek Wittbrodt zwraca uwagę, że reaktywowane w 2015 r. Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej zlikwidowano pięć lat później, w 100. rocznicę zaślubin Polski z Bałtykiem. – Tak państwo traktuje morze, które ma żywić i bogacić? – pyta, nawiązując do hasła ze słynnego muralu w porcie morskim w Helu.

Co dalej z Bałtykiem?

Nastroje wśród rybaków są więc minorowe. – Jeśli nie znajdzie się sposób na utrzymanie małego rybołówstwa, niedługo łodzie rybackie będziemy oglądać już tylko w skansenie – mówi Rafał Bocheński z Darłowa. Jest nadzieja, że po kolejnej fali złomowania statków kwoty połowowe rozłożą się korzystniej dla pozostałych. Pytanie tylko, czy będzie co łowić?

– Jeśli wziąć pod uwagę stan środowiska, za który odpowiada człowiek, kondycja Bałtyku jest najlepsza od 40 lat – uważa prof. Jan Marcin Węsławski, kierownik Zakładu Ekologii Morza w Instytucie Oceanologii PAN w Sopocie. Ale Bałtyk się zmienia: jest słonawym, szybko ogrzewającym się morzem. – Nie mamy możliwości zatrzymania zmian, przy czym najnowsza, ocieplenie od lat dwutysięcznych, jest najszybsza – mówi ekspert. I zapowiada, że w Bałtyku raczej będą rozwijać się gatunki słodkowodne: płocie, okonie, szczupaki, sandacze.

Na skutek tych zmian w Szwecji odkryto możliwości wykorzystania porastających tamtejsze klify omułków. Do pracy przy ich zbiorach angażują się rybacy. Bogate w białko małże wykorzystywane są m.in. jako dodatek do pasz dla zwierząt. – Na całym świecie rybacy zmieniają narzędzia, statki i przyzwyczajenia, zgodnie z tym, co oferuje im środowisko. U nas pokutuje przeświadczenie, że ma być, jak było. Nie będzie. Trzeba się skupić na adaptacji – podkreśla Węsławski.

– Nie siedzimy z założonymi rękami – zapewnia Marcin Jodko. – Ale trudno planować, inwestować w sprzęt, brać kredyty, kiedy nie wiemy, ile ryby w przyszłości będzie nam wolno łowić. Z tego, co widzimy w sieciach, dorsz krytyczny moment ma już za sobą. Czekamy na lepsze czasy.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

OLGA

Drenda: *Ci sami ludzie*

Zbieram hobbystycznie stare numery pewnego ilustrowanego czasopisma poradnikowego. Jest w tym ciekawość może nie tyle tego, jak się dawniej żyło, ale jak żyć chciano (wszak do tego również służą poradniki) i jakie problemy wyciągano na plan pierwszy. Najciekawsze jest w nich jednak pewne znaczące tąpnięcie. Wydania z czasów „Drugiej Polski" lat 70. przedstawiają obraz w nasyconych barwach, optymistyczny, nowoczesny i zdroworozsądkowy. Dziarscy i pomysłowi tatusiowie w ogrodniczkach meblują domy tak, by każdy miał swój własny nasłoneczniony kącik, a mamy, uczesane jak Aniołki Charliego i dynamiczne jak Agnieszka z „Człowieka z marmuru", po spożyciu gotowych tortellini produkowanych przez Społem korzystają ze zmywarek produkcji polskiej na licencji włoskiej. Problemy wychowawcze rozwiązują, używając języka naukowego i powołując się na najnowsze odkrycia, a na co dzień starają się praktykować Kotarbińskiego etykę dobrej roboty. Nieważne, czy na wsi, czy w świeżo ustanowionym mieście wojewódzkim – jesteśmy przedsiębiorczy, pogodni i gotowi zakasywać rękawy. Wydaje się, że jeszcze trochę, a Polska przegoni Szwecję.

Kilka lat później – zwłaszcza tuż po stanie wojennym – obserwujemy relację z innej planety. Nie chodzi jedynie o dojmującą biedę, posiłki typu „coś z niczego", cerowanie wielokrotnie już zacerowanych skarpet. Przede wszystkim poradniki z lat 80. to raport z międzyludzkiej pustyni. Na fotografiach ludzie płaczą lub wymierzają sobie kopniaki. Główne tematy to przemoc: ta napędzana przez nałogi, ale też praktykowana dla zabicia czasu i zajęcia sobie czymś rąk. Do tego przeraźliwe zimno między ludźmi: raporty donoszą o dzieciach nienawidzących rodziców i rodzicach brzydzących się dziećmi, o dorosłych wypychających z autobusu zmarznięte maluchy, a przede wszystkim o powszechnym, desperackim krzyku o miłość, który nie spotyka odpowiedzi.

Sypkość dobrobytu

OLGA DRENDA

A przecież adresaci i nierzadko bohaterowie tych treści to ci sami ludzie, którzy odrobinę wcześniej oglądali w telewizji koncert Abby i popijali colę, a później dzielili nadzieję ze strajkującymi w 1980 r. Czy to partyjni decydenci wpadli celowo na pomysł, by pognębić obywateli i pokazać im szydercze zwierciadło, by odechciało im się Solidarności? Raczej wpadli we własną pułapkę: wypuszczali stopniowo między ludzi wirusa przemocy i niskich pobudek, czego kumulacja nastąpiła w stanie wojennym, i musieli przyjąć do wiadomości swoje wątpliwe dzieło. Lekka, ciekawostkowa lektura zmieniła się w pouczające doświadczenie, ujawniające, jak szybko załamuje się wzajemne zaufanie, a górę bierze, no cóż, zło, głupie zło.

Przed wielu laty wpadła mi w ręce książeczka z serii małych wydawnictw popularyzujących sztukę dla każdego – tej „z Nefretete". Zapamiętałam z niej obraz Ewy Kuryluk „Ikowie to my", z portretem malarki i jej męża upozowanych na przedstawicieli tego ludu, otoczonych przez symbole dobrobytu lat 70.: meble, radio, zagraniczne papierosy. Ikowie – „ludzie gór", zgodnie z tytułem dyskusyjnej, choć wówczas bardzo poczytnej książki Colina Turnbulla – zostali przesiedleni przez rząd Ugandy ze swoich siedzib i zmuszeni do zmiany trybu życia. Turnbull odwiedził ich wkrótce po katastrofalnej suszy, która wywołała głód, a ten z kolei doprowadził do stanu wojny wszystkich przeciw wszystkim i powszechnej bezduszności.

Wizję „najgorszych ludzi świata" opisanych przez Turnbulla, kierujących się jedynie własnym interesem i pozbawionych współczucia nawet wobec bliskich, owszem, szybko skrytykowali późniejsi badacze. Przegapił on przestrogę z „Innego świata" Herlinga-Grudzińskiego, by życie w warunkach nieludzkich mierzyć właściwą dla niego miarą, i straszliwą, lecz mimo wszystko tymczasową anomalię w życiu Ików wziął za stan permanentny – kolejne wyprawy nie potwierdzały bowiem jego obserwacji. Na Europejczykach historia Ików zrobiła jednak wrażenie jako alegoria, jako przestroga dla nich samych. Ziarno egoizmu i zobojętnienia na innych tkwi i w nas, zdawała się mówić Kuryluk. Miała rację – i być może swoją diagnozę postawiła nieco za wcześnie, a może wyczuwała już jakiś niepokojący szmer. I kiedy dzisiaj widzę czasami – z przykrością, choć już z coraz mniejszym zdziwieniem, jak niegdysiejszy zwyczajny, spokojny znajomy nagle odnajduje w sobie np. pasję do gróźb karalnych, to myślę sobie, że chciałabym mieć taki refleks i słuch, który pozwala wysłyszeć, jak w kimś – lub wielu ludziach jednocześnie – coś się zapada w głowie i w sercu. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

WYBOISTA DROGA DO NORMALNOŚCI

Osiem miesięcy po obaleniu Asada Syrią targają ostre konflikty lokalne. W ostatniej odsłonie zapłonęła południowa, druzyjska część kraju.

KRZYSZTOF STRACHOTA

Miejsce dramatu: prowincja As-Suwajda, południe Syrii, region zdominowany przez społeczność druzyjską. Szacunkowy bilans zamieszek i walk, które toczą się od 11 lipca do początku sierpnia, to ponad 1,5 tys. cywilnych ofiar śmiertelnych (z czego setki miało być wymordowanych celowo), 192 tys. uchodźców wewnętrznych (szacunkowo połowa wszystkich mieszkańców prowincji); ponad tysiąc zabitych żołnierzy i bojowników (mniej więcej po połowie miejscowi Druzowie i siły rządowe oraz milicje).

W ramach trwającego konfliktu interweniował Izrael – wykonał blisko 200 nalotów na syryjskie oddziały rządowe, pałac prezydencki i ministerstwo obrony w Damaszku. W momencie pisania tekstu prowincja pozostawała poza kontrolą władz centralnych.

KIM SĄ DRUZOWIE | Konflikt na południu Syrii jest tyleż szczególny, co typowy dla dzisiejszej Syrii. Szczególny, bo dotyczy społeczności Druzów. To licząca 1-2 mln społeczność zamieszkująca głównie Syrię, ale też Liban i Izrael. Druzowie są Arabami i wyznają monoteistyczną religię wywodzącą się z islamu ismailickiego, przy czym nie czują się i nie są traktowani jako muzułmanie.

Są jedną z najbardziej zamkniętych społeczności w regionie – by być Druzem, trzeba się urodzić z dwojga druzyjskich rodziców; wgląd w ich życie jest bardzo ograniczony. Tysiąc lat historii Druzów to ciągłe walki (m.in. byli awangardą walki z francuską kolonizacją) i lawirowanie w politycznej dżungli regionu. Jednym z przykładów odrębności i szczególnych kalkulacji może być silne utożsamienie się izraelskich Druzów z państwem i objęcie ich obowiązkiem/przywilejem służby w armii izraelskiej.

PRELUDIUM KONFLIKTU | W syryjskiej wojnie domowej Druzowie stali z boku – zagrożeni przez sunnickich radykałów, z życzliwą neutralnością wobec Asada, konsekwentnie budujący swoją nieformalną autonomię. Do nowych realiów – obalenia Asada i przejęcia władzy przez sunnickich radykałów – podeszli nieufnie. Część ugrupowań druzyjskich nominalnie podporządkowało się Damaszkowi, część otwarcie zdystansowało od nowych władz, szukając parasola izraelskiego, przy czym sam Izrael otwarcie żądał i egzekwował „demilitaryzację" południowej Syrii.

Preludium do otwartego konfliktu były zamieszki wymierzone w Druzów w lutym i kwietniu br., obecne zaczęły się od bójki na bazarze. Dalej walki z miejscowymi Beduinami (wspartymi przez współplemieńców z całej Syrii), z siłami porządkowymi przysłanymi z Damaszku oraz naloty izraelskie. Wszystko w ciężkiej atmosferze pogromów, łapania zakładników, egzekucji i ucieczek uchodźczych.

Powtarzające się negocjacje przynoszą połowiczne efekty. Wśród Druzów ton dziś nadaje ugrupowanie proizraelskie i nastawione konfrontacyjnie wobec Damaszku.

WOJNĘ TYLKO ZACZYNA SIĘ ŁATWO | Konflikt na południu Syrii jest tyleż szczególny, co typowy dla sytuacji w Syrii. W marcu doszło do kilkudniowych walk i masakr w zamieszkanej przez mniejszość alawicką nadmorskiej części kraju (łącznie ok. 2 tys. zabitych) – konflikt cały czas się tli. Poważnym problemem pozostaje nieuznana kurdyjska autonomia (*de facto* parapaństwo ze wszystkimi strukturami) w północno-zachodniej Syrii: pomimo podpisanych w marcu porozumień nie doszło do realnego podporządkowania regionu Damaszkowi, z różnym nasileniem dochodzi do walk między kurdyjskimi SDF a siłami rządowymi (również w ostatnich dniach). ↦

OMAR HAJ KADOUR / AFP / EAST NEWS

W starciach między druzyjskimi bojownikami a sunnickimi plemionami beduińskimi oraz armią i jej sojusznikami zginęły setki osób. Wioska Al-Mazraa w południowej prowincji As-Suwajda, 18 lipca 2025 r.

↦ Napięcie i nieufność utrzymują się na terenach zamieszkanych przez inne mniejszości (ismailitów, chrześcijan), ale też wszędzie tam, gdzie rosną w siłę radykałowie sunniccy – czy to związani z Państwem Islamskim, czy malkontenci z obozu zwycięzców, uważający obecne (relatywnie umiarkowane) władze za zdrajców sprawy islamskiej.

PROBLEMY ODBUDOWY PAŃSTWA | Wszędzie problemem jest stworzenie przez nowe władze efektywnych i akceptowalnych lokalnie struktur administracyjnych. Wszędzie problemem jest kontrola rządu nad własnymi siłami, które są konglomeratem różnych formacji, o różnym stopniu radykalizacji, kryminalizacji i pochodzeniu (problemem są oddziały złożone z zagranicznych dżihadystów). To one, często samowolnie włączając się w konflikty, są oskarżane o eskalowanie napięć i okrucieństwa wobec ludności cywilnej.

Systemowym problemem pozostaje brak czytelnego i akceptowalnego modelu nowego państwa, w tym stopnia centralizacji, roli islamu, reprezentatywności. Oczywiście wyzwaniem są zniszczenia infrastruktury (szkół, szpitali, sądów) i brak fachowców (z bardzo kontrowersyjną sprawą angażowania ludzi starego systemu) i niezmiennie brak pieniędzy (jedną z przyczyn rozprężenia w oddziałach rządowych mają być opóźnienia w wydawaniu żołdu i korupcja).

Potężnym wyzwaniem pozostaje wreszcie aktywność sił zewnętrznych, przede wszystkim Izraela (regularne naloty na cele w całym kraju od grudnia, okupacja terenów przygranicznych, otwarte wsparcie dla separatyzmu druzyjskiego oraz Kurdów), ale też Iranu i Rosji (w różnych formach wsparcie dla alawitów, sił starego reżimu, Kurdów i sił destabilizujących kraj), Turcji czy USA (siły obu państw stacjonują w Syrii, oba wspierają rząd, ale Turcja aktywnie zwalcza Kurdów, a USA ich chroni).

Problemów i wyzwań, przed którymi stoi Syria, jest ogrom. Nie może być inaczej po 14 latach wyniszczającej wojny domowej, która realnie zdezintegrowała kraj sam z siebie zróżnicowany etnicznie i religijnie oraz położony w niestabilnym regionie. W Syrii dzieje się źle, ale nie wszystko jest stracone – jak dotąd władze, zaprzeczając swojej przeszłości (bądź co bądź radykalnego ugrupowania zbrojnego, które jest zwycięzcą w brutalnej wojnie domowej), stale poszukują politycznych i długofalowych rozwiązań istniejących problemów. Alternatywy dla Syrii nie ma.

W Syrii długo nie będzie spokojnie. Problemów jest bezmiar, nawet jeśli bledną przy dramacie Gazy.

LEGITYMACJA MIĘDZYNARODOWA | Przewrotnym komentarzem do obiektywnie złej sytuacji w Syrii i ograniczeń jej władz jest niezwykły kredyt zaufania, jakim obdarza ją świat zewnętrzny. Tylko w ostatnich miesiącach przywódca Syrii – Ahmed Asz-Szara, do niedawna ścigany za terroryzm – spotykał się z przywódcami m.in. Turcji, monarchami znad Zatoki Perskiej, wreszcie samym Donaldem Trumpem. Trwają przymiarki do jego wizyt i w Waszyngtonie, i w Moskwie.

Ministrowie syryjscy regularnie odwiedzają kraje regionu, dyskutują z ministrami USA, UE, Rosji i innych państw. W negocjowaniu konfliktów wewnątrzsyryjskich i egzekwowaniu porozumień (w tym ostatnim z Druzami) uczestniczą specjalni wysłannicy USA, ale też np. Francji. Dla obecnych władz – i porządku opartego na nich – nie ma obecnie alternatywy; ewentualny brak zaangażowania wydaje się być bardziej kosztowny niż wsparcie dla nich.

Władze syryjskie *de facto* zyskały legitymację międzynarodową, a USA zawiesiły najbardziej dokuczliwe sankcje. Państwo syryjskie jest w ogromnym stopniu finansowane przez monarchie Zatoki Perskiej, przy technicznej pomocy Turcji i szeregu projektów gospodarczych, które – w interesie biznesu tureckiego – mają ożywić gospodarkę syryjską. Jednym ze spektakularnych ostatnich przykładów była renowacja gazociągu z Turcji, zakontraktowanie przy wsparciu finansowym Kataru gazu z Azerbejdżanu i przyspieszone prace nad budową elektrowni w syryjskim Aleppo. Innym – powrót do Syrii Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego z gotowością wsparcia finansowego.

KTO CHCE STABILIZACJI... | Kredyt zaufania wobec Syrii ma silny komponent bezpieczeństwa. Potencjalne załamanie obecnych władz grozi fragmentaryzacją („libanizacją") państwa i nową odsłoną konfliktów: przede wszystkim otwartym konfliktem Turcji z Kurdami, wielkim ryzykiem wzrostu znaczenia sił radykalnych (Państwa Islamskiego lub jemu podobnych), wreszcie eskalacją konfliktów etnicznych i religijnych z dramatycznym wymiarem humanitarnym.

Tego scenariusza próbują uniknąć przede wszystkim Turcy (obecne władze są bezalternatywnym partnerem i dają nadzieję na strategiczne wpływy w całym kraju) oraz USA. Bezprecedensowe zaangażowanie polityczne administracji Trumpa w Syrii ma pozwolić na – już postępującą – redukcję sił amerykańskich w regionie i delegowanie zadań zwalczania terroryzmu itp. na władze syryjskie. Z kolei państwa Zatoki potrzebują stabilizacji.

...A KTO NIE | Za zainteresowanych destabilizacją Syrii należy traktować dwóch wielkich przegranych – Iran i Rosję, którzy zatruliby konkurentom owoce ich grudniowego zwycięstwa. Zainteresowany umiarkowaną destabilizacją i fragmentaryzacją Syrii jest również ekspansywny Izrael – silna i odporna Syria, związana z potencjalnie najważniejszym dziś (po osłabieniu Iranu) konkurentem regionalnym, tj. Turcją, tradycyjnie wspierająca wrogów Izraela i mająca konflikt terytorialny o Wzgórza Golan, nie leży w interesie Jerozolimy.

Parapaństwa Kurdów czy Druzów oraz preteksty do karnych operacji militarnych byłyby zaś doskonałymi instrumentami politycznymi w szachowaniu rywali i narzucaniu agendy politycznej.

W Syrii nie jest i nie będzie spokojnie. Nabrzmiałych – nie tylko przez wyniszczającą wojnę – problemów jest bezmiar. Sąsiednie Liban i Irak balansują na granicy głębokich kryzysów, więc sytuacja w regionie jest dynamiczna i niebezpieczna – ale blednie przy Gazie i kryzysie irańskim (ściśle: polityce prowadzonej przez Izrael).

Można i trzeba mieć nadzieję, że Syryjczykom w końcu się uda, a cena, którą zapłacą, nie będzie najwyższa. Można i trzeba mieć nadzieję, bo bezradna i bezsilna Europa może się tylko przyglądać temu, są dzieje. © KRZYSZTOF STRACHOTA

PATRYK SAWICKI / ARCHIWUM PRYWATNE

KSAWERY DUS *i* **KINGA GOC** *z dziećmi. Prowadzą Oasis Club Udabno, restaurację i hostel wraz z hotelem.*

W cieniu Kaukazu i winorośli

KAROL FRYTA

GRUZJA | W Udabno kupują krowy sąsiadom, w Tuszetii prowadzą konne wyprawy, w Batumi sprzedają nieruchomości. Tutaj Polacy to już nie tylko turyści, ale i pełnoprawni mieszkańcy. Na pograniczu kontynentów szukają nowego rytmu życia.

Kiedy w 2012 r. tania linia Wizz Air uruchomiła loty z Polski do Gruzji, Polacy ruszyli na Kaukaz. Jechali kuszeni przygodą, którą obiecywał górzysty kraj, i mityczną gościnnością, opisywaną w bestsellerze „Gaumardżos" Anny i Marcina Mellerów. Znaleźli tam dobrą kuchnię, oszałamiającą naturę, wielowiekowe zabytki i sympatię Gruzinów. Ci pamiętali 2008 rok, kiedy Lech Kaczyński pojawił się w Tbilisi w geście solidarności po ataku Rosji na Gruzję.

Więź między narodami cementował Micheil Saakaszwili. Prezydent Gruzji przyleciał na pogrzeb Kaczyńskiego mimo zamkniętej przestrzeni powietrznej nad Europą po wybuchu wulkanu. Polacy docenili ten gest.

Daleki kraj

O skali zainteresowania Gruzją mówią liczby. W 2012 r. przybyło tam 20,5 tysięcy Polaków. Rok później już 37 tysięcy. Do pandemii liczba ta rosła i w 2019 sięgnęła niemal 90 tysięcy. Teraz wraca do normy, choć w ubiegłym roku odnotowano spadek. Daleko może do odwiedzin Turcji, Hiszpanii i Włoch, ale mimo wszystko zainteresowanie jest duże. Bo Gruzja to wciąż kraj na dorobku, położony daleko, wielu kojarzy go z czasami sowieckimi.

Doktor Klaudia Kosicińska, antropolożka społeczna z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, mieszkała 7 lat w Tbilisi. Prowadziła badania dotyczące mniejszości azerbejdżańskiej w gminie Marneuli. Uważa, że do Gruzji przyciąga Polaków nostalgia i autentyczność. – Szukają tam poczucia swobody i życia, o którym słyszeli od rodziców i dziadków. To bezpośredniość w relacjach, brak pośpiechu i nadmiernej regulacji – wylicza badaczka. – Do tego dochodzi różnorodna i niezadeptana przyroda, niskie koszty utrzymania i łatwiejszy niż w Polsce dostęp do nieprzetworzonej żywności.

Nie dziwi zatem, że wielu Polaków zaczęło się w Gruzji osiedlać. Zakładają firmy, inwestują, angażują się lokalnie. Część z nich wrosła tak silnie w kaukaską ziemię, że rodzą się tam ich dzieci, wiążą się z obywatelami Gruzji czy zdobywają jej obywatelstwo.

Akademik z kurami

Martyna Kaczmarzyk-Mamasakhlisi mieszka w Gruzji od 12 lat. Po raz pierwszy przyjechała na Kaukaz jako dwudziestolatka, w ramach studenckiej wymiany. Trafiła do akademika z powybijanymi szybami, przy którym dozorca hodował kury i krowy. Z marszu zakochała się w tym klimacie. – Gościnność gruzińska miała wtedy inny charakter. Gruzini chcieli pokazać kraj i nie brali pod uwagę, co goście chcieliby zobaczyć, tylko to, co oni chcieliby pokazać. To była władcza, agresywna gościnność, której musieliśmy się poddać. I to mi się spodobało – wspomina Kaczmarzyk-Mamasakhlisi. – Wróciłam do Polski z poczuciem, że ↦

↦ chcę tam żyć. Najbliżsi pukali się w czoło, a babcia dała na mszę w intencji zmiany tej decyzji.

Dziś w Kutaisi prowadzi firmę wypożyczającą auta „Martyna z Gruzji". Zaczynała od trzech samochodów kupionych za pieniądze zarobione przy sprzątaniu hotelu na Islandii. Teraz ma flotę blisko stu pojazdów, organizuje też wycieczki po kraju.

Ale nie zawsze było tak różowo. Gdy pierwszy raz pojawiła się w Gruzji, pięć tysięcy dolarów, które miała na start, straciła na chybionej inwestycji. Postawiła wszystko na jedną kartę. Sprzedała mieszkanie w Polsce. Miała nadzieję, że jeśli znów się nie uda, to zdąży się jeszcze podnieść. Udało się.

Martyna z Gruzją związała się jak tylko można, bo jej mężem jest Mirza, pierwszy Gruzin, którego spotkała po przylocie. Przyznaje, że nie jest to łatwa relacja. Gruziński patriarchat gryzie się z polską kobiecą niezależnością. Małżeństwo między Polką a Gruzinem to walka o władzę oraz lecące cały czas iskry i wióry. Ale po tylu latach związku znaleźliśmy wspólny język – śmieje się Kaczmarzyk-Mamasakhlisi.

ARCHIWUM PRYWATNE x4

MARCIN ZAREMBA. *W Gruzji zajął się turystyką: oprowadza, organizuje supry (biesiady), tłumaczy opowieści Gruzinów i toasty tamady (biesiadnego wodzireja).*

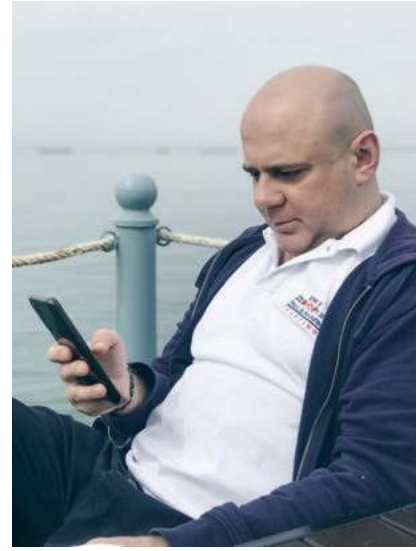

PRZEMYSŁAW STUPAK. *Prowadzi w Batumi biznes z nieruchomościami. Wybrał Gruzję, bo to był dziewiczy rynek.*

A gdzie ta Gruzja?

Przemysław Stupak prowadzi w Batumi biznes z nieruchomościami. To dobre miejsce na tę działalność, bo miasto rozwija się w szaleńczym tempie. Położone nad Morzem Czarnym bardziej przypomina bliskowschodnie metropolie niż Gruzję. W powietrze strzelają wysokie apartamentowce, w budowie jest jeden o wysokości 260 metrów. – Gdy w 2017 rozmawiałem z pierwszymi klientami, to Gruzję trzeba było pokazywać na mapie – mówi prawnik, właściciel biura „Gruzja dla ciebie". – Teraz świadomość jest o wiele większa.

Stupak był jednym z pierwszych Polaków, którzy opowiadali rodakom o rynku nieruchomości w Gruzji. Tłumaczył, czym są reformy Saakaszwilego, przekonywał, że to normalny kraj. Dziś sprzedaje około stu nieruchomości rocznie.

Zanim trafił do Gruzji, przez kilkanaście lat pracował na rynku nieruchomości w Warszawie. Gruzję wybrał, bo to był dziewiczy rynek. Na miejscu zastał dobrą kuchnię, ładną pogodę i morze, co jeszcze bardziej skłoniło go do decyzji o przeprowadzce. Przyznaje, że zawsze ciągnęło go na Wschód, który zna od dziecka. Dziesięć lat spędził między Moskwą a Kijowem, studiował stosunki międzynarodowe ze specjalnością wschodnią, pół roku mieszkał w Kazachstanie.

Gruzja ujęła go rytmem dnia. Ciepło, plaża, życie na innych obrotach. – Tutaj o ósmej rano w poniedziałek ludzie jeszcze śpią. W Warszawie o ósmej wszyscy jadą do pracy i już są wkurzeni na siebie. Gruzja dała mi coś więcej niż pracę. Budzę się codziennie i jestem szczęśliwszy niż w bloku w Warszawie – tłumaczy Stupak.

Klientami firmy są głównie Polacy: fliperzy, inwestorzy, przedsiębiorcy, osoby przed emeryturą, które pokochały Gruzję i chcą mieć wakacyjne mieszkanie. Część zarabia na wynajmie, inni po czasie sprzedają nieruchomość, zgarniają zysk i kupują kolejną.

Biznesmen znalazł w Gruzji porządek instytucjonalny: – Wpis do księgi wieczystej można dostać w jeden dzień. Konto bankowe da się otworzyć w godzinę – zachwala. – Wielu moich klientów to przedsiębiorcy zmęczeni nadmiernym fiskalizmem i przeregulowaniem. Gruzja im się podoba, bo oferuje minimum podatków i biurokracji.

Za Stalina nie piję

Marcin Zaremba trafił do Gruzji w 2010 r. Żona dostała tutaj pracę, syn był jeszcze młody, więc mieli czas na rewolucje w życiu. Zaremba na początku pracował dla niemieckiej firmy, potem założył własną. Zajął się turystyką: oprowadza, organizuje supry (biesiady), tłumaczy opowieści Gruzinów i toasty tamady (biesiadnego wodzireja).

Para osiadła w Gurdżaani, w Kachetii, rejonie, który słynie z winnic ciągnących się po horyzont. Dlatego Polak sam założył winnicę, choć wcześniej w ogóle nie pił alkoholu. – Gruzja zmienia ludzi. Tutaj wino płynie strumieniami. Chciałem zajmować się produkcją, a nie konsumpcją, ale siłą rzeczy nie da się tego robić bez konsumpcji – śmieje się Zaremba.

Dziś produkuje około 10 tysięcy litrów wina rocznie. Część rozlewa podczas biesiad z turystami. Zdarza mu się prowadzić suprę jako tamada. W gruzińskiej tradycji toasty bywają długie, nie każdy z gości ma cierpliwość. – Czasem Polacy wolą się po prostu napić niż wysłuchać opowieści – mówi właściciel winnicy. – Podczas jednej z supr, w których brałem udział, tamada wzniósł toast za Stalina. Nie wypadało mi pić. Ale tu Stalin wciąż jest przez niektórych celebrowany.

W gruzińską ziemię Zaremba wrósł na dobre. Oprócz wina przyrządza nalewki, w tym z egzotycznych owoców jak fejhua. Hoduje też ślimaki, z których produkuje kawior, a za promocję kraju – m.in. za objazdy po Polsce z grupą folklorystyczną – dostał gruzińskie obywatelstwo. Nie było łatwo. Musiał zdać egzamin z historii, języka i kultury Gru-

MAGDALENA KONIK. *Fotografka, pracuje dla Polsko-Gruzińskiej Izby Gospodarczo-Handlowej. Prowadzi też firmę turystyczną.*

MARTYNA KACZMARZYK-MAMASAKHLISI. *Prowadzi w Kutaisi wypożyczyczalnię samochodów „Martyna z Gruzji".*

zji. – To normalny kraj, gdzie wszystko funkcjonuje na podobnym poziomie jak w Polsce – ocenia właściciel winnicy. – Są różnice, ale żyjąc w obcym kraju, trzeba je akceptować.

Praca u kobiety

Magdalena Konik, fotografka, przyjechała do Gruzji z pytaniami. Początkowo interesowało ją, jak wygląda życie na styku różnych religii. Wybrała się do Adżarii, muzułmańsko-chrześcijańskiego regionu na południowym zachodzie kraju. Szukała konfliktu religijnego, który mogłaby opowiedzieć na zdjęciach. Nie znalazła. Zamiast tego natknęła się na ludzi, którzy zmieniają wyznanie, żeby iść na studia, albo żyją w rodzinach, gdzie jedni chodzą do meczetu, inni do cerkwi. Reportażu nie zrobiła. Uznała, że za mało wie, i zawzięła się, aby poznać kraj lepiej.

Wróciła do Gruzji. Jeździła po kraju autostopem, rozmawiała z ludźmi. W końcu trafiła do górzystej Tuszetii. To jeden z najbardziej niedostępnych regionów kraju, do którego można się dostać jedynie latem.

Poszła w góry z pasterzami i... wsiąkła. Początkowo na miesiąc, rok, żyje tam do dziś. Poznała język, zdobyła zaufanie i nauczyła się żyć w hermetycznej społeczności, która funkcjonuje na zasadzie poleceń i znajomości.

Przed przyjazdem na Kaukaz pracowała w branży turystycznej, m.in. w Rumunii. – Bałam się, że Tuszetia pójdzie jej śladem. Tam turystyka szybko się rozwinęła i miejsce to straciło na autentyczności. Dlatego zaczęłam tworzyć fotograficzne archiwum Tuszetii, zanim wszystko się zmieni – mówi Magdalena Konik.

Polka pracuje w patriarchalnym otoczeniu. W kulturze, gdzie kobieta ma najpierw urodzić dzieci, a dopiero potem myśleć o pracy. Konik widzi, że wiele Gruzinek mimo początkowego entuzjazmu i chęci wyrwania się z tych ram, szybko rezygnuje. Sama rozpycha się w tej rzeczywistości coraz skuteczniej. Pracuje dla Polsko-Gruzińskiej Izby Gospodarczo-Handlowej, fotografuje. Prowadzi też firmę turystyczną. Daje gościom zasmakować prawdziwej przygody. Organizuje wyprawy konne przez góry, potoki, wśród średniowiecznych kamiennych baszt Tuszetii.

Mimo że wrosła w krajobraz regionu, kobieta prowadząca biznes wciąż budzi zaciekawienie. – Początkowo sąsiedzi szydzili z mężczyzn, którzy u mnie pracują – opowiada Konik. – Ale ci tylko wzruszali ramionami, mówiąc, że mają wypłatę na czas i ustalony grafik, więc czego więcej chcieć?

Rodzina na stepie

Udabno to niewielka wieś przy granicy z Azerbejdżanem, zamieszkana przez Swanów, sprowadzonych tu z gór. Kompletne pustkowie, które przecina droga prowadząca do jednej z największych atrakcji turystycznych w Gruzji – kompleksu monastycznego Dawita Garedży.

W 2013 r. trafił tu Ksawery Duś, były dyrektor sieci sklepów sportowych, który po stracie pracy chciał odetchnąć na Kaukazie i nauczyć się nowego języka. Rok później do Gruzji przyjechała Kinga Goc, studentka piątego roku filologii francuskiej i angielskiej. Poznali się przez przypadek. Zaiskrzyło. Kinga zapałała również uczuciem do Gruzji i postanowiła zostać z Ksawerym. Ostatni rok studiów kończyła już zdalnie. Dziś są małżeństwem.

Wspólnie zaczęli prowadzić Oasis Club Udabno. To restauracja i hostel wraz z hotelem. – Nie zakładałem, że tu zostaniemy. To miała być przygoda. Ale okazało się, że to dobre miejsce do życia – wspomina Ksawery Duś.

Miejsce pośrodku niczego przyciągało. Szaleni Polacy na gruzińskim stepie kusili autentycznością. Ciągnęli tu turyści z całego świata. Para organizowała koncerty, festiwale. Na scenie muzycznej pojawili się lokalni twórcy, ale i zespoły z Polski. Płynęło wino, supra trwała w najlepsze, *dolce vita*.

Równolegle Ksawery i Kinga zdobywali zaufanie lokalnej społeczności. W restauracji zatrudnili miejscowe kucharki. Zaczęli także wspierać Gruzinów. Zorganizowali „Szlachetną paczkę", zakupy sprzętu AGD, kupili nawet krowę. – Nie chcemy być postrzegani wyłącznie jako biznes. Chcemy też coś z siebie dać – deklaruje Kinga Goc.

Kolejny etap wrastania w stepową ziemię wiąże się z przyjściem na świat córki i syna. – W oczach Gruzinów staliśmy się rodziną. Tutaj to wiele znaczy – mówi Kinga. – W wychowanie angażują się wszyscy, biegające po wiosce dzieci zawsze ktoś nakarmi, dopilnuje.

Małżeństwo nie myśli o powrocie do Polski, są wciąż zauroczeni krajem, choć podrastające dzieci wymuszają zmiany. Para dzieli teraz życie między Udabnem a stołecznym Tbilisi, bo tam łatwiej o dobrą edukację. – Może na emeryturze pojawi się pomysł powrotu do kraju? – zastanawia się Kinga. – Teraz, gdybyśmy mieli wyjechać, to szukalibyśmy innego kraju, który mógłby być wyzwaniem. ↦

Zmiany polityczne

↦ W ubiegłym roku raz statystyki ruchu turystycznego z Polski do Gruzji tąpnęły. Jeszcze nie wiadomo, czy to stały trend, bo Gruzja przestała być tania, czy problemy techniczne linii Wizz Air, która wycofała część samolotów. A może przyczyniły się do tego władze Gruzji, krytykowane za zbliżenie z Rosją? Nie zamknęły granic przed uciekającymi przed mobilizacją Rosjanami i wprowadzają ustawy ograniczające wolność obywatelską, które wzorują na rosyjskich.

Konik: – Kiedy powiedziałam, że nie współpracuję z Rosjanami, dostałam dużo hejtu, również od Gruzinów. Po zmianach prawnych można pójść do aresztu za komentarz na Facebooku. Wracamy do lat 90. XX wieku, gdy siłą rozwiązuje się problemy.

Kaczmarzyk-Mamasakhlisi: – Polityczne spory trwają w Gruzji od kiedy tutaj mieszkam. To walka o wpływy. Gruzja to łakomy kąsek. Przy ostatnim konflikcie między Izraelem a Iranem na mapie połączeń lotniczych widać było, że Gruzja to furtka między Europą a Azją. Jesteśmy oazą spokoju w regionie. Nie czuję, aby zmiany polityczne miały przełożenie na moje życie.

Stupak: – Rząd prowadzi politykę wyważoną w stosunku do wszystkich graczy. Jest rzeczywiście kilka ustaw, które są niepokojące, ale jako przedsiębiorca w ogóle tego nie odczuwam. Nie spotkałem się z żadnymi szykanami, wzmożonymi kontrolami, działaniami ze strony państwa, które mógłbym odczytać jako złośliwe.

Najbliższe lata pokażą, w którym kierunku pójdzie Gruzja i czy dalej będzie dobrym miejscem do życia. Na pewno polska obecność w tym kraju już dawno wyszła poza ramy turystycznego wypadu. Stała się jednym ze śladów globalnej wędrówki za innym rytmem życia. Nie zawsze łatwiejszym, ale często bardziej własnym.

© KAROL FRYTA

Pokolenie Zet sięga po hazard

MAŁGORZATA SIDZ Z KANADY

SPOŁECZEŃSTWO | Kasyna online i zakłady sportowe zyskują na popularności wśród ludzi młodych. Ukryte formy hazardu kryją się nawet w aplikacjach bankowych, na profilach influencerów czy w chińskich zabawkach.

Pokolenie Z na całym świecie coraz częściej wybiera hazard zamiast tradycyjnych używek, alkoholu czy tytoniu. W Europie i poza Starym Kontynentem spożycie alkoholu w najniższych grupach wiekowych sukcesywnie spada. Według amerykańskiego Centers for Disease Control and Prevention w 2024 r. tylko 5,4 proc. gimnazjalistów i 10,1 proc. licealistów w USA sięgało po produkty tytoniowe. Imprezowanie nie jest już widziane jako nieodłączny sposób spędzania czasu. Młodzi wolą socjalizować się przez media społecznościowe. Także w Polsce widać spadek w zakresie używania alkoholu i wyrobów tytoniowych przez niepełnoletnich.

Jednocześnie aż jedna czwarta polskich licealistów przynajmniej raz w życiu grała w gry hazardowe na pieniądze. W poprzednim badaniu, z 2019 r., było to 18 proc. Wygląda na to, że przedstawiciele pokolenia Z robią zakłady online dużo częściej niż poprzednie generacje.

Ma to skutki uboczne. Szacuje się, że 2-3 proc. młodzieży może być zagrożonych tzw. hazardem problemowym, który może prowadzić do uzależnienia. Uzależnienie z kolei oznacza problemy finansowe, emocjonalne, społeczne. Wszystko zaczyna się, gdy hazard staje się rodzajem eskapizmu i sposobem na trudne sytuacje życiowe.

Trading jak ruletka

Według badań IBRIS najczęściej uprawianą aktywnością hazardową jest gra na giełdzie. Co trzeci z badanych młodych grał przynajmniej trzy razy w tygodniu, co „może wskazywać na spekulacyjny, a nie inwestycyjny charakter tego typu działań" (z badania z 2022 r.).

Według badań instytutu Charles Schwab w Wielkiej Brytanii, przedstawiciele pokolenia Z i milenialsi inwestują bardziej dynamicznie. 58 proc. młodych wprowadza zmiany w swoich inwestycjach przynajmniej raz w miesiącu, w porównaniu do 31 proc. wśród pokolenia Z i boomerów. Z kolei 8 proc. grających na giełdzie milenialsów i zetek sprawdza swoje akcje codziennie – to dwa razy więcej niż wśród starszych pokoleń.

Daniel McGrath – kanadyjski psycholog i specjalista od uzależnień behawioralnych oraz kryptowalut – twierdzi, że handel akcjami (ang. *trading*) i hazard mają wiele cech wspólnych.

– Nazywamy to spekulacyjnymi działaniami finansowymi – mówi McGrath w rozmowie z „Tygodnikiem". – To coś innego niż inwestowanie. Każdy z nas słyszał w młodości, że ważne jest, by inwestować swoje pieniądze. Inwestowanie to taka bardziej tradycyjna forma: kupujesz aktywa, trzymasz i liczysz, że ich wartość wzrośnie. *Trading* tak nie działa.

Trading to dynamiczne inwestowanie w akcje z zamierzeniem wygenerowania dużego zysku w krótkim czasie. Odbywa się głównie online – do uczestnictwa w życiu giełdy wystarczy telefon i aplikacje.

Rodzaj adrenaliny

McGrath rozróżnia trzy główne rodzaje tradingu. I tak, *scalper* kupuje i sprzedaje akcje lub kryptowaluty w ciągu kilku sekund lub minut. Próbuje wykorzystać bardzo szybki ruch cen aktywów. *Day trader* kupuje i sprzedaje tego samego dnia, w ra-

MARK RIGHTMIRE / MEDIANEWS GROUP / ORANGE COUNTY REGISTER / GETTY IMAGES

Amerykańskie nastolatki Diana Lagaret i Sahar Kutlu z lalkami Labubu w Labu'Tique Shop w Anaheim. Kalifornia, czerwiec 2025 r.

mach jednej sesji. Z kolei *swing trader* zawiera transakcje w nieco dłuższych ramach czasowych, ale wciąż najwyżej na przestrzeni paru dni lub tygodni.

– Według badań prowadzonych przez nasz instytut osoby, które uprawiają *trading*, mają podobne motywacje jak hazardziści – mówi McGrath. – Szukają emocji, chcą osiągnąć szybkie zyski. To rodzaj adrenaliny. Nawet jeśli myślisz, że wiesz, co stanie się z jakąś firmą, to nie masz kontroli nad ceną z godziny na godzinę.

Według badania portalu Accelerated, wśród inwestorów zetek i milenialsów korzystających z tej platformy aż 55 proc. sprawdzało stan swoich aktywów codziennie, 30 proc. przynajmniej raz w tygodniu, a 10 proc. – co godzinę.

Mówi się już o tym, że inwestowanie przechodzi w „hazardyzację", a aplikacje telefoniczne sprawiają, że możliwość obracania dużymi sumami jest równie łatwa jak dostęp do kasyn online.

Pogoń za kryptowalutą

Także handel coraz modniejszymi kryptowalutami bazuje na mechanizmach przypominających hazard. Opiera się na ryzyku i oczekiwaniu dużych zysków w krótkim czasie. Wiąże się z takimi zachowaniami jak pożyczanie pieniędzy czy „pogoń za stratami" – gdy osoba uzależniona gra, próbując odzyskać utracone pieniądze, co prowadzi do jeszcze większych strat.

Kryptowalutami handlują najchętniej osoby z grupy najczęściej reprezentowanej wśród osób uzależnionych od hazardu: młodzi mężczyźni.

Według badania warszawskiego Instytutu Psychiatrii i Neurologii, już 18,4 proc. Polaków inwestuje w kryptowaluty. Najczęściej to osoby w wieku 25-34 lat. Ważnym mechanizmem popychającym młodych do takiego inwestowania jest tzw. efekt FOMO – obawa przed przegapieniem czegoś ważnego.

McGrath tłumaczy: – To działa tak: słyszysz, że influencer mówi o konkretnych akcjach online albo o jakiejś nowej kryptowalucie, że coraz więcej osób powtarza, że chce w nie zainwestować. Nie chcesz więc przegapić czegoś ekscytującego.

Inne zachowanie, na które zwraca uwagę McGrath, to patologiczne sprawdzanie cen i aktywów: – Tym, co odróżnia *trading* od tradycyjnego hazardu, jest konieczność ciągłego sprawdzania. Jeśli handlujesz na przestrzeni jednego dnia, to z rana kupujesz kryptowalutę, przez cały dzień sprawdzasz zmiany w jej cenie, a kończysz sesję dopiero wieczorem, naciskając przycisk sprzedaży.

Czy hazard online jest tak popularny wśród tych przedstawicieli pokolenia Z, dla których odruch ciągłego sprawdzania telefonu jest już czymś naturalnym? McGrath: – Skoro i tak sprawdzasz media społecznościowe, to dlaczego nie sprawdzić przy okazji cen swoich aktywów, prawda? W Kanadzie widzę wiele reklam aplikacji, które mówią: po co korzystać z tradycyjnego banku, skoro możesz pobrać naszą aplikację. Te reklamy podkreślają wolność finansową i możliwość inwestowania. Mamy więc pod ręką urządzenie, z pomocą którego możemy łatwo wpłacać pieniądze, inwestować i przez cały czas sprawdzać ceny.

Kasyna z bitcoinem

McGrath zwraca też uwagę na inne zjawisko, które łączy w sobie elementy tradycyjnego hazardu z kryptowalutami: – To pojawienie się kasyn kryptowalutowych. W większości krajów są one nielegalne. Ale jedno z badań, do którego zbierałem dane półtora roku temu, pokazało, że sporo osób gra już w kasynach kryptowalutowych. Logując się do takiego kasyna, możesz kupić kryptowaluty, a następnie używać ich do gry. W ten sposób podwajasz ryzyko obecne przy zakupie kryptowalut.

Podwojenie ryzyka polega na tym, że grając w kasynie, już uprawiamy jeden rodzaj hazardu. Używając zaś do tego kryptowaluty, której wartość sama w sobie jest elementem gry spekulacyjnej, uprawiamy hazard podwójny. McGrath ↦

↦ przewiduje, że z czasem kasyna kryptowalutowe będą wypuszczały własne kryptowaluty.

W Polsce działa jedno kasyno online, którego operatorem jest jednostka rządowa. Jednak w szarej strefie można już korzystać z kryptokasyn. Dzięki użyciu kryptowalut oferują większą anonimowość, bardziej dynamiczne transakcje i mniej regulacji. Podobnie jak w przypadku innych rodzajów nielegalnego hazardu, tak i tutaj nie ma mechanizmu sprawdzania wieku gracza.

Istnienie kryptokasyn ma jeszcze jeden skutek: może wpływać na zatarcie w oczach graczy granicy między inwestowaniem a grą hazardową.

Labubu na ślepo

Niektóre formy hazardu są naprawdę nieoczywiste. W 2015 r. Kasing Lung, obywatel Belgii pochodzący z Hongkongu, stworzył postać włochatego stworka z króliczymi uszami. Inspirował się, jak mówił, nordycką mitologią. Nazwał go Labubu.

Labubu podchwycił chiński producent Pop Mart. Na podstawie rysunków Lunga stworzono serię kolorowych laleczek, które można przyczepiać do torebki czy paska. W Azji zaczęły pojawiać się w 2020 r., a cały już świat dowiedział się o nich w kwietniu 2024 r., gdy Lisa – członkini Blackpink, jednego z najpopularniejszych zespołów k-popowych – wrzuciła na swój profil na Instagramie zdjęcie stworka. Po niej z Labubu pokazały się m.in. Rihanna, Dua Lipa czy Kim Kardashian.

Dziś Labubu to cała społeczność. Można kupować im ciuszki, nawet od największych designerów, a także je personalizować. Na TikToku jest już 1,7 mln postów z hasztagiem Labubu. W pierwszej połowie 2024 r. firma Pop Mart sprzedała Labubu o wartości miliarda dolarów. Ale na jej stronie internetowej zabawki są zawsze wyprzedane, często na wiele miesięcy przed ich premierą. Nie kupisz ich w sklepie, lecz od osób, które specjalizują się w ich odsprzedaży. Za najrzadsze Labubu trzeba zapłacić nawet kilka tysięcy dolarów.

Loot boxy, czyli skrzynki z łupami w grach komputerowych, angażują dzieci w zachowania przypominające hazard.

Co jest w pudełku?

Tymczasem, choć Labubu to pluszowy stworek-zabawka, chińskie dzieci nie kupią jej w sklepie. Dlaczego? Z powodu prawa, które nie pozwala na uprawianie hazardu osobom poniżej 18. roku życia. Bo kupowanie Labubu to hazard.

Sprzedawane są one w tzw. blind boxach, „ślepych pudełkach". Na opakowaniu widnieją zdjęcia stworków z danej serii, które mogą być w środku. Ale dopiero po odpakowaniu dowiemy się, który nam się trafił. Jeśli trafimy na rzadki egzemplarz, możemy go odsprzedać z zyskiem.

To sprawia, że otwieranie pudełek kreuje emocje przypominające hazard: ekscytację, wyrzut dopaminy. Rezultat jest nieprzewidywalny, co podwyższa stawkę emocjonalną. Nawet oglądając filmiki osób otwierających paczki ze stworkami, udzielają się nam emocje – czy tym razem trafi się rzadki szary Labubu?

Na odsprzedaży można zrobić biznes – i firma Pop Mart od początku nastawiała się na to, że jej produkty będą odsprzedawane. Ale żeby naprawdę zarobić, trzeba inwestować coraz więcej. Czym natomiast kupowanie Labubu różni się od hazardu, to fakt, że nigdy nie osiągamy zera: nawet po wydaniu wszystkich pieniędzy zostajemy z produktami, które mają wartość rynkową.

Ten nowy sposób marketingu przejmują już inne marki. Nike promuje „ślepe pudełka" z butami: zamawiasz, podając rozmiar stopy, ale dopiero po otwarciu paczki dowiesz się, jaki produkt ci się trafił. Masz szansę trafić na buty warte nawet tysiąc dolarów.

Ślepe łupy

Daniel McGrath zwraca uwagę na podobne mechanizmy działające w świecie wirtualnym: – Co przychodzi mi tu na myśl, to loot boxy, „skrzynki z łupami" w grach komputerowych. Kupujesz *loot box* w ciemno, płacąc pewną sumę i dopiero potem dowiadujesz się, co jest w środku. To jeszcze nie jest hazard, ale istnieje obawa, że w ten sposób angażujesz dzieci w zachowania przypominające hazard.

Kupując skrzynkę z losowymi nagrodami, możesz trafić na rzadki rodzaj uzbrojenia, nową „skórkę" (czyli świeży wygląd dla naszej postaci) albo inne przydatne w trakcie gry przedmioty. Gracze mogą wielokrotnie kupować loot boxy, licząc na zdobycie w końcu rzadkiego przedmiotu. Przedmioty te mogą być też odsprzedawane innym graczom, można więc podejrzewać, że istnieją osoby, które inwestują w nie, licząc na szybki zysk – tak jak w przypadku Labubu.

Aby uczynić kupowanie skrzynek bardziej transparentnym, w Chinach i Korei Południowej wprowadzono przepisy, według których wydawcy gier muszą ujawniać szanse na wygraną i procentowe prawdopodobieństwo otrzymania wybranych przedmiotów. W Chinach ograniczono też liczbę skrzynek, które gracze mogą kupić jednego dnia.

Mikrozakłady na meczach

Także zakłady sportowe różnią się dziś od tych tradycyjnych, składanych u bukmachera. W rodzinnej Kanadzie profesora McGratha do 2021 r. legalne były tylko zakłady kumulowane: aby zagrać, trzeba było obstawić wynik przynajmniej trzech meczy. Odkąd zalegalizowano tam zakłady sportowe w każdej formie, zmienił się sposób uprawiania hazardu w sporcie.

McGrath: – Dawniej musiałabyś wybrać trzy mecze hokeja i wskazać zwycięzcę każdego. I tylko jeśli twój wynik zgadzałby się we wszystkich trzech, wygrałabyś zakład. Teraz mamy zakłady w trakcie meczy. Obstawia się nie tylko pojedyncze wydarzenia sportowe, ale stawia się nawet mikrozakłady rozgrywające się podczas jednego meczu.

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

– To ciągła forma hazardu – dodaje psycholog. – W trakcie jednego meczu możesz przegrać wielokrotnie, a potem obstawiać dalej. Załóżmy, że obstawiasz, że twoja drużyna strzeli pierwszego gola. A jeśli nie strzelą, możesz założyć, że strzelą drugiego albo postawić na drugą drużynę. Możesz obstawić, że twoja drużyna będzie prowadzić w drugiej tercji, a potem anulować te zakłady. Jest znacznie więcej możliwości obstawiania pojedynczych zakładów w ramach jednej sesji.

Zauważam, że w trakcie meczy piłki nożnej czy koszykówki, które oglądam, na ekranie często pojawiają się dziwne statystyki – np. dotyczące tego, która drużyna dłużej utrzymywała się przy piłce, na której połowie częściej jest piłka albo który zawodnik wykonał najwięcej strzałów w tym sezonie. Zaczynam podejrzewać, że nie służą one sportowym pasjonatom, lecz tym, którzy na podstawie takich statystyk ustawiają zakłady sportowe.

McGrath: – Mam wrażenie, że ludzie zwracają teraz większą uwagę na te mikrowydarzenia, zamiast cieszyć się samą grą. Że nastąpiła zmiana w sposobie, w jaki mówimy o sporcie. Zamiast mówić o samej grze, komentatorzy mówią w trakcie meczu o szansach i statystykach. Tego wcześniej nie było. Hazard został znormalizowany w trakcie transmisji sportowych.

McGrath zwraca uwagę, że zakłady sportowe stają się większym problemem społecznym: – Istnieją infolinie, na które mogą dzwonić osoby zmagające się z problemami z hazardem. Jest co najmniej jedno badanie, które wykazuje, że obecnie więcej osób niż kiedyś dzwoni w sprawie zakładów sportowych.

Abstynencja? Niekoniecznie

Gdy hazard zamienia się w nałóg, osobom grającym problematycznie zaleca się zwykle abstynencję – jak przy innych uzależnieniach. Jednak w przypadku hazardu sposobem na wyjście z problemu może być też tzw. odpowiedzialne granie. To granie świadome i kontrolowane – hazard jako rozrywka, a nie sposób na radzenie sobie z emocjami. Grający ustawia sobie sztywne limity czasowe i pieniężne.

McGrath: – Abstynencja jest jedną z opcji. Inną jest minimalizacja szkód związanych z grą. To osobista decyzja. Niektórzy mogą ograniczyć grę problemową. Inni mogą spróbować i stwierdzić: nie, nie mogę, muszę w ogóle przestać. I to też jest całkowicie w porządku.

SARAYUTSRIDEE / ADOBE STOCK

Aplikacje telefoniczne umożliwiają obracanie dużymi sumami równie łatwo jak w kasynie online

Dla niektórych odpowiedzialna gra to etap, który prowadzi do całkowitej rezygnacji z hazardu, krok ku abstynencji. McGrath: – Może tak być dla niektórych. Większość osób z problemem hazardowym wchodzi i wychodzi z tej kategorii. Nie zawsze będą mieć problem z hazardem, niektóre lata mogą być dla nich lepsze. Możesz ograniczyć hazard, możesz do niego wrócić, w zależności od tego, co dzieje się w twoim życiu. Są ludzie, którzy próbują minimalizacji, a potem zdają sobie sprawę, że muszą całkowicie się powstrzymywać. Tak jak z paleniem.

– Jedna ze statystyk pokazuje, że większość osób, które wyszły z problemu hazardu, w ogóle nie poddawały się terapii – mówi psycholog. – Pewnego dnia po prostu postanowili, że nie chcą tego robić. Ludzie muszą być zmotywowani, aby chcieć przestać. To klucz.

McGrath zwraca uwagę, że hazard jest często ukrytym uzależnieniem. Możemy grać przez długi czas, zanim wpadniemy w poważne kłopoty finansowe. – Łatwiej ukrywać ten problem w porównaniu np. z problemem alkoholowym, gdzie występują oczywiste objawy fizyczne. Ludzie podejmują decyzję, aby przestać, zanim sytuacja się pogorszy, np. zanim dowie się współmałżonek.

McGrath podkreśla, że należy znaleźć równowagę między tym, że ludzie dobrze bawią się, uprawiając hazard, a pomaganiem tym, dla których ma on tragiczne skutki: – Spotykam ludzi, których krewni popełnili samobójstwo z powodu hazardu. Widzę te najgorsze scenariusze. Jeśli mówimy o 1-2 procentach osób uzależnionych od hazardu, to mnożąc to przez populację Kanady czy Polski, mówimy o setkach tysięcy osób.

Jak grać z głową

Według instytutu IPIN (International Positive Impact Network), jeśli już ktoś bardzo chce grać, może grać odpowiedzialnie.

Po pierwsze, warto ustalić limity pieniężne i czasowe. Umówić się z samym sobą, jak często możemy grać i jak wiele możemy wydać, tak by nie zaszkodzić swojej sytuacji finansowej. Powiedzieć sobie: „wydam 500 złotych i nie więcej", i być konsekwentnym.

Po drugie, unikać sytuacji ryzykownych. Nie powinno się grać, gdy czujemy się samotni lub w stresie. Lepiej znaleźć inne mechanizmy radzenia sobie w momentach trudnych emocjonalnie. Nie należy też odrabiać strat: jeśli już stracisz pieniądze, to jest statystycznie mało prawdopodobne, że uda ci się je odrobić.

Po trzecie, spróbuj znaleźć inny sposób przyjemnego spędzania czasu – sport, hobby, bliscy. A w razie potrzeby szukaj pomocy w terapii albo w prywatnej grupie wsparcia. Poświęć czas na zrozumienie mechanizmów uzależnienia, tak aby rozpoznać je u siebie.

McGrath dodaje: – Czasem dobrze ustawić sobie alarm w telefonie: przestanę grać po 30 minutach. Nawet jeśli zdecydujemy się wrócić, warto zrobić sobie psychiczną przerwę. I ograniczyć używki, bo wiele osób z problemem hazardowym pije, pali czy nawet zażywa narkotyki podczas gry. I jeszcze jedna ważna kwestia: motywacja do hazardu. Dlaczego grasz? Jeśli dla rozrywki ze znajomymi, to inna sytuacja, niż gdy czujesz się źle i przez grę chcesz się pozbyć tej emocji. Hazard nie powinien być ucieczką.

Na koniec pytam, czy McGrath sam uprawia hazard: – Nie. W szkole nauczyciel poprosił, aby każdy, kto obstawiał zakłady sportowe i przegrał, przyniósł swój przegrany los i przypiął do tablicy w klasie. Pod koniec roku cała tablica była pokryta losami. To była dla mnie dobra lekcja.

© MAŁGORZATA SIDZ

WIARA

MATKA BOSKA NIEPOLSKA

Przekonanie, że ze względu na oddanie się Maryi jesteśmy wyjątkowym narodem, zawsze będzie fałszywe. Jej królowanie nie ma nic wspólnego z władzą, poczuciem wyższości czy z odrzuceniem „innego".

MONIKA BIAŁKOWSKA

„Polak katolik". „Maryja Królową Polski". „Kto nie czci Maryi, nie jest prawdziwym Polakiem". Słyszymy to nieraz. Wiązanie duchowości i struktur państwowych to kuszący sposób na umocnienie władzy. Maryja Królowa Polski, czyniąca „cud nad Wisłą", jest tego doskonałym przykładem. Historyczne wydarzenie podlane pobożnością ma dowieść, że Bóg chce tego samego, co władza.

Wiara czyni cuda

„Cud nad Wisłą" na początku nie wiązał się z żadną realną wiarą w nadprzyrodzone wydarzenie. Oznaczał raczej kpinę. Stanisław Stroński (najpierw) i Wincenty Witos (później) publicznie używali tego określenia, by wykazać nieudolność działań Piłsudskiego. Zwycięstwo pod Warszawą nazywano „cudem", bo zdaniem krytyków Marszałka operacja od strony wojskowej była źle przygotowana, a jeszcze gorzej przeprowadzona.

O złośliwościach jednak szybko zapomniano, a „cud" pozostał. Kościół zaś szybko połączył historyczne wydarzenie z obchodami Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przy okazji nadając tej uroczystości patriotyczny charakter. Zwycięstwo odniesione w 1920 r. zaczęto przedstawiać jako bezpośrednią Bożą interwencję w losy Polski.

Pobożność ludu dołożyła swoje. Żołnierze opowiadali o postaci kobiety w białej szacie, która unosiła się nad Warszawą i własną ręką powstrzymywała bolszewików. Powtarzano proroctwo, które miała otrzymać Wanda Malczewska, słysząc z ust Matki Bożej, że „uroczystość dzisiejsza wnet stanie się świętem narodowym dla was Polaków, bo w tym dniu odniesiecie zwycięstwo nad wrogiem, dążącym do waszej zagłady". Przypominano, że o cud modliła się cała Warszawa, a duchowni, spodziewając się rzezi, udzielali absolucji generalnej (rzeczywiście tak było: na plac Zamkowy procesyjnie przyniesiono relikwie św. Andrzeja Boboli i bł. Władysława z Gielniowa, a także Najświętszy Sakrament, przed którym klęczał sam nuncjusz Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI). Wyjątkowe wstawiennictwo Maryi w czasie bitwy opiewano w homiliach – już wtedy, w 1920 r., ale też po wielu latach, podtrzymując wiarę w „cud nad Wisłą" w kolejnych pokoleniach (patrz ramka).

Wiara i zaufanie w pomoc Matki Bożej ma oczywiście duchowy sens. Polacy widzą w Maryi swoją Orędowniczkę, która staje pomiędzy nimi a zagrożeniem, walcząc w ich obronie. Jest źródłem nadziei na ocalenie nie tylko wieczne, ale również w doczesnym życiu. I nie byłoby w tym przekonaniu nic złego, o ile pamiętalibyśmy, że nie jesteśmy wyjątkowi. Co ważne zwłaszcza teraz, w czasie, gdy tak łatwo definiujemy wroga.

Warto pamiętać, że Maryi na własność żaden naród mieć nie może. I że żaden nie może stawać przeciwko drugiemu z nią u boku. Bo Maryja jest Matką dla wszystkich.

Matka Króla Słońce

Wystarczy udać się w podróż, by zobaczyć, jak ważna jest Maryja dla innych

GERARDO VIEYRA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Święto Matki Bożej z Guadalupe. Sierra Norte de Puebla, Meksyk, 10 grudnia 2022 r.

narodów. Węgrzy od XI w. nazywają swój kraj „Królestwem Maryi", po tym, jak pierwszy ich władca, św. Stefan, przed śmiercią (w 1038 r.) miał jej ofiarować koronę i cały kraj. Sam zresztą koronowany został na króla w dniu Wniebowzięcia. Węgierskie „Królestwo Maryi" przetrwało wieki, umacniając naród w czasie zagrożeń, także w latach komunizmu.

We Francji aktu poświęcenia królestwa Maryi dokonał król Ludwik XIII w 1638 r., ustalając, że jej uroczystość, 15 sierpnia, będzie odtąd świętem państwowym. Przez 20 lat Ludwik, wraz z żoną Anną Austriaczką, nie mogli doczekać się potomka. Dla królewskiej pary było to nie lada problemem, zagrażającym całej dynastii Burbonów. Ale na początku 1637 r. Maryja objawiła się augustianinowi, ojcu Fiacre, prosząc, by królowa odmówiła trzy nowenny w intencji poczęcia, a cała Francja poświęciła się Matce Bożej. Fiacre osobiście – choć oczywiście w imieniu królowej – te nowenny odprawił, a kilka miesięcy później urodził się Ludwik XIV, późniejszy „Król Słońce". Czy jego panowanie (masowe prześladowania protestantów, romanse i nieślubne dzieci, próby podporządkowania sobie władzy kościelnej) i życie w przepychu można uznać za owoce boskiej interwencji – kwestia mocno dyskusyjna.

Królowa jest tylko jedna

Z kolei w Austrii Maryja zawdzięcza królowanie panującej tam dynastii Habsburgów. Po zwycięstwie pod Wiedniem w 1683 r. cesarz Leopold wrócił do miasta (z którego wcześniej zbiegł), kazał odśpiewać „Te Deum" i uznał, że pokonanie Turków oraz ocalenie kraju przypisać należy wyłącznie Maryi. Od tego czasu Austriacy powszechnie zaczęli nazywać ją Królową Austrii i czcić w licznych sanktuariach.

Jeszcze inaczej wyglądała sytuacja w Portugalii, która w 1640 r. odzyskała niepodległość, po 60 latach unii personalnej z Hiszpanią. Nowy król, Jan IV z dynastii Bragança, szukał sposobu na ↦

↦ zjednoczenie ludu i duchową obronę przed hiszpańskim zagrożeniem. Dlatego postanowił odwołać się do Maryi i ogłosił ją patronką i władczynią Portugalii. W uroczystym dekrecie, w marcu 1646 r., postanowił, że kolejni królowie Portugalii nie będą nosić korony, bo ta spoczywać będzie na głowie figury w klasztorze w Villa Viçosa.

Panowanie Matki Bożej nie było w Portugalii jedynie symboliczne. Król przekazał suwerenność narodu w ręce Maryi w sposób formalny, stając się jedynie jej namiestnikiem i lokalnym zarządcą. Tradycja nienoszenia korony przetrwała do końca portugalskiej monarchii w 1910 r. Podobnie jak maryjna pobożność Portugalczyków.

Nie tylko dla katolików

Gdy Hiszpanie podbili imperium Azteków (początek XVI w.), rdzenna ludność widziała w nich okupantów, a ich religię utożsamiała z przemocą. Mieszkańcy Meksyku stracili swe dawne świątynie i rytuały, realnemu cierpieniu towarzyszyła duchowa pustka i utrata sensu życia. O skutecznej ewangelizacji trudno było mówić.

Właśnie wtedy jednemu z rdzennych mieszkańców, Juanowi Diego, ukazała się Maryja. Miała rysy Metyski i w języku nahuatl mówiła o bliskości z cierpiącym Jezusem. Na płaszczu mężczyzny pozostawiła swój wizerunek. To właśnie ten cud, a nie hiszpańska ewangelizacja, doprowadziły do masowych nawróceń. W ciągu 10 lat w Meksyku chrzest przyjęło ponad osiem milionów ludzi. Maryja stała się obrończynią ubogich i marginalizowanych, ale też ogniwem łączącym rdzennych z kolonizatorami. Jej kult szybko się rozwijał, w 1904 r. papież Pius X nadał Matce Bożej z Guadaelupe tytuł „Cesarzowej Ameryk". Dziś tamtejsza świątynia jest najliczniej odwiedzanym sanktuarium na świecie.

Przykłady można by mnożyć. Maryja jest Królową Filipin, Rwandy i Demokratycznej Republiki Konga. Była też Królową Genui (w czasach, gdy to miasto było republiką) oraz Królową Wielkiego Księstwa Litewskiego. Suwerenem była też dla Estonii i Łotwy, które nazywano „Terra Mariana". Od momentu objawień w Knock (1879 r.) włada również w Irlandii. W modlitwach i pieśniach nazywana jest „Królową Skandynawii", a w ikonografii – „Patronką Bawarii". W Libanie, na wzgórzu Harissa, znajduje się ogromna, ważąca 15 ton figura Maryi, patronki całego kraju, ponad podziałami politycznymi i religijnymi. Pielgrzymują do Niej zachodni katolicy, maronici, melchici, prawosławni, Syryjczycy, a nawet muzułmanie, czczący Maryję jako matkę proroka.

Na czas trwogi

Czasem Maryja sama ogłaszała się Królową jakiegoś narodu, czasem była to decyzja państwowa lub papieska, czasem – przekonanie wynikające z tradycji i wiary lokalnego Kościoła. Maryjne królowanie mogło być rozumiane więc w sposób polityczny, ale też duchowy czy liturgiczny.

Tym, co łączy wszystkie te formy, jest ludzka motywacja i nadzieja. Zawierzenie Maryi czy powierzenie jej korony odbywało się w okresach, gdy ludowi groziły wojny, epidemie i niebezpieczeństwo ze strony sąsiadów lub ideologii. Kiedy w niepewnym czasie zarówno władcy, jak i zwykli ludzie szukali czegoś trwałego, na czym mogą się oprzeć. Maryja była opiekunką, orędowniczką i ucieczką. Była też symbolem niepodległości i oporu w czasach, gdy ludziom brakowało politycznej wolności. Tak przecież rozumieli ją Polacy w okresie zaborów czy Litwini w czasach rusyfikacji.

Królowanie Maryi budowało też narodową tożsamość, często tym samym legitymizując władzę. Wiązało się z uroczystościami koronacji, której dokonywali papieże, biskupi i władcy: takie narodowe celebracje wokół duchowego centrum jednoczyły wspólnotę zarówno religijnie, jak i politycznie.

Symbolika i herezja

Obraz Maryi jako królowej był już obecny w duchowości pierwotnego Kościoła, o czym czytamy choćby w Apokalipsie św. Jana. Papież Pius XII w encyklice „Ad caeli Reginam" ogłosił Matkę Bożą Królową nieba i ziemi. Z perspektywy teologicznej można też dodać, że Maryja uczestniczy w królewskiej godności Jezusa Chrystusa, podobnie jak każdy z nas – my dostąpiliśmy jej przez chrzest.

Cud nad Wisłą w kazaniach

- **Zwycięstwo to, przypadłe w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, jest znakiem dla całego świata: Maryja nie opuszcza narodu, który Ją czci jako swoją Królową.**
  ABP JÓZEF TEODOROWICZ, ARCHIKATEDRA WARSZAWSKA, 8 GRUDNIA 1920 r.).

NAC

- **To nie my wygraliśmy tę bitwę, lecz Matka Najświętsza. Kiedy błagaliśmy Ją w procesjach i modlitwach, w dniach największego niebezpieczeństwa, Ona przyszła z pomocą swym dzieciom.**
  BP WŁADYSŁAW BANDURSKI (na zdjęciu), 1920 R.

- **Bolszewicy wzięci do niewoli opowiadali znowu, że widzieli księdza w komży i z krzyżem w ręku, a nad nimi Matkę Boską. Jakżeż mogli strzelać do Matki Boskiej, która szła przeciwko nim. Ten moment kulminacyjny w bitwie pod Warszawą nazwano tego dnia „cudem nad Wisłą".**
  PAMIĘTNIKI KARD. ALEKSANDRA KAKOWSKIEGO, 1927-1930, OPRAC. KS. STANISŁAW MYSTKOWSKI

- **W roku 1920, gdy wróg zagrażał naszej stolicy, naród uciekał się pod opiekę Matki Bożej. I właśnie w dzień Jej Wniebowzięcia Bóg dał Polsce zwycięstwo. Czyż można nie widzieć w tym Jej matczynej ręki?**
  KARD. STEFAN WYSZYŃSKI, JASNA GÓRA, 15 SIERPNIA 1957 R.

- **Ciągle żywa jest w naszych sercach pamięć o Bitwie Warszawskiej, jaka miała miejsce w tej okolicy w miesiącu sierpniu 1920 r. Było to wielkie zwycięstwo wojsk polskich, tak wielkie, że nie dało się go wytłumaczyć w sposób czysto naturalny i dlatego zostało nazwane Cudem nad Wisłą. To zwycięstwo było poprzedzone żarliwą modlitwą narodową. Episkopat Polski, zebrany na Jasnej Górze, poświęcił cały naród Najświętszemu Sercu Pana Jezusa i oddał go pod opiekę Maryi, Królowej Polski.**
  JAN PAWEŁ II, HOMILIA W KATEDRZE WARSZAWSKO-PRASKIEJ, WARSZAWA, 13 CZERWCA 1999 R.

Ostrożnie jednak trzeba podchodzić do różnego rodzaju „tytułów partykularnych”. Królowanie Maryi nie oznacza rządzenia jakimkolwiek państwem czy instytucją. Jest wyłącznie panowaniem duchowym, opartym na służbie. Przekonanie, że można na nim budować jakikolwiek ludzki porządek społeczny czy polityczny, odrzucając autonomię zarówno świeckich struktur, jak i rozumu, trąci fideizmem. Herezją byłoby też uzasadnianie prawa czy ustroju państwa królowaniem Maryi czy jej objawieniami.

Równie niebezpieczna może być pokusa uzasadniania „królowaniem Maryi” politycznych działań czy przekonania o byciu lepszym niż inne państwa. Maryja nie może stać się narodowym symbolem, budującym religijny nacjonalizm, w swojej istocie sprzeczny z Ewangelią. Jest Matką Kościoła – a narody w tym zbiorze się mieszczą.

Owszem, Kościół dopuszcza w pobożności ludowej oddawanie Maryi czci jako Królowej konkretnego narodu. Co jednak nie oznacza zgody na legitymizowanie tym tytułem jakiejkolwiek władzy politycznej. Ani wykluczania kogokolwiek.

Maryja może być Królową Polski, autorką cudów z przeszłości i przyszłości. Nigdy jednak nie będzie patronką państwa jako systemu władzy. Nigdy jej królowanie nie zastąpi rozumnego działania etycznego i społecznej sprawiedliwości, nigdy nie może prowadzić do teokracji. Fałszywe też zawsze będzie przekonanie, że ze względu na oddanie się Maryi jesteśmy „narodem wybranym”, na uprzywilejowanej pozycji.

Wybrany przez nią jest każdy człowiek, niezależnie od narodowości. Uznając ją za Królową, wyznajemy raczej, jakie są nasze wobec niej zobowiązania – niż to, jakie ona ma obowiązki wobec narodu. Jej królowanie oznacza tylko – i aż – naszą deklarację pójścia za Jezusem drogą, na której ona nam towarzyszy. Ta droga zaś z władzą, poczuciem wyższości i własnej wyjątkowości czy z odrzuceniem „innego” nie ma nic wspólnego. ©℗ MONIKA BIAŁKOWSKA

WB77 / ADOBE STOCK

Mysia Wieża w Kruszwicy nad jeziorem Gopło

Finisterra pod Mysią Wieżą

STANISŁAW ZASADA

PIELGRZYMKA | Moje Camino trwało cztery dni. Przeszedłem 50 km, przepłynąłem promem jezioro, byłem na dwóch odpustach, spałem na plebanii. Pielgrzyma nie spotkałem ani jednego.

Certyfikatu nie dostałbym. By go uzyskać, trzeba w drodze do Santiago de Compostela pokonać pieszo przynajmniej ostatnie sto kilometrów. Moja trasa była o połowę krótsza.

– Liczy się duchowe przeżycie i radość z wędrowania – pocieszają znajomi, którzy chodzą na Camino w Hiszpanii. Ja wybrałem Drogę Nadgoplańską, z Piotrkowa Kujawskiego do Kruszwicy, wokół słynnego jeziora. Skoro zbiorowa pobożność nie dla mnie, postanowiłem spróbować samotnej pielgrzymki i zobaczyć, jak jest na polskim Camino. Czy trasa jest oznaczona? Jest gdzie przenocować? Zjeść?

Ratowała mnie gościnność proboszczów. I życzliwość mieszkańców.

U Świętego Jakuba w Piotrkowie

– Od rana na pana czekamy – wita mnie proboszcz Krzysztof Gąsiorowski (zapowiadałem się). Do paszportu pielgrzyma wbija parafialną pieczątkę. Pyta, czy chce mi się pić, czy potrzebuję się przebrać, czy mam gdzie spać po drodze.

Jest piątek 25 lipca. Odpust Jakuba Apostoła. „Święty Jakubie, patronie nasz” – śpiewają w kościele.

Piotrkowskiej parafii patronuje od XIII wieku. To jeden z najstarszych kościołów na Kujawach: pierwszy spalili Krzyżacy, drugi popadł w ruinę, ten to późny gotyk. Sto lat temu gościł tu nuncjusz apostolski Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI – przypomina tablica na ceglanym murze.

↦

↦ Chodzę po odpustowych budach: obwarzanki, pluszaki, piłeczki na gumce, plastikowe karabiny, piłkarskie koszulki (Lewandowski, Messi, Ronaldo). Jest stoisko ze świętymi obrazami: obok Chrystusów, Matek Boskich i Świętej Agaty z palmą – portret papieża Leona XIV.

Przed kościołem ustawiono już feretrony z figurami Matki Bożej i obrazem Jakuba Apostoła do procesji. Schodzą się kobiety i mężczyźni w bordowych płaszczach, na szyi zawiesili wielkie muszle z czerwonym krzyżem – to członkowie Bractwa Świętego Jakuba.

Pytam, ile razy przeszli Drogę Nadgoplańską.

– Jeździmy rowerami – odpowiadają. Czekają na jutrzejszą pielgrzymkę rowerzystów z Kruszwicy. – Pan jest chyba pierwszy, co pieszo idzie – dodaje jedna z kobiet.

Zastanawiam się, czy wpuszczą mnie do kościoła? Krótkie spodnie i trapery odstają od świątecznych strojów. Niepotrzebnie się martwiłem – nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Zaczyna się suma. Gra orkiestra dęta.

– Wszyscy jesteśmy pielgrzymami – mówi na początek kanonik Gąsiorowski.

– Ciągle jesteśmy w drodze – wtóruje w kazaniu o. Cecylian, gwardian bernardynów z Koła.

Czuję, jakby mówili do mnie.

Zachód słońca nad Gopłem

Z Piotrkowa wyprowadza mnie żółta muszla ze strzałką na niebieskim tle. Mijam zielone pola kukurydzy, żółte łany pszenicy, jęczmienia – lato deszczowe, żniwa się opóźniają.

Uszedłem ze dwa kilometry, gdy zatrzymał się młody kierowca: – Podwieźć cię gdzieś?

Mówię, że z pielgrzymką idę.

– Ale pan drogę wybrał – żona sołtysa w Rudzku Małym kiwa głową. Chcę mieć kolejny stempel.

– Pierwszy raz pieszy po pieczątkę przyszedł – sołtysowa nie przestaje się dziwić. Przypomina sobie, że rok temu jacyś rowerzyści byli. Nic dziwnego: Jakubowy szlak prowadzi zieloną trasą turystyczną wokół Gopła.

Za wsią kapliczka z Matką Bożą, na ogrodzeniu znowu muszla ze strzałką. Liczyłem na polne ścieżki, a tu cały czas asfalt. Chciałbym gdzieś odpocząć – nie ma gdzie. Są blaszane wiaty przystankowe, ale bez ławek.

Połajewo. Wreszcie sklepik. Sprzedawczyni pozwala usiąść pod wielkim parasolem na podwórku.

Na plebanii parafii Świętej Trójcy proboszcz stempluje mój paszport. Też był na odpuście w Piotrkowie. Docenia, że uszedłem 10 kilometrów – tyle jest od piotrkowskiego kościoła do połajewskiego. Mówi, że na wieczornej mszy będą właściciele gospodarstwa agroturystycznego w Połajewku, gdzie mam nocleg. Gdybym nie dał rady, na pewno mnie zabiorą.

Docieram o własnych siłach, przed gospodarzami. Schodzę nad jezioro. Ktoś pływa łódką, trzy rodziny siedzą przy grillu. Nad Gopłem zachodzi słońce.

Jak pielgrzymowano do Santiago de Compostela

„EUROPA ZRODZIŁA SIĘ W PIELGRZYMCE” – Goethe. Przez dwa lata podróżował z Weimaru na południe Włoch, choć nie pieszo, tylko dyliżansem. Tysiąc lat przed włoską podróżą Goethego ludzie zaczęli odwiedzać grób Jakuba Apostoła Większego w Santiago de Compostela, na północno-zachodnim skraju Hiszpanii. Pierwszym znanym pątnikiem miał być cesarz Karol Wielki. Do relikwii Apostoła pielgrzymowali Franciszek z Asyżu, Ignacy Loyola oraz polski biskup i literat Jan Dantyszek.
A współcześnie – hiszpańscy piłkarze po zdobyciu mistrzostwa świata.
Już w średniowieczu powstały Caminos de Santiago – drogi do Santiago. Z podróży pielgrzymi przynosili muszle przegrzebków, tutejszych małży – stały się symbolem Camino.

ANNA BARYNINA / ADOBE STOCK

Paszport pielgrzyma do Santiago de Compostela

Wojny religijne, rewolucja francuska, wojny napoleońskie sprawiły, że pielgrzymki ustały. Aż w 1982 r. Jan Paweł II wezwał do odtworzenia jakubowych szlaków.
Drogę do Santiago nazwano najstarszym Europejskim Szlakiem Kulturowym, wpisano na listę Światowego Dziedzictwa.
W całej Europie istnieje wiele szlaków. Oznaczone są muszlami i żółtymi strzałkami.
W Hiszpanii wzdłuż trasy są schroniska dla pielgrzymów. Oprócz noclegu, można tam zjeść posiłek albo przygotować go samemu i zrobić pranie.
Żeby potwierdzić przebycie Camino, trzeba mieć paszport pielgrzyma: zbiera się w nim pieczątki z miejsc na trasie.
Niektórzy po dotarciu do romańskiej katedry Świętego Jakuba z barokową fasadą idą nad Atlantyk. Rzymianie nazwali to miejsce „Finis Terrae” – końcem ziemi.
Dawni pątnicy szli pokutować za grzechy. Dziś szukają wyciszenia i duchowej przemiany.
10 lat temu podróżnik Marek Kamiński wyruszył do Santiago od grobu Immanuela Kanta w Kaliningradzie. Cztery tysiące kilometrów przeszedł w sto dni. Nazwał to pielgrzymką „od bieguna rozumu do bieguna wiary”.
Na stacji benzynowej we Francji usłyszał, że „się bawi”.
Tak komentował jego wędrówkę sprzedawca, gdy usłyszał, że Kamiński wyruszył „szukać Boga”. – Boga nie trzeba szukać, jest wszędzie – dziwił się.
Camino stało się modne.
Co roku do Santiago przybywa pół miliona pielgrzymów. © SZ

Prom międzydiecezjalny

– Wybrał pan najgorszy czas – usłyszałem od proboszcza w Kościeszkach, gdy kilka tygodni wcześniej szukałem noclegów.

Internet, telefony do gminy, do sołtysów nic nie dały. Wszyscy twierdzili, że na trasie noclegów nie ma. Wybrałem więc komórkę do ks. Przemysława Warchała. Zgodził się mnie przenocować na plebanii, ale gdy usłyszał, że będę na Świętą Annę, zmarkotniał. To odpust, bliscy przyjeżdżają mu pomóc, nie będzie wygodnego miejsca.

– Wezmę karimatę – podpowiedziałem.

– Znajdę kawałek podłogi w salce. Chodziłem pieszo do Częstochowy i też mnie nocowali.

Ale najpierw trzeba było przeprawić się przez Gopło. Zerwałem się w Połajewku wcześnie. Łyk rozpuszczalnej kawy z blaszanego kubka nad jeziorem i spieszę, żeby złapać poranny prom w Złotowie do Ostrówka. No i przed nosem mi odpłynął.

– Za 10 minut będzie kolejny – pociesza mnie rowerzysta.

Przewoźnik przybija zieloną pieczęć. O Drodze Nadgoplańskiej nie słyszał.

Dobiliśmy na drugi brzeg: opuściłem diecezję włocławską i znalazłem się w gnieźnieńskiej.

Skończył się rześki ranek, słońce grzeje coraz mocniej. Po lewej stronie drogi – Gopło. Słychać gęganie kluczy gęsi. Po prawej – pszenica, jęczmień, owies, żyto, zapach ściętego rzepaku.

Ławeczka pod sklepem i pstrągi

Na końcu wsi przed zadbanym gospodarstwem w altance siedzi rodzina. Idę do nich.

– Co tam!? – gospodarz podniósł się, pyta ostrym tonem. Pytam o najbliższy sklepik. Już łagodniej mówi, że jest w Łuszczewie.

Na słupie stojącym na zaoranym polu znak z muszlą pokazuje, żeby skręcić w prawo, ale Łuszczewo jest prosto. Nie mam wyjścia: nadkładam ze dwa kilometry.

– Zajebistych ludzi na rowerze już widziałem, ale pieszego z ciężkim plecakiem jeszcze nie – mężczyzna w średnim wieku odzywa się przed sklepem; upił już połowę butelki piwa. Raczej nie pierwsze dzisiaj, choć dopiero po dziesiątej.

– Że się tak panu chce iść pieszo – dziwi się drugi. Też z piwem.

Poczułem się prawie jak Marek Kamiński na stacji benzynowej we Francji.

Dosiadam się, gaszę pragnienie mineralną ze sklepowej lodówki. Czuć zapach dymu. Ci z piwem mówią, że gospodarz wędzi pstrągi. Warto było nadłożyć drogi – jem wytworne śniadanie.

Schodzą się kolejni. Witają się, żartują. Ktoś wymienia nazwy wiosek do Kościeszek. Ktoś straszy wilkami w lesie. Nie przestają się dziwić, że „z buta" chce mi się tak daleko iść.

Przyznaję się, że pielgrzymuję. Mówię o Drodze Jakubowej.

– Znamy tylko Szlak Piastowski – odzywa się ten, który najwcześniej przyszedł na piwo.

Aż żal odchodzić.

Materac u Świętej Anny

Skończył się asfalt, idę szutrową drogą, potem już bez szutru przez las (to tutaj miały mnie zjeść wilki). Zastanawiam się, czy nie zboczyłem z trasy, bo ścieżka coraz węższa. Pewność odzyskuję przy przydrożnym krzyżu – na stalowym płocie jest muszla.

W Rzeszynku patrzę na najstarszy na Kujawach trzystuletni spichlerz dworski z drewna – zabytek po dawnych właścicielach. Pod drzewem duży kamień, można zdjąć plecak.

– Proszę się poczęstować – kobieta z naprzeciwka niesie mi morele. – Bo pan z drogi.

Kilka domów dalej sołtyska stempluje paszport. U niej też żaden pieszy pielgrzym nie był. Nikogo więcej nie spotkam. W zabudowaniach słychać warkot kosiarek do trawy.

Widać już wieżę drewnianego kościółka w Kościeszkach. Też ma prawie 300 lat.

Rowerowych pielgrzymów z Kruszwicy nie spotkałem: widocznie przejechali, gdy w Łuszczewie zajadałem się pstrągiem i gawędziłem z miejscowymi.

Ks. Przemysław też jakby na mnie czekał. Odstępuje łazienkę, żebym wziął prysznic. Prowadzi do domu parafialnego, sam pompuje wielki materac – karimata nie była potrzebna.

W Kościeszkach odpusty przekładają na niedzielę, ale przygotowania już trwają. Po wieczornej mszy proboszcz zaprasza na kolację. Mówi, że pstrąg będzie.

Na skrzyżowaniu pątniczych dróg

Wieś Jakubów pod Głogowem. Prawdopodobnie tutaj powstał pierwszy na ziemiach polskich kościół pod wezwaniem Świętego Jakuba. Od Apostoła wzięła nazwę miejscowość.

20 lat temu wytyczono stąd do Zgorzelca pierwszy w Polsce Jakubowy szlak. Dolnośląska Droga łączy się z trasami w Niemczech.

Pielgrzymkowe szlaki powstały w Wielkopolsce, Małopolsce, na Pomorzu. W całym kraju jest 6 tys. km tras oznaczonych symbolem muszli. Opiekują się nimi parafie i bractwa.

Ale na polskich szlakach nie ma noclegowni, barów, rzadko można spotkać pielgrzymów. Choć na YouTubie widziałem niedawno, jak młoda kobieta szła Wielkopolską Drogą z dwuletnim dzieckiem.

Ostatnia pieczęć w Kruszwicy

Żeby zdążyć na południową mszę w kolegiacie, musiałem wyruszyć z Kościeszek zaraz po śniadaniu. Ze dwa kilometry dalej zaczyna siąpić. Chowam się pod gruszą, deszcz nie ustaje. Sprawdzam pogodę w Santiago: pochmurna, ale bez deszczu. Rozkładam parasol.

– Do Kruszwicy daleko? – pytam kobietę w Lachmirowicach, która wyszła przed dom.

– Dziesięć kilometrów – mówi. Pocieszam się, że zdążę na sumę.

Kolegiata Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kruszwicy pamięta XII wiek – gdy było tu biskupstwo. To jedna z najlepiej zachowanych w Polsce romańskich świątyń. Uszedłem z kilometr i nie wiem, którędy dalej: prosto główną drogą czy w prawo boczną? Nie ma kogo zapytać, znaku nie widać. Jest! Na parkanie, schowany pod tują.

Urywa się asfalt, zaczyna polna droga. Cicho, w zagrodach słychać tylko psy, które szczekają na włóczęgę. Mijam znów dojrzałe zboża, ule, wykopaną cebulę i wielkie fioletowe pole jeżówki. Na trawniku przed kolejną kapliczką robię sobie biwak.

Na kujawskiej równinie Kruszwicę widać z daleka. Na peryferiach przy przydrożnej figurce z muszlą czuję, jakbym już był u celu. Ale żeby dotrzeć do kolegiaty, muszę przejść pół miasta. Znowu przeprawiam się przez Gopło: tym razem mostem.

Msza już trwa. Z daleka słyszę z głośników pierwsze czytanie. „Może w tym ↦

↦ mieście jest pięćdziesięciu sprawiedliwych; czy także zniszczysz to miasto i nie przebaczysz mu przez wzgląd na owych pięćdziesięciu sprawiedliwych, którzy w nim mieszkają?" – Abraham targuje się z Bogiem o uratowanie Sodomy. Z ulgą klękam na kamiennej posadzce.

– Gratuluję! – proboszcz Marcin Kulczyński ucieszył się, gdy w zakrystii wyciągnąłem – po raz ostatni – pielgrzymi paszport.

Camino Polaco

Gdy kilka lat temu ks. Krzysztof Gąsiorowski został proboszczem w Piotrkowie, postanowił wyznaczyć Camino nad Gopłem. Czy był tu pielgrzymi szlak, kanonik nie wie. Ale, jak mówi, skoro jest kościół pod wezwaniem Jakuba – kult Apostoła musiał być żywy.

Droga Nadgoplańska łączy się w Kruszwicy z Kujawsko-Pomorską Drogą. To część Camino Polaco: od granicy z Litwą przez Olsztyn, Toruń i Trzemeszno.

W piotrkowskiej parafii kilkanaście osób założyło Bractwo Świętego Jakuba. Co roku wiosną odnawiają znaki na jakubowym szlaku.

Proboszcz mówi, że przede mną Drogą Nadgoplańską szedł ktoś z Krakowa.

Do kolegiaty w Kruszwicy był po pieczątkę pielgrzym Niemiec – być może szedł Camino Polaco.

– U mnie nikt jeszcze nie był – mówi proboszcz z Kościeszek.

Nazajutrz w Kruszwicy leje, jak w hiszpańskiej Galicji. Idę do Mysiej Wieży. Miał się tutaj schronić okrutny Popiel, którego za złe czyny myszy zjadły. Piszą o nim kronikarze: Gall Anonim („zginął śmiercią najhaniebniejszą"), Wincenty Kadłubek (że był gnuśny i tchórzliwy) i Jan Długosz („oddawał się bezczynności, pijaństwu i obżarstwu"). Po nim władzę w kraju Polan przejęli Piastowie.

W Kruszwicy legendy mieszają się z początkami dziejów państwa – w końcu to legendarna stolica Polski. Niech to będzie moja Finisterra. Tylko muszli przegrzebków nie znajdę.

Od Santiago de Compostela dzielą mnie trzy tysiące kilometrów.

© STANISŁAW ZASADA

PIEMAGS / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Sara oddająca Abrahamowi swoją służącą Hagar, obraz Matthiasa Stomsa (ok. 1632-1638)

Opowieść bezimiennej

PAULINA MODEL

BIBLIA | Hagar zmuszono do seksu z Abrahamem. Lewita oddał swoją żonę gwałcicielom. Córka Jeftego została przez ojca złożona w ofierze. Historii przepełnionych przemocą wobec kobiet jest w Biblii wiele.

Teksty terroru (texts of terror) – tak biblijne opowieści o okrucieństwie wobec kobiet nazwała amerykańska biblistka Phyllis Trible. Zalicza do nich historie, w których triumfuje męska władza, siła, brutalność. Zdaniem feministycznej egzegetki są to też opowieści, które mężczyźni – bibliści i kaznodzieje – starają się wytłumaczyć albo, w najlepszym wypadku, omijają szerokim łukiem.

A przecież mało które fragmenty Biblii są w stanie poruszyć czytelnika do głębi grozą i przekroczeniem wszelkich dzisiejszych norm etycznych. Phyllis Trible proponuje współczującą lekturę o losach skrzywdzonych kobiet, by – jak pisze – dać świadectwo ich bólu.

Stary Testament pełen jest opowieści rodem z horrorów, a bibliści starają się tkać ich rozmaite, alegoryczne wyjaśnienia. Jednak wyglądające z kart Biblii okru-

ZAPYTAŁAM W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH, jakie myśli nasuwa dziś lektura tych i innych biblijnych „tekstów grozy”.

ALEKSANDRA: „Dręczy mnie historia o wdowie, której sześciu braci jej zmarłego męża próbuje »wzbudzić mu potomstwo« (Mt 22,23-33). Mam w głowie wtedy jedno wielkie WTF: a ta kobieta? Co ona myślała? Czy chciała seksu z siedmioma chłopami po kolei w odstępie miesięcy czy lat, żeby zajść w ciążę i »dać dziecko« zmarłemu mężowi? Co za uprzedmiotowienie kobiety! Na takie historie najpierw zazwyczaj czuję wkurw, że prawo, zwyczaj, jakieś społeczne rozumienie nie były po stronie tych kobiet. Nawet religia. Po nim przychodzi żal i współczucie”.

MAGDA: „Czy Hagar w ogóle była w stanie wyrazić zgodę na to zbliżenie? Straszne to rozporządzanie ludzkim ciałem. Podobnie jest w przypadku konkubiny Lewity. Napawa mnie głęboką odrazą i lękiem”.

EWA: „Dla mnie najcięższa jest historia córki Jeftego, którą ofiarował w zamian za zwycięstwo nad wrogami i to w imię własnego tchórzostwa. Nawet jej imię nie jest zapisane. W zestawieniu z historią Abrahama i ofiarą Izaaka to szczególnie widoczne”.

AGNIESZKA: „Widzę w tych sytuacjach traumę, ból i cierpienie wielu kobiet, które znam, albo tych, o których uzdrowienie się modliłam”.

DOMINIKA przywołuje jeszcze inne opowieści: gwałt na Tamar, córce Dawida (2 Sm 13) czy na Dinie (Rdz 34): „To mi się nie mieści w głowie. A Betszeba? Poszła do króla z własnej woli, ale czy wiedziała, jak to się może skończyć? Zdradziła męża świadomie? Czy jednak Dawid wykorzystał swoją władzę?”

GNIEW KOBIET, z którymi rozmawiam, budzi też sposób, w jaki te historie są wykorzystywane przez księży. „Zazwyczaj gloryfikowana jest pokora, z jaką biblijne kobiety przyjmują »niedogodności«. Widzą prawie wszędzie zgodę na to, co im się przydarza... To jest gruby temat z wciskaniem w pokorę kobiet doświadczających przemocy. Mistrzowski zabieg. Jestem mamą siedmiu córek i chciałabym dla nich Kościoła bez męskiej narracji. Chciałabym Kościoła z Bożą narracją” – pisze Aleksandra. © PM

cieństwo wciąż rodzi pytania, a dotychczasowe odpowiedzi pozostawiają niedosyt.

Niezadowolone czytanie

Księga Rodzaju opowiada historię Lota, który oddaje swoje córki na gwałt (19,8). Podobną sytuację znajdziemy w Księdze Sędziów. „Oto jest tu córka moja, dziewica, oraz jego żona, wyprowadzę je zaraz, obcujcie z nimi i róbcie, co wam się wyda słuszne, tylko mężowi temu nie czyńcie tego bezeceństwa” – mówi gospodarz, który chce w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo swojemu gościowi. A „oni z nią obcowali i dopuszczali się na niej gwałtu przez całą noc aż do świtu”. Kobieta zmarła na progu domu (Sdz 19, 22-30).

W starożytnym świecie niegodne potraktowanie gościa ściągało na gospodarza hańbę. Zasada dotyczyła jednak mężczyzn. Bibliści różnie to wyjaśniali. Roland de Vaux uważał, że zwyczaj taki Izrael zapożyczył od ludów nomadycznych. Philippe Lefebvre OP zwracał uwagę, że kobieta pozostawała w tych historiach bezimienna i niema, ale zauważał też inny, znaczący brak: „Nikt nie nazywa Boga po imieniu, nikt się do Niego nie odwołuje; Bóg jest zapomniany. Nikt nie nazywa kobiety po imieniu, nikt jej nie uznaje za osobę; jest ona zapomniana. Nienazwany Bóg, bezimienna kobieta. Ciało konkubiny materializuje miejsce i czas Boga: czyli brak miejsca, wygnanie i zapomnienie”.

Phyllis Trible, komentując tę historię, również podkreśla milczenie obu kobiet. Wskazuje, że ich los jest efektem działania mężczyzn, którzy rozporządzają ich ciałami jak swoją własnością. A religioznawczyni Rhiannon Graybill proponuje „niezadowolone czytanie” (ang. *unhappy reading*) tego i podobnych mu tekstów, polegające na pozostawieniu bez wyjaśnień wszystkich ich „rozmytych, brudnych i i obrzydliwych” aspektów.

Świadomość trudności i niejednoznaczności lepsza jest zarówno od uproszczonych rozwiązań, jak i heroizacji ofiary. Celem takiej lektury jest otwarcie przestrzeni na ambiwalencję, niejednoznaczność i niewiedzę, nawet gdy pragniemy jasności i rozwiązania.

Wartość w dzieciach liczona

W „Opowieści podręcznej” biblijną historię Bilhi (Rdz 30) wykorzystano, by wytłumaczyć gwałty popełniane na głównej bohaterce serialu. Podobną opowieść – o niewolnicy Hagar – znajdziemy w Księdze Rodzaju kilka rozdziałów wcześniej (Rdz 16 i 21). Rachela i Sara, przekonane, że nie mogą mieć dzieci, oddają swoje służące, Bilhę i Hagar, swoim mężom, Abrahamowi i Jakubowi. Dalsze losy surogatek z przymusu są różne: Rachela odbierze synów Bihli i da im imiona Dan i Neftali. Sara zaś znęca się nad ciężarną służką, która decyduje się uciec z małym dzieckiem na pustynię, gdzie zobaczy ją Bóg.

Dziś dziwi nas, że żona prosiła męża, by spał z inną kobietą, jej niewolnicą. W kontekście kultury, która mierzyła ↦

wartość kobiety liczbą dzieci, usilne starania o potomstwo zaskakują mniej. Wielożeństwo czy posiadanie nałożnic, choć nie było pochwalane, wpisywało się w realia tamtych czasów (król Salomon miał 700 żon i 300 nałożnic, choć w tym przypadku liczby mają zapewne metaforyczny charakter, pokazujący ogrom grzechu).

Phyllis Trible interpretuje historię rodziny Abrahama jako „sagę niewierności, śmierci i żałoby". Jest też dla niej przykładem przemocy seksualnej i wykorzystania: Abraham ukazany jest jako gwałciciel, Sara – współwinna zbrodni.

Z kolei w feministycznych odczytaniach historia Sary i Hagar analizowana jest pod kątem złożonej intymności, rywalizacji, obrzydzenia, a nawet miłości, wykraczającej poza prosty schemat ofiary i sprawcy. Pytanie: „Co by było, gdyby Hagar i Sara były kochankami?" – otwiera alternatywne sposoby interpretacji. Taki rodzaj czytania, przekonują badaczki, być może budzi opór, zdziwienie i zażenowanie. Ale pozwala na odejście od utartych schematów.

Prawo niespodzianki

Ślub złożony Bogu przez Jeftego – że jeśli wygra bitwę z Amonitami, złoży w ofierze to, co pierwsze wyjdzie z jego domu – przypomina wiedźmińskie prawo niespodzianki. Jak wiemy, pierwsza z domu Jeftego wyszła jego jedyna i ukochana córka. Ojca przejmuje smutek, ale ślubu dotrzymuje (Sdz 11, 35). Seila (takie imię córki przekazała nam tradycja) bierze na barki „nierozważność" ojca. Potem przez dwa miesiące razem z przyjaciółkami opłakuje w górach swe dziewictwo. Część egzegetów wyciąga z tego wniosek, że nie doszło do ofiary z życia. Być może Seila została ofiarowana na dozgonną służbę Bogu.

W apokryficznym dziele „Księga starożytności biblijnych" Pseudo-Filona córka Jeftego jest przedstawiona jako mądrzejsza niż jej ojciec i mężowie narodu, a Bóg surowo krytykuje ślub Jeftego.

Św. Augustyn zwracał uwagę, że Prawo zakazywało ofiar z ludzi, zaś Jefte postąpił wbrew woli Bożej. Jednocześnie broni ojca: przecież i wielkim mężom Bożym zdarzały się grzechy. W ofierze dziewczyny Ojcowie Kościoła widzieli też zapowiedź ofiary Syna Bożego.

Phyllis Trible postrzega Seilę jako ofiarę patriarchatu: jej historia jest przykładem kobiecej bezradności, wykorzystywania i unicestwienia. Biblistka stara się więc, by głosy ofiar, jak bezimienna córka Jeftego, nie były już uciszane.

Z kolei Casey S. Cole przyrównuje Jeftego do Abrahama i Izaaka. Pyta, dlaczego dziewczynę spotkało milczenie Boga? Dlaczego nie było barana na ofiarę za córkę Jeftego, tak jak w przypadku Izaaka. Badaczka koncentruje się na „hermeneutyce ortopatycznej" – zamiast pytać, jak tekst ma wpływać na naszą wiarę (ortodoksja), zapytajmy, jak powinien wpływać na nasze uczucia i emocje, a także na to, co mamy w związku z nim robić (ortopraksja). Cole argumentuje, że celem takiego spojrzenia nie jest czyszczenie tekstu z trudnych elementów, lecz umożliwienie przemiany czytelnika i rozwijania jego współczucia.

Uznane losy

Teksty terroru, choć przerażające, są jednak w stanie nieść nadzieję i wsparcie. Świat biblijny, tak jak i współczesny, choć oddzielają je tysiące lat, są tak samo nieidealne: ludzie popełniają zło, prowadzą wojny, gwałcą i wykorzystują władzę do uciskania innych. Dziś tak samo jak przed wiekami chodzą po nim osoby, które doświadczyły przemocy. One mogą odnaleźć swój los w historii Hagar, którą Bóg widzi, w historii Diny czy Tamar, której bliscy nie spuszczają zasłony milczenia na to, co się stało. Mogą zobaczyć swoje historie utrwalone i pamiętane w Piśmie Świętym. Tam „uznane". Część z tych historii mówi też, że jest życie po traumie.

Przypominając te opowieści, sprzeciwiamy się przerabianiu Biblii na spójną, miłą, „wyczyszczoną" historyjkę dla dzieci. Nieraz nie znajdziemy zadowalającego wyjaśnienia, dlaczego Bóg nie interweniował, dlaczego przyzwolił, a czasem i sam takie okrucieństwo nakazał. Pozostawią nas w niepewności, niewiedzy, bez happy endu.

Te historie wywołują różne uczucia: strach i zgrozę, złość i smutek, radość i gniew, zachwyt i odrazę. Ale i empatię. Nie pozostawiają nas obojętnymi. Mogą budować, jak chce Casey S. Cole, ortopatię, czyli właściwe odczuwanie: sprzeciw wobec zła, współczucie wobec ofiar.

I wreszcie – wzywają do walki z przemocą tu i teraz. Jeżeli biblijne bohaterki mogły mówić o swojej krzywdzie, odzyskiwać sprawstwo, wołać do Boga i ludzi, a ci uznawali ich ból tak, że zapisali go w świętej księdze – możemy to robić i my.

© PAULINA MODEL

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

O. WACŁAW

Oszajca:
Najszczęśliwsza z ludzi

Uroczystość Wniebowzięcia Maryi. Święto, w którym splatają się wątki teologiczne, antropologiczne, polityczne, militarne, a nawet magiczne. Te wszystkie drogi, po których się pałętamy, świadomie lub nie, chcąc tego lub nie, które wiodą nas, dokąd chcemy iść i dokąd nie chcemy. Szukamy swego królestwa, a gdy już je odnajdujemy, okazuje się, że nie o to nam chodzi.

Szukamy naszego królestwa szczęścia „w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie". Dopiero, i na szczęście, gdy już nie możemy ustać na nogach, gdy opadają nam ręce, serce przestaje pracować, a bezsilnie zaciśnięte pięści miętoszą pustkę, zaczynamy przeczuwać, że w tej paraliżującej bezsilności jest coś na rzeczy, coś, co przekracza wszelkie nasze marzenia. Czasami dochodzimy do takiego wniosku sami, czasami muszą nam pomóc inni. Odkrywamy, że najważniejsze nie jest za nami, ale przed nami, w czymś-kimś, o kim śpiewa Jan Kochanowski: „Kościół Cię nie ogarnie (...) wszędy pełno Ciebie", i bezwiednie, bez skrępowania zaczynamy prosić: „Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi / Jedno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi". „Bo chociaż żywiemy, Panu żywiemy, chociaż umieramy, Panu umieramy. Choć tedy żywiemy, choć umieramy, Pańscy jesteśmy". Dlatego:

„Niech przy próznym pogrzebie żadne narzekanie,
Żaden lament nie będzie ani uskarżanie:
Świec i dzwonów zaniechaj, i mar drogo słanych,
I głosem żałobliwym żołtarzów spiewanych!".

W rocznicę śmierci Maryi kościoły pachną ziołami, zbożem, owocami, chlebem, winem – u nas piwem – przepełnia je muzyka, śpiew, tańce, gdyż każdy odpust kończył się gościną i zabawą pod gołym niebem lub w strażackiej remizie. Radość zbawia lęk ode złego. Dzięki temu naszym rabinom, uczonym za mało w Piśmie i w życiu, a za dużo w innych księgach, nie udało się i nie udaje uwięzić ani Boga, ani człowieka w wypłowiałych definicjach. Wciąż jeszcze marzymy o królestwie, które dlatego, że niewidzialne, właśnie istnieje. Trzymamy się więc ręki Tego, który „niebo zbudował / I złotymi gwiazdami ślicznie uhaftował", i tej, „w którą wierzy nawet taki, który w nic nie wierzy". Kobiety w doli i niedoli najszczęśliwszej z ludzi. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Rzym młodych

Dziś inaczej. Dziś kanwą będzie nie Słowo, lecz Wydarzenie Boże. Byłem w Rzymie z młodymi na Jubileuszu Młodych. Widziałem około 300 tys. młodych ludzi na placu św. Piotra. A potem milion na Tor Vergata w sobotę wieczór i na niedzielnej Eucharystii. A później jeszcze, w poniedziałek, ponad 120 tys. (ze 140 krajów świata) należących do Drogi Neokatechumenalnej.

Każde spotkanie zostawiło we mnie konkretny obraz. Msza na otwarcie: po błogosławieństwie na placu pojawił się papież Leon i dobre pół godziny objeżdżał sektory. Młodzi biegli za nim, by choć przez moment zobaczyć go z bliska, dotknąć, zrobić zdjęcie. Myślałem: przecież nic jeszcze o nim nie wiedzą, niemal go nie znają, jeszcze nic do nich nie powiedział... Natychmiast nasunęła mi się odpowiedź: ależ oni nie biegną za Leonem, ale za Piotrem! W Dziejach Apostolskich czytamy: „Także z miast sąsiednich zbiegało się mnóstwo ludu do Jerozolimy (...), a wszyscy doznawali uzdrowienia" (Dz 5, 15n).

Wigilia i dialog papieża z młodymi. Zapytany o najważniejsze życiowe wybory, powiedział, że ostatecznie zawsze wybieramy nie CO-kolwiek, lecz KOGO-kolwiek. A w tym zawsze SIEBIE – to, jakim człowiekiem chcę być. Potem adoracja Najświętszego Sakramentu. Milion młodych klęczało w absolutnym milczeniu przez nie wiem ile minut (nie patrzyłem na zegarek) w ciszy, w której słychać wyłącznie... serce.

Niedziela i trudne słowa o kruchości, słabości i przemijaniu . Papież ogłosił też hasło kolejnych Światowych Dni Młodzieży (Seul 2027): „Miejcie odwagę; Jam zwyciężył świat!" (J 16, 33). Na spotkaniu młodzieży z Drogi 10 tys. młodych kobiet i mężczyzn publicznie zadeklarowało pragnienie przyjęcia powołania do kapłaństwa lub życia konsekrowanego. Wstali i biegli do ołtarza, gdzie otrzymywali indywidualne błogosławieństwo. Patrzyłem oniemiały na tę płynącą (biegnącą) Żywą Rzekę, która swoimi falami uderza z całą siłą w moje poczucie odpowiedzialności.

Młodzi chcą Kościoła. Chcą w nim być, współtworzyć go! To nieprawda, że chcą go zostawić. Ale pokazują przy tym, jakiego Kościoła chcą. Te dni były ważne dla nich, ale kto wie, czy nie ważniejsze dla nas: formatorów, księży i biskupów. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

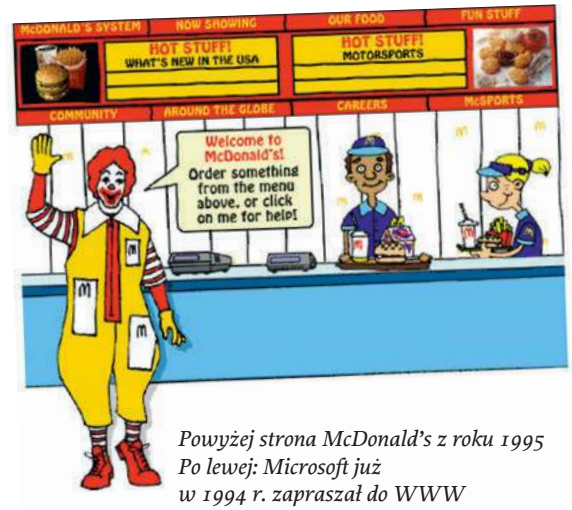

Powyżej strona McDonald's z roku 1995
Po lewej: Microsoft już w 1994 r. zapraszał do WWW

DZIECI NEOSTRADY

Trzydzieści lat temu sieć była czystsza, a strony bardziej osobiste. Istniało złudzenie globalnej wioski. Dziś w internecie możemy mniej, niż byśmy chcieli.

MARCIN WILKOWSKI

Nazywam się IP 212.76.37.14. Akty mojego poznania wyraża klikanie" – pisał w opublikowanym w roku 2002 zbiorze „Liternet" Włodzimierz Karol Pessel, wówczas student, dziś profesor w Instytucie Kultury Polskiej UW.

Lektura tekstów z pierwszego polskiego opracowania o relacjach literatury i internetu wywołuje we mnie jakiś rodzaj smutku i tęsknotę. Wcale nie za powolnymi łączami, korzystaniem z internetu tylko w bibliotece (bo w domu za drogo) czy za brakiem polskich liter na stronach WWW, o którym rapował Łona na płycie „Absurd i nonsens".

Smutno mi i tęsknię, bo dziś wobec internetu nie jestem w stanie wykrzesać z siebie nawet cząstki tej ekscytacji, jaką wobec współczesnej sobie Sieci mieli autorzy „Liternetu" ponad dwadzieścia lat temu.

NETSTALGIA | W roku 2025 sieć jest scentralizowana, skomercjalizowana i poddawana politycznej kontroli. Rządzi nią GAFAM (Google, Apple, Facebook, Amazon, Microsoft). I to tak skutecznie, że nawet pisanie o ich negatywnych praktykach, choćby w wymiarze prywatności czy przejrzystości algorytmów, wymaga korzystania z ich infrastruktury.

Bardzo dobrze wie o tym również „Tygodnik", któremu jesienią zeszłego roku – podobnie jak innym polskim mediom – Facebook radykalnie ograniczył sposób wyświetlania linków do własnych treści. „Facebook poszedł na wojnę z polskimi mediami. Jesteśmy karani za zmiany w prawie autorskim, które nie podobają się Big Techowi" – pisał, oczywiście na Facebooku, szef Onetu i przewodniczący Rady Polskich Mediów, Bartosz Węglarczyk.

Ale zwykli użytkownicy także mają dość. Ci, którzy biernie konsumują treści mediów społecznościowych, narzekają na zmęczenie, rozproszenie uwagi, boją się o dzieci, które rosną z twarzą przy ekranie. Łatwo wpadają w pułapki dopaminowe, co skutkuje godzinami przeglądania bezsensownych treści.

Ci, którzy chcą aktywnie współtworzyć sieć, martwią się spadającymi zasięgami swoich treści, zniechęcają polityką algorytmów i coraz mniejszą podmiotowością wobec wielkich graczy. „Mamy dość współczesnego cyfrowego świata. Coraz więcej osób o tym pisze, każda z własnej perspektywy" – notuje komentator na platformie Hacker News, jednym z najciekawszych dziś miejsc w internecie. „Ludzie odkrywają możliwości wyjścia z pułapki dopaminowej, uciekają od piętna nieskończonego scrollowania, sztucznych algorytmów i szybkich jak *fast food* filmików". Gwałtowny rozwój sztucznej inteligencji domyka ten ponury obraz, przynosząc ze sobą obawy o możliwość rozróżniania prawdy od fałszu, ale też koszty środowiskowe czy eksploatację twórczości.

Bez wątpienia żyjemy więc w odpowiednim czasie, aby wspominać z nostalgią dawny internet, nawet jeśli sami go nie doświadczyliśmy. Nostalgia to przecież nie tyle przywoływanie tego, co rzeczywiście się wydarzyło, ile gra wyobraźni, której celem jest ucieczka z nieprzyjemnego tu i teraz, bardzo intymny opór. Fakty nie zawsze mają w tej grze znaczenie.

KRASNALE WWW | Czas osobistych stron internetowych dawno przeminął. Dzi-

REPRODUKCJE STRON ZA WEBDESIGNMUSEUM.ORG

Powyżej Apple Computer z roku 1995
Po prawej: przed Facebookiem MySpace łączył ludzi (2004 r.)

siejsza nostalgia za wczesnym internetem (netstalgia) rozmywa jednak jego istotę i fakt, że tak naprawdę nigdy nie miały one swojego czasu. Pisze o tym w eseju „From My to My" Olia Lialina, artystka i badaczka mediów z Merz Akademie w Stuttgardzie. Chociaż tęsknimy za różnorodnością i amatorskim, kreatywnym sznytem stron domowych z połowy lat 90., zawsze były one krytykowane i nigdy nie stały się głównym nurtem WWW.

Jak przypomina Lialina, ironiczne podejście do chałupniczego dizajnu cechowało nie tylko wczesnych internetowych przedsiębiorców i profesjonalnych webmasterów, dążących w publikowaniu internetowym do jak największej wydajności, efektywności i zgodności ze standardami. Sam twórca WWW, Tim Berners-Lee, w 1996 r. krytykował autorów amatorskich stron za ekshibicjonizm i porównywał je do kiczowatych krasnali ogrodowych.

Pierwsza polska strona WWW powstała w sierpniu 1993 r. na Wydziale Fizyki UW. Był to właściwie nieplanowany efekt dostępności lepszych komputerów na uczelni. Fizycy z UW, ale także pracownicy naukowi AGH i UMK, tworzyli zręby polskiej infrastruktury sieciowej i jej zasobów. Jednym z nich był prof. Włodzisław Duch, dziś jedna z najbardziej aktywnych postaci w polskiej dyskusji o sztucznej inteligencji.

„Kiedyś człowiek miał nowy pomysł i nie wiedział, że na drugim końcu świata ktoś go już dawno rozwinął. Zamiast kręcić się w kółko, wreszcie można było iść do przodu" – mówi dziś prof. Duch. „Tak, to była rewolucja. Ale widząc, jak ludzie tracą czas na TikToku, ile jest oszustw i wyłudzeń, czasami żałuję, że od początku nie wprowadzono jakichś sposobów weryfikacji tożsamości" – przyznaje twórca pierwszej polskiej strony.

WIECZNY WRZESIEŃ | Taki brak zaufania do Sieci też nie jest niczym nowym. Nostalgia za dawnym internetem nie pozwala zobaczyć, że dla wielu środowisk otwieranie się tego medium na nowych użytkowników wcale nie było dobrą wiadomością. Witano ich z nieufnością, jeśli nie z niechęcią.

Krakowska badaczka Marta Juza rozmawiała z osobami, które w połowie lat 90. rozwijały w Polsce internet (jej rozmówcami są wyłącznie mężczyźni). W wypowiedziach pojawiają się oskarżenia o brak wiedzy technicznej, nierespektowanie netykiety i akademickiej kultury dyskusji. Mężczyźni wyrażają też (w połowie lub pod koniec lat 90.!) tęsknotę za dawnym internetem, dostępnym przez czarne terminale wyłącznie w ośrodkach akademickich, z nieliczną i homogeniczną grupą użytkowników.

Już wtedy, jak czytamy w jednej z wypowiedzi, w internecie „kończył się czas elit, a zaczął czas jelit". Oczywiście Polska nie była tu wyjątkiem, między 1993 a 1994 rokiem wśród najbardziej doświadczonych amerykańskich użytkowników internetu zaczęło pojawiać się pojęcie *Eternal September*, opisujące negatywne doświadczenia kontaktu z nowymi użytkownikami Sieci, którymi – dzięki ofercie uczelni – stawali się młodzi ludzie rozpoczynający naukę.

Efekt „wiecznego września" wzmocnił się w kolejnych latach, kiedy w internecie pojawili się użytkownicy łączący się z domu w ramach komercyjnych ofert amerykańskich pośredników, zwłaszcza koncernu America Online (AOL). Hasło Wikipedii poświęcone temu pojęciu ilustruje zdjęcie koszulki z wymownym hasłem: „Internet jest już pełny. Idźcie sobie stąd!". Internet rozwijał się dalej, mimo nieufności i niechęci tych, którzy byli w nim od początku, albo po prostu wcześniej przed innymi. I to wszystko działo się na długo przed pojawieniem się „dzieci Neostrady", które dziś dla wielu stały się synonimem najgorszych cech użytkowników Sieci.

PRZYDATNE LINKI | Stęsknieni za dawnym internetem nie chcą pamiętać ograniczeń w dostępie do sieci, wysokich kosztów korzystania z niej czy braku kompetencji cyfrowych. W tej grze wyobraźni nawet przeciągły dźwięk modemu łączącego się pod numer dostępowy Telekomunikacji Polskiej nie jest miejscem pamięci o niezdolności państwa do skutecznej cyfryzacji kraju, ale duchem dawnego internetu, który miał być bardziej osobisty, bezpośredni i zrozumiały. I po części taki właśnie był.

„Kiedy ludzie zaczęli korzystać z internetu, czuli się bardzo blisko tego medium i blisko siebie nawzajem" – mówi dziś Olia Lialina. Jeśli ktoś budował mozolnie własną stronę WWW, cała odpowiedzialność za jej strukturę, wygląd i treści zależała od jego decyzji. Jednocześnie nie tylko budował swoje miejsce online, ale też współtworzył tym samym całą sieć, ↦

COOLCAESAR / WIKIPEDIA

Ten komputer NeXT był używany przez Tima Bernersa-Lee w CERN. Właśnie on został pierwszym serwerem internetowym na świecie, 1990 r.

powiększając jej zasoby i pozwalając, aby opublikowane przez siebie obiekty, takie jak kolorowe animacje GIF czy pstrokate tła, mogły być swobodnie użyte przez innych. Linkowanie czy tworzenie web ringów, wzajemnie polecających się sieci witryn, było, jak podkreśla Lialina, autonomiczną decyzją twórców.

Jednym z takich autonomicznych, najbardziej popularnych miejsc we wczesnej sieci był serwis GeoCities, w którym użytkownicy grupowali swoje strony domowe w wirtualne miasta, poświęcone określonym tematom i hobby. „Kiedy firma Yahoo przejęła w 1999 r. GeoCities, natychmiast zaczęto zalewać użytkowników gotowymi szablonami, zasadami i pomysłami na to, jak wszystko powinno być zorganizowane" – przypomina Lialina. „To był proces tworzenia dystansu, jakby przekonywano: kwestie techniczne i dizajn twojej strony to już nie twoja sprawa, po prostu dostarczaj treść. Nie zastanawiaj się, jak strona powinna wyglądać i działać. Ta przepaść z czasem stawała się coraz większa".

W nostalgii za wczesnym Webem tkwi więc nasza tęsknota za podmiotowością. „Pierwsza fala netstalgii pojawiła się mniej więcej dekadę temu. Ludzie zaczęli wspominać czasy, gdy robili w sieci coś własnego. Na przykład na MySpace" – mówi Lialina. „Rzeczywiście dało się tam zmieniać np. kolor i rozmiar tekstu. I teraz, z perspektywy czasu, wspominamy to tak, jakbyśmy byli co najmniej programistami. Fakt: dziś w internecie możemy zrobić coraz mniej. Dlatego nawet te małe rzeczy, które kiedyś robiliśmy samodzielnie, wydają się czymś wielkim".

OGRODY KONCENTRACYJNE | W 1994 r. Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski jako pierwsza instytucja kultury w Polsce opublikowało własną stronę internetową. Jej autorką była Marta van der Haagen, pierwsza polska webmasterka, absolwentka warszawskiej ASP. „Internet był pełen idealizmu i optymizmu. Dawał głos, poczucie międzynarodowej łączności" – mówi dziś van der Haagen. „Sieć wydawała się czystsza. Wszystko było bardziej osobiste, a dużo osób znało się również ze świata realnego. Istniało złudzenie globalnej wioski".

Jarosław Lipszyc, do niedawna szef fundacji Wolne Lektury, osoba od lat działająca na rzecz otwartego internetu, używa frazy z wiersza Marcina Świetlickiego do opisu mechanizmów komunikacji we współczesnej sieci. Wedle Lipszyca coraz powszechniejsze „ogrody koncentracyjne" skonsumowały ludzką komunikację i zaczęły ją kształtować w sposób, który maksymalizuje zyski biznesowe i polityczne, a nie służy zaspokajaniu potrzeb komunikacyjnych i budowaniu społeczności.

Być może tak właśnie, korzystając z frazy Świetlickiego, warto przetłumaczyć obecne w literaturze przedmiotu pojęcie *walled garden*, opisujące zamknięte ekosystemy mediów społecznościowych. Wobec dominacji platform „czysta sieć", o której wspomina Marta van der Haagen, to już tylko wspomnienie.

Dla Lipszyca dawny internet blogów, RSS-ów, forów internetowych był medium znacznie lepszym, bardziej etycznym i lepiej dostosowanym do realnych potrzeb ludzkich, ponieważ ich nie eksploatował: „To nie były maszyny do zarządzania wydzielaniem dopaminy i wyciskania zysku z ruchu gałek ocznych, tylko miejsca zaprojektowane pod prawdziwe interakcje. Emancypacyjna rola internetu w dużej mierze została skutecznie zrealizowana. Problem, jaki mamy z internetem dzisiaj, polega na tym, że przestał być otwarty".

MAŁA SIEĆ | Ostatnim tekstem zamieszczonym w tomie „Literner" był artykuł Lipszyca opisujący internet jako długo oczekiwane medium swobody dla literatury. „W 2002 r. można było patrzeć na Sieć jak na bardzo bogaty świat, w którym funkcjonowały społeczności tworzące pewne wspólnoty, a przynależność do nich była formą autoidentyfikacji, także w środowisku literackim" – mówi dziś Lipszyc. „Z grupą na Facebooku trudno się identyfikować, komunikacja wewnętrzna jest tam też dużo mniej intensywna, bo przecież to algorytm decyduje, jak często wyświetli użytkownikowi posty". W efekcie liternetu już nie ma, a w literaturze wróciliśmy do sytuacji przedinternetowej. Pole literackie w sieci uległo rozproszeniu.

„Średnia liczba kliknięć potrzebnych, by po linkach przejść z dowolnej strony internetowej do innej, wynosi zaledwie 18 i wzrośnie jedynie do 20, jeśli rozmiar Sieci powiększy się dziesięciokrotnie" – pisała w 1999 r. na łamach pisma „Sience" Dana MacKenzie, cytując badania Alberta-László Barabásiego, jednego z twórców nowoczesnych metod analizy sieciowej. „To ostatecznie jest mała Sieć" – tak brzmiał tytuł opracowania. Być może nostalgia za dawnym internetem jest więc nostalgią właśnie za takimi połączeniami, ucinanymi i ograniczanymi przez wielkie platformy społecznościowe, które niechętnie wypuszczają swoich użytkowników na zewnątrz.

Koncepcja *small Web* znajduje zwolenników wśród niektórych deweloperów i twórców internetowych, próbujących oddolnie tworzyć własne witryny, odkrywających na nowo potencjał web ringów i wzajemnego linkowania. Rewolucji jednak na razie nie należy się spodziewać. Przynajmniej, dopóki wciąż godzinami scrollujemy nieskończony *content* z góry na dół. Nawet jeśli czasem zamarzy się nam swobodne surfowanie.

© MARCIN WILKOWSKI

Autor jest historykiem i programistą. Na Uniwersytecie Warszawskim prowadzi zajęcia z historii cyfrowej, w sieci rozwija projekt Humanistyka.dev.

ELIZA

Kącka:
Pula zadań pokutnych

Park Morskie Oko, siedzę sobie, obserwuję wędkujących. Niebo obiecywało pogodę, ale błękit tężeje i widać, że czeka nas ekspansja innej barwy. „Lunie" – rzuca matka z sąsiedniej ławki. „Ano". „Maks, chono tu, nie gap się!". Do mnie: „Ojca szuka, haha. Zabroniłam staremu tu siedzieć, to pójdzie w inne tango". „Uhm". Jest w moim wieku, nerwowo szczupła, spięta. Gestykuluje, jakby zabrakło papierosa, ba, paczki. W pakiecie niepokój na miarę żonglerki z paleniem. „Aleś się rozdudniła" – w gondolce zawodzi dziecko. Obok na ławce siedzi trzeci, najstarszy, rozdrapuje patykiem ziemię. „On ma autyzm jakiś, jak Boga kocham, otwarta gęba i dłubie" – ręce w ciągłym ruchu. Załamuje błagalnie, przyklaskuje, drapie się po głowie, wciąż dociska dłońmi policzki boleśnie, lamentacyjnie: „Nie może znieść płaczu dziecka, mówi mi, ci dwaj nie ryczeli prawie nic, może niedobrze, Karol niekumaty, mówiłam, nie dawać po papieżu, haha, cholera, a ten się uparł, że to na szczęście, bocian, psiamać, szczęście przyniesie". Maks próbuje trafić kamieniem w kaczkę. „Ten da radę w życiu, żeby tylko nie pił. Już se nie dam więcej dzieci zrobić. Strącę, jak Boga kocham, jak mi zrobi. Pani ile ma? – patrzy w bok – co ja pytam, pani nic nie ma, tu się nie robi dzieci – zatacza ręką koło – tu się latte pije". „Jedno". Patrzy na mnie: „Więcej nie chciała? A chłop jest? Jak nie ma, może lepiej, brzucha nie będzie, o urodę zadbasz". Przeszła na ty. „Zabiłby mnie, jakby się dowiedział, że brałam tabletki. Ale ja bym nie mogła więcej dziecków mieć, tylko ja to pcham. Jakby nie matki mieszkanie i tabletki...". Drapie się niemal do krwi. „Gębę rozwiera na matkę. A jak nas stara wyrzuci?". Niebo sinieje. „Te moje – oby nie piły. Niech i kradną". Omiata z pogardą masyw kamienic: „Te tam dzieci nie mają, humusy jedzą, niech nam dają forsę, haha". Śmiech złowrogi, histeryczny. Uspokaja się. „Matka Courage" – rzucam pod nosem. Usłyszała: „Kuraż? Że odwaga?". „Uhm". „Podoba mnie się". Lunęło. Ruszyli ku Puławskiej, a ja w dół, nucąc pod płacz „U Matki Courage dziś kupicie / Te buty w których w tańcu lżej".

Korespondencja via FB: „Szanowna Pani, ja ludzi upominać nie lubię, ale muszę popełnić wyjątek. Podobno posiada Pani wykształcenie. Zaszczegam się, bo wykształcił Panią Uniwersytet Lewacki, jak mówimy z żoną, co utrudnia rozumienie. Ale przejćmy do Pani roli publicystki. Pani pozwala sobie nasłuchiwać ludzi. Niektóre teksty nam się z żoną podobały, ale czy to jest pronarodowe? Jednak nie jest. O Pani działalności wiem przez przypadek, bo sąsiad zostawia tygodniki na klatce. Ja kupuję tylko pisma pronarodowe. Wracając do narodu, ja bym porozmawiał z księdzem w Pani miejscu. Czy wolno Pani podsłuchiwać. Niech powie czy, nie traci na tym naród. Miło mieć rubrykę, ale nie kosztem potępienia wiecznego. Konfesjonał roszczygnie felieton".

Ruda: „Płakałaś przez sen". „Tak?". „Coś ci się śniło". „Owszem. A tobie?". „Ja losowałam karteczki". „O!". „Trzeba było mieć niebieską, żeby przeżyć". „Miałaś?". „Nie. Chodził pan z workiem. Pukał. I najmłodsza osoba w domu losowała za rodzinę. Trzy szanse". „Pudło?". „Co pudło? Trzy kartki czerwone". „Uhm". „Babcia płakała. A ty czemu płakałaś?". „Mnie też się śniło losowanie. Była specjalna pula zadań pokutnych dla Polaka. Wylosowałam słup". „Słup?!". „No, mogłam jeszcze wylosować pustynię. A tu musiałam wleźć na słup. Stał w Lidzbarku Warmińskim. Jak długi komin bez wylotu, z drabinką. Zwinęłam się w kłębek, by nie wystawać". „I co?". „Wiedziałam, że nie zaliczę, bo na słupie trzeba stać. Za bardzo się bałam". „Masz lęk wysokości". „Leżałam i utyskiwałam, że wyciągnęłam zły los. Na pustyni można sikać. A jak tu sikać na słupie?".

Pod poradnią kardiologiczną szpaler ludzki. Profil w profil udręczenie. Dosiadam się. Staruszka: „A pani tu co? Taka młoda. Z czym?!". „A z sercem". Starszy w ciemnych okularach: „Jak my wszyscy". „Ale że co się stało?" – ciągnie staruszka. Opowiadam. „Karetki? Zawały? To dla staruchów jak my". „Jak my wszyscy". Gość obmacujący paczkę papierosów: „Jak państwo myślą, zdążę wyjść zapalić?". „Piąty pan jest, też pytanie!". Wychodzi pielęgniarka: „A to co? Pali pan?! Po zawale?!". „Jakbym nie palił, tobym miał kolejny". „Nie wstyd panu?!". „Dlatego palę". „Jak my wszyscy". Wyciągam notes, zapisuję. Papierosowy łypie: „To chyba nie donos do lekarza?". „Nie". Staruszka: „Siostra i tak mu powie. I dobrze! Grób pan sobie kopie!". „Jak my wszyscy". Kobieta kiele sześćdziesiątki: „Słabo mi". Staruszka: „Rozumiem, ale ja teraz wchodzę". „Duszno mi, nie wytrzymam". „Jak my wszyscy". Papierosowy flirciarsko: „Chodźmy na dwór, ja przy okazji zapalę". „Mój mąż taki był. I mnie zostawił". „Zwiał od pani?". „Jeszcze czego! Zmarł". „Jak my wszyscy". Papierosowy: „Ta, w tym kraju łatwiej umrzeć niż rzucić".

Łazienki, siedzę z notesem. Podchodzi staruszek o lasce: „A co panienka tam sobie szkicuje?". Podszedł bliżej: „A! Pani pisze, myślałem, że rysuje cosik". „Typy ludzkie rysuję" – uśmiecham się. Zachęcił się i dosiadł: „A co tam ma pani za książkę?". „Canettiego". „Uhuhu, poważna sprawa. Jakoś tych Austriaków, wie pani, nigdy nie mogłem zmóc, ale szanuję. A Prusa kocham". „Ja też". „Tak?! A to miło. Prusa i Manna mogę zawsze". „Ano". „Widziałem go tutaj". „Kogo?". „Prusa". „Też bym chciała". Gapi się badawczo: „Nie ucieka panna z krzykiem: »wariat, wariat«?". „Hehe, nie". „Nie może być. Ale naprawdę. On tu bywa, jako duch". „Pięknie". „A tak. Ja zawsze żałowałem, że Bozia talentu nie dała. Krawcem jestem. Jak się oko traci, precyzję, to koniec. Zamyka się wszystko. Starość zostaje. A pisze się nadal po śmierci". Poszedł. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

NAUKA

DRUGIE ŻYCIE

Co druga osoba doświadczy choć raz spontanicznego świadomego snu, a mnóstwo ludzi próbuje wyćwiczyć się w technice wywoływania go na życzenie. Co o świadomym śnieniu mówią psychologia i neuronauka?

PIOTR SZYMANEK

Jest 12 kwietnia 1975 r. Słońce wstaje leniwie nad miastem Hull w Wielkiej Brytanii. Psycholog Keith Hearne ma za sobą długą noc w laboratorium. Ni stąd, ni zowąd maszyna, którą monitorował od dobrej godziny, zaczyna wariować. 50 lat później Hearne powie w wywiadzie: „Miałem wrażenie, jakbym otrzymał sygnał z kosmosu". Tamtego wiosennego dnia dokonał się bowiem przełom: po raz pierwszy w historii skomunikowano się z osobą pogrążoną we śnie.

Fazy i oczy

Nikogo zapewne nie zaskoczy, że już Arystoteles odnotował, iż w trakcie snu osoby śniące czasem zauważają, że są we śnie. Zjawisko to określono mianem świadomych snów (ang. *lucid dreams*).

Wielu myślicieli na długo przed Hearnem rozważało, czym są owe sny, skąd się biorą i jaki kryją potencjał. Przyglądali się oni własnym świadomym snom, próbując różnych metod wywoływania u siebie tych osobliwych stanów świadomości. Nie mieli zresztą innej opcji: świadome sny pozostawały zjawiskiem dostępnym tylko subiektywnym doświadczeniom śniącego, niepodatnym na pomiar.

Dla raczkujących psychologów z początku XX w. oneironauci – jak nazywa się często „profesjonalnych" śniących, zdolnych wywoływać u siebie świadome sny – pozostawali taką samą, nieruchomą skorupą, jak każdy inny śpiący, mimo tlącego się wewnątrz żaru świadomości.

Ale, zapyta ktoś, czy osoba pogrążona w świadomym śnie nie mogłaby po prostu poruszyć ręką albo nogą, by dać znać badaczowi, że naprawdę przeżywa właśnie świadomy sen? Nie mogłaby – z tego samego powodu, dla którego nie zrywamy się z łóżka za każdym razem, gdy w naszych zwykłych snach dzieje się coś niepokojącego.

Na czas snu jesteśmy bowiem w gruncie rzeczy sparaliżowani, a paraliż ten zwykle znika w momencie odzyskania przytomności – choć trzeba zaznaczyć, iż pewien odsetek populacji doświadcza paraliżu przysennego jeszcze przez krótki czas po przebudzeniu, a wielu ma za sobą nieprzyjemne doświadczenie kopnięcia szafki nocnej przez sen. Co do zasady jednak, sen, świadomy czy nie, oznacza, że wszystkie nasze mięśnie pozostają obojętne na sygnały wysyłane przez mózg. No, prawie wszystkie.

„Oczy – wspomina w wywiadzie Hearne. – Pomyślałem sobie: to sen REM. Można ruszać oczami!". Sen – w znaczeniu stanu psychofizjologicznego – dzieli

ANDREY POPOV / ADOBE STOCK

się na dwie podstawowe fazy, zwane fazą NREM (ang. *non-rapid eye movement*, faza wolnych ruchów gałek ocznych lub sen głęboki) i fazą REM (*rapid eye movement*, faza szybkich ruchów gałek ocznych).

Fazy te następują jedna po drugiej przez całą noc, przy czym faza NREM jest trzy lub nawet czterokrotnie dłuższa niż REM. Marzenia senne pojawiają się natomiast najczęściej i z największą intensywnością podczas epizodu REM. Wtedy to zwiększa się gwałtownie aktywność mózgu, a oczy zaczynają wykonywać spontaniczne, drgające ruchy. Kiedy Hearne przypomniał sobie o tym prostym fakcie, zadzwonił do swojego najlepszego królika doświadczalnego, oneironauty Alana Worsleya, i powiedział mu: „Ruszaj oczami!". Umówili się na określoną sekwencję ruchów: w lewo i w prawo.

I tak, o godz. 8.07 pewnego wiosennego dnia, elektroencefalograf na głowie Worlseya zarejestrował pośród chaotycznych drgań oczu serię horyzontalnych ruchów wykonanych przez badanego rozmyślnie w trakcie świadomego snu. Był to pierwszy w historii komunikat wysłany ze świata marzeń sennych. Jednak prawdziwe zagadki świadomego śnienia dopiero na psychologów czekały.

Maszyna do śnienia

Hearne był pierwszą osobą, która zarejestrowała świadomy sen na elektroencefalogramie, a dzień 12 kwietnia stał się nieoficjalnie „Dniem Świadomych Snów". Jednakże za oceanem amerykański psychofizjolog Stephen LaBerge, nieświadomy przełomu Hearne'a, wykonał w 1980 r. analogiczny eksperyment i opublikował jego wyniki na łamach czasopisma „Perceptual and Motor Skills".

LaBerge stał się później twarzą psychologii świadomych snów. Zbadał on np. percepcję czasu u śpiących oneironautów – jak się okazało, dziesięć sekund w świadomym śnie, odmierzone przy pomocy horyzontalnych ruchów oczu, zajmuje badanemu mniej więcej tyle samo czasu „rzeczywistego".

Odkrycie to podważyło powszechnie przyjmowaną tezę, iż postrzeganie czasu w snach jest zawsze niedokładne lub zniekształcone. Szwajcarsko-niemiecki zespół z psychologiem Danielem Erlacherem na czele odkrył jednak niedawno, że niektóre czynności wykonywane w świadomym śnie (np. przysiady) trwają nawet o 40 proc. dłużej niż w rzeczywistości. Autorzy badania wyjaśniają, iż może być to spowodowane brakiem informacji zwrotnej ze strony mięśni, którą otrzymujemy wykonując ćwiczenia motoryczne na jawie.

Pod koniec lat 80. wybucha prawdziwy boom na świadome sny. W 1987 r. LaBerge zakłada Lucidity Institute, gdzie zgłębiane są, po pierwsze, korzyści płynące ze świadomego śnienia, a po drugie, techniki wywoływania świadomych snów.

Badacz wydaje też swoją pierwszą książkę poświęconą oneironautyce, w której namawia czytelników do skorzystania z „potęgi przebudzenia w snach". Przekonuje, że świadome sny są narzędziem do eksploracji samego siebie, źródłem inspiracji, a nawet sposobem na trening umiejętności motorycznych.

W latach 90. dowody na to ostatnie były anegdotyczne, ale dziś wiemy już – np. z badania Tadasa Stumbrysa i współautorów z 2015 r. – że ćwiczenie prostych zadań, takich jak rzucanie do celu, we śnie, rzeczywiście podnosi nasze umiejętności (choć nie tak bardzo, jak prawdziwy trening!). Niemniej, praca LaBerge'a wypromowała świadome sny jako coś w rodzaju „drugiego życia" – po co spać nieświadomie, gdy można co noc kontrolować treści ↦

snów, spełniać w nich swoje fantazje, albo, chociażby, przygotowywać się do turnieju w rzutki?

LaBerge i jego współpracownicy z Lucidity Institute nie tylko zachęcili świat do świadomego śnienia, ale i stworzyli nowatorskie metody wywoływania świadomych snów. Jedną z nich była zaprojektowana w Lucidity Institute pierwsza w historii maszyna do indukcji świadomych snów zwana DreamLight, zastąpiona później przez ulepszoną wersję NovaDreamer. Zasada działania urządzenia jest bardzo prosta, jednak nie powie nam ona zbyt wiele, jeśli wcześniej nie przyjrzymy się naturze świadomych snów.

Czas więc chyba najwyższy porzucić historię idei i przejść do tego kluczowego pytania: czym tak naprawdę są i skąd biorą się świadome sny?

Bączek prawdy

W filmie „Incepcja" z 2010 r. (reż. Christopher Nolan) Dom Cobb, specjalista od wykradania sekretów z podświadomości ludzi podczas snu, zawsze nosi ze sobą metalowy bączek – swój osobisty przyrząd do odróżniania jawy od świata snów. Jeśli bączek nie przestaje się kręcić – znaczy to, że bohater wciąż śpi. Motyw ten został oparty na tym, co oneironauci nazywają zwykle „testami rzeczywistości" (ang. *reality checks*): metodami, które pozwalają przekonać się, czy to, co właśnie się dzieje, nie jest przypadkiem snem. Najpopularniejszymi z nich są test zegarka i test czytania: we śnie godzina na zegarze zwykle zmienia się co spojrzenie, a napisy są najczęściej nieczytelne. Zupełnie jak gdyby nasz mózg, niczym komputer ze słabą kartą graficzną, nie był w stanie wygenerować wszystkich szczegółów onirycznego świata!

Spojrzenie na zegarek i przekonanie się, że co chwilę pokazuje on inną godzinę, może więc wywołać świadomy sen, choć niektórzy badacze byliby gotowi powiedzieć, że jeśli ktoś wykonał test rzeczywistości celowo, to prawdopodobnie już wcześniej znajdował się w świadomym śnie.

Jak z wieloma problemami badawczymi, granice pojęcia są dość mętne. Parapsycholożka Celia Green już w 1968 r. zauważyła, iż zdarzają się sny „przed-świadome" (ang. *pre-lucid dreams*), w których osoba śniąca zaczyna podejrzewać, że jest we śnie, ale ostatecznie odrzuca tę myśl.

Świadome sny mogą poprawiać samopoczucie. Mogą też być narzędziem psychoterapeutycznym. Ale czasem podnoszą poziom lęku lub wywołują stany dysocjacyjne.

Przykładowo, może ona spojrzeć na niebo i zdziwić się, że płyną po nim setki butów, ale zamiast uznać: „to musi być sen", dojść do wniosku, że najwyraźniej „dziś jest dzień buta" (przykład oparty na prawdziwej relacji ze snu!).

Niemniej, co druga osoba na świecie doświadczy choć raz w życiu spontanicznego świadomego snu i w lwiej części tych przypadków cała rzecz rozpocznie się od konstatacji: „to chyba sen".

Jak wskazują badania kwestionariuszowe, obserwacja ta dokonywana jest najczęściej w reakcji na wyjątkowo nieprawdopodobne zdarzenie w świecie snu (np. zmasowany atak dinozaurów na rodzinne miasteczko), wstrząs emocjonalny towarzyszący koszmarowi albo uczucie zwane *déjà rêvé* (fr. „już śnione", analogiczne do *déjà vu* – „już widziane").

To, co wiąże wszystkie te elementy, to pewnik, że osoba śniąca, w odpowiedzi na treść snu, przeprowadza w głowie rozumowanie i dochodzi do poprawnego wniosku, że znajduje się we śnie. Przykładowo: „Znalazłem skarb piratów. Już kiedyś mi się to śniło. To musi być sen!".

Badania neurobiologiczne potwierdzają, że w trakcie świadomych snów istotnie przeprowadzamy jakiś rodzaj wnioskowania, mimo iż wnioskowanie to często nie prowadzi do słusznych wniosków (*vide* dzień buta). Wskazują na to specyficzne aktywacje w przedniej części mózgu – w szczególności w prawej grzbietowo-bocznej korze przedczołowej – czyli w obszarach zaangażowanych w rozumowanie, krytyczne myślenie, monitorowanie myśli i podejmowanie decyzji.

Brak aktywności w tych regionach podczas zwykłego snu sprawia, że choćby na naszych oczach Wisła zamieniła się w rzekę z czekolady, nawet nie mrugnęlibyśmy okiem. W trakcie świadomego snu natomiast obszary przedczołowe aktywują się, a osoba śniąca stopniowo orientuje się, że śni. Działa to zresztą w obie strony. Wykazano bowiem, że stymulacja magnetyczna prawej grzbietowo-bocznej kory przedczołowej zwiększa szansę na pojawienie się świadomego snu.

Instrukcja obsługi snów

Skoro świadome sny zaczynają się, gdy śpiący zorientuje się, że „to tylko sen", najpopularniejsze metody uzyskiwania tych stanów oparto na kultywowaniu sceptycznego nastawienia do otaczającej nas rzeczywistości.

Tak jak Kartezjusz głosił, iż wszystko, co dzieje się wokół, można podważyć jako treść snu podsuwaną przez złego demona, tak początkujący oneironauta musi uczyć się wyłapywać informacje, które mogą wskazywać na to, że znajduje się we śnie. Choć każdy amator może od czasu do czasu zorientować się, że śni, kiedy pojawi się przed nim pająk wielkości samochodu, zawodowiec nie pozostawia spraw przypadkowi i trenuje się w subtelniejszych testach rzeczywistości. Może więc np. ustawić sobie nieregularny alarm w telefonie i na każdy jego dźwięk spoglądać na swój zegarek, by sprawdzić, czy właśnie śni. Po powtórzeniu tej czynności wielokrotnie, taka osoba może pewnego razu usłyszeć alarm, spojrzeć na zegarek i odkryć, że istotnie – znajduje się we śnie.

Pomocne bywa też spisywanie treści swoich codziennych snów, by zwiększyć szansę na pojawienie się wrażenia *déjà rêvé*. Ważna jest jednak i sama wola znalezienia się w świadomym śnie: badania potwierdzają, że świadome śnienie można wywołać po prostu powtarzając sobie przed zaśnięciem: „następnym razem, gdy będę śnił, rozpoznam, że to sen". Niemniej, niektórzy fani oneironautyki postanowili nie ograniczać się do powyższych metod i zaczęli łączyć je ze wspomnianym już urządzeniem NovaDreamer.

Przypomina ono zwyczajną maseczkę do snu, jednak ukryta w środku maszyneria monitoruje gałki oczne, a po wykryciu szybkich ruchów tychże, bombarduje śniącego serią świateł LED. Oneironauci są niekiedy w stanie zobaczyć te światła, wplecione przez mózg w trwającą właśnie fabułę snu, i w efekcie zorientować się, że śnią!

Są jednak i takie metody, które nie angażują kompetencji poznawczych śniącego. Zamiast tego, wykorzystują wyłącznie mechanizmy psychofizjologiczne, które nie są jeszcze zbyt dobrze znane. Taką metodą jest np. „*Wake back to bed*" (dosł. „Wstań z powrotem do łóżka"). Przepis wygląda mniej więcej tak: ustawiamy budzik na 1 lub 2 godziny wcześniej, niż byśmy sobie tego życzyli, a po pobudce próbujemy nie zasnąć przez około 30 do 120 minut – dopiero po tym czasie wracamy do łóżka. Istny koszmar!

Śnić czy nie śnić

Mówiliśmy już o pewnych korzyściach płynących ze świadomego śnienia, które sprawiły, że zaczęto postrzegać tę aktywność nie tylko jako formę rekreacji, ale i metodę rozwoju osobistego lub nawet samopomocy. Rzeczywiście, badania sugerują, że świadome sny mogą poprawiać jakość snu i samopoczucie, a nawet korelują dodatnio z ogólnym zdrowiem, fizycznym i psychicznym. Dodatkowo, mogą być dobrym kandydatem na narzędzie psychoterapeutyczne. Przykładowo, zespół badaczy z Garretem Yountem na czele zaobserwował, że osoby cierpiące na zespół stresu pourazowego (PTSD) lepiej radziły sobie z koszmarami i innymi symptomami po odbyciu warsztatów nauki świadomego śnienia.

Są jednak i ciemne strony oneironautyki. Jedną z nich są świadome koszmary – przerażające sny, w których śniący zdaje sobie sprawę, że śni, ale nie ma żadnego wpływu na treść snu i nie może się przebudzić. Zdarzają się one dość rzadko, ale trening oneironautyki prawdopodobnie zwiększa również szansę na wystąpienie tych niepokojących stanów. Inne badania sugerują, że świadome śnienie może obniżać jakość snu i prowadzić do podwyższonego lęku.

Dodatkowo, niektórzy autorzy zalecają ostrożność w eksperymentach oneironautycznych osobom cierpiącym na halucynacje i urojenia. Jak sugeruje badaczka Nirit Soffer-Dudek na łamach „Frontiers in Neuroscience", nawet osoby niezmagające się z zaburzeniami psychicznymi mogą, trenując świadome sny zbyt często, narazić się na stany dysocjacyjne, takie jak poczucie oddzielenia od rzeczywistości lub zatarcia granic między wyobraźnią a jawą.

Jednak badania nad świadomymi snami wciąż trwają. W 1975 r. Keith Hearne po raz pierwszy otrzymał wiadomość ze świata snów. Prawie 50 lat później badacze z REMspace, kalifornijskiego start-upu, ogłosili, że po raz pierwszy skomunikowali ze sobą dwie śpiące osoby. Badani spali we własnych domach, obaj podłączeni do sprzętu EEG monitorującego ich fale mózgowe. Gdy pierwszy ze śpiących wszedł w świadomy sen, wysłano mu przez słuchawkę jedno, losowo wybrane słowo, które ten usłyszał we śnie i powtórzył sam do siebie. System zarejestrował tę aktywność mózgu i przesłał to samo słowo do drugiego śniącego, który powtórzył je zaraz po przebudzeniu.

Badania REMspace wymagają jeszcze niezależnego potwierdzenia, ale mogą stać się przełomem w badaniach nad snem i świadomością, a może nawet otworzyć na oścież drzwi do naszego drugiego życia. © PIOTR SZYMANEK

REKLAMA

KULTURA

KWATERY MIŁOŚCI

ARKADIUSZ JAKUBIK, AKTOR:

Pracując nad rolą Jacka Kuronia, zastanawiam się nad ludzką naturą. I jakoś nie mogę się zgodzić z powszechnym przekonaniem, że z natury stoimy po ciemnej stronie mocy. Ja uważam, że człowiek jest dobry.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Brodę zgolił Pan do tej roli?

ARKADIUSZ JAKUBIK: Jacka Kuronia? Przed momentem skończyłem czterogodzinną próbę do fabuły, którą wyreżyseruje Piotrek Domalewski. Rozmawialiśmy o postaciach, ich motywacjach – głowa cały czas pracuje. Czuję się, jakbym przerzucił tonę węgla. Właśnie zaczynamy zdjęcia.

I jaka jest ta postać?

Bohater moich czasów. Obok Edelmana i Bartoszewskiego. Ojcowie wolnej Polski. Cały czas zastanawiam się, na ile powinienem go wiernie naśladować, a na ile skupić się na emocjach, które dla widza są w filmie najważniejsze. Bo to nie będzie film polityczny, tylko o uczuciach Jacka i Gajki, którą zagra Magda Popławska.

Teraz mówi Pan głosem Kuronia, jakbym go słyszała. Zdążył Pan go poznać?

Niestety nie. W Strzelcach Opolskich – miasteczku, z którego pochodzę – w latach 80. nie występowało nic na kształt opozycji demokratycznej. Jedynym znanym mi wtedy zagorzałym antykomunistą był pan Pałosz, profesor w moim liceum. Wykładał wiedzę o świecie współczesnym. To był człowiek, który mi uświadomił, jak naprawdę wygląda nasza historia. Kto mordował w Katyniu i co się działo z akowcami po wojnie. Do tego stopnia mnie to zainteresowało, że zdawałem na dziennikarstwo na Uniwersytet Jagielloński i...

Pan? Na dziennikarstwo?

Byłem dobry z historii i polskiego, miałem za sobą pierwsze próby pisania prozy. Nie rozumiem dlaczego, ale mając fatalną dykcję, złożyłem jednocześnie papiery do Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Dostałem się tu i tu. Wybrałem aktorstwo. Żeby zdawać na to dziennikarstwo, trzeba było złożyć pracę. Przeprowadziłem wywiady z różnymi stronami stanu wojennego. Był rok 1986.

Trzy lata wcześniej stan wojenny został zniesiony.

Więc sprawa był świeża. Miałem dwadzieścia pytań, które stawiałem moim rozmówcom. Nagrywałem na kasetę magnetofonową, którą całkiem niedawno odnalazłem. Odsłuchałem i zdumiało mnie nie to, o co pytałem, tylko jak ja się wówczas jąkałem...

Kto wziął udział w ankiecie?

Między innymi dyrektor naszej szkoły, historyk, profesor Babiarz.

Wspaniały, uczciwy człowiek, tyle że zagorzały marksista-komunista. Prawdziwy ideowiec. Trochę jak Kuroń, dopóki nie przejrzał na oczy. Profesor Babiarz próbował bronić stanu wojennego, twierdził, że gdyby nie jego wprowadzenie, do Polski wkroczyliby Ruscy. Natomiast profesor Pałosz mówił, że komunistów to by powywieszał. Ostatnią rozmowę w tej ankiecie odbyłem sam ze sobą. Chciałem wprowadzić perspektywę młodego człowieka, maturzysty, który był zdecydowanym przeciwnikiem stanu wojennego.

Jak się rozkładały opinie polityczne w Pana rodzinie?

Mama całe życie była związana z ówczesną polityką, którą głównie uprawiała w Strzelcach Opolskich. Działała w Stronnictwie Demokratycznym, ale w tym odłamie, który dążył do reformy, wręcz walczył z aparatem państwowym. Mama nigdy nie zapisała się do PZPR, choć była kierowniczką kadr w fabryce mebli, a wtedy w Strzelcach Opolskich na takich stanowiskach mało kto był bezpartyjny. Na jej zaangażowanie i postawę na pewno rzutuje przeszłość: wieczne kłótnie z moim dziadkiem, zatwardziałym komunistą. Był dyrektorem Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych. Robotnicy przed stanem wojennym wywieźli go na taczce z zakładu.

A rodzina taty?

Ze wschodu, z okolic Lwowa i Stryja. W 1944 r. dziadkowie od strony ojca – Franciszek i Aniela – uciekali przed Ukraińcami. Bez niczego, jak stali, wsiedli do bydlęcego wagonu po to, by wysiąść na pierwszej polskiej stacji – w Krośnie. Byli zziębnięci, głodni, spragnieni. Zaopiekowała się nimi zupełnie im nieznana rodzina Przewłockich. Zabrali ich do siebie, nakarmili, dali miejsce do spania, pomogli znaleźć pracę.

Długo tam zostali?

Przez rok, po czym wsiedli do kolejnego pociągu repatriantów i wysiedli w Gliwicach. To właśnie w tym mieście spotkał się mój tata Stanisław i mama Barbara. Zakochali się, wzięli ślub. A potem – też pociągiem – pojechali za pracą na Opolszczyznę. A ja swoim pociągiem wyjechałem ze Strzelec Opolskich do Wrocławia, by uczyć się w Szkole Teatralnej, a potem z Wrocławia do Warszawy, by tam pracować.

Rodzina tułacza?

W roku 2016 moja mama zapytała, co sądzę o tym, żeby przenieść prochy ojca ze Strzelec Opolskich na cmentarz nieopodal wsi pod Piasecznem, gdzie od lat mieszkamy. Dodała: „I tu też będzie moje miejsce, a tata będzie na mnie czekał". Wtedy dotarło do mnie, że nasz rodzinny pociąg, który zatrzymywał się od drugiej wojny światowej na kolejnych stacjach, dojeżdża właśnie do tej ostatniej.

W ten sposób Pan o tym myśli?

Jednak to wszystko nie odbyło się bez przeszkód. W sprawie kupna kwatery na cmentarzu mama trafiła na niewłaściwego księdza. To był czas, kiedy wybuchł skandal po premierze piosenki „Pismo", nagranej z moim zespołem Dr Misio. W teledysku wystąpiliśmy w sutannach, pokazując pazerność kleru. Ówczesnej Telewizji Polskiej nie spodobał się i tekst, i klip, więc wykreśliła nasz zespół z Koncertu Premier na festiwalu w Opolu, „z uwagi na nieemisyjny charakter". Festiwal odwołano, bo kolejni artyści zaczęli protestować przeciw cenzurze. Podobno przez nas.

„Pismo" zaczyna się zwrotką: „Nikt już dzisiaj nie wypędza kupców ze świątyni, w świątyni najlepszy jest biznes, kogo obchodzi zbawienie?".

Ten ksiądz zarządzający cmentarzem musiał to słyszeć i widzieć teledysk. Skonfrontował to z moją mamą, osobą głęboko wierzącą. Choć od pewnego momentu zdystansowaną wobec instytucji Kościoła, niezgadzającą się na to, jakie androny wygaduje w jej parafii ksiądz na niedzielnych kazaniach. Lecz potrzeba obcowania z Bogiem została w mamie do ostatnich dni – modlitwa i eschatologiczne rozmowy w ostatnim czasie, kiedy już śmiertelnie chorowała. ↦

Arkadiusz Jakubik,
Warszawa, kwiecień 2025 r.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ **Jak się skończyło z tym grobem?**

Mama poprosiła księdza o możliwość wykupienia kwatery. Ten zaczął się do niej nieładnie zwracać, a mnie nazywać antychrystem... Mama była zszokowana, popłakała się. W finale ksiądz zgodził się, by kwaterę sprzedać, tyle tylko, że dopisał do normalnej ceny jedno zero. Kiedy zobaczyłem kwotę, wściekłem się, ale wyciągnąłem z konta ostatnie oszczędności.

Warto było?

Zaraz się okaże, bo to jeszcze nie koniec. Teraz się pojawia pan Karol, który pracuje w zakładzie kamieniarskim przy cmentarzu, i mówi: „Panie Areczku, słyszałem, że pan przepłacił trochę u księdza proboszcza". Ja: „No tak, ale nie ma co już o tym gadać". On: „Ale ile pan mu zapłacił?". Podałem mu kwotę, on się złapał za głowę, rzucił niecenzuralnym słowem i drąży dalej: „A pan by pewnie też na tym cmentarzu chciał leżeć blisko rodziców, prawda?".

Czemu tak pospieszał?

No właśnie, zaraz się okaże. Ja: „No pewnie, ale panie Karolu, teraz pan chce o tym gadać? Niech mi pan da jeszcze trochę pożyć. Możemy tak za 10 czy 15 lat wrócić do tematu?". „Ale panie Areczku, to tak nie działa. Chodzi o to, że pan tutaj, na tym cmentarzu moim zdaniem, kwatery dla siebie już nie kupi. Więc ja mam propozycję taką, że tutaj tatuś, tu kiedyś mamusia – oby żyła jak najdłużej! – a ja jeszcze panu i pana żonie wybuduję pięterko. Bo jak ja panu teraz tego nie zrobię, to tego nie zrobię nigdy, bo to jest taka podmurówka i trzeba tylko teraz zrobić to i tamto... Pan pójdzie do domu i porozmawia na ten temat z małżonką".

Widzę minę Pana żony.

Też zobaczyłem, ale zgodziła się. I mamy już swoje pięterko na cmentarzu.

No!

Tym samym dotarło do mnie, że prawdziwy mężczyzna nie tylko powinien wybudować dom, spłodzić syna i zasadzić drzewo, ale jeszcze musi ogarnąć swoją kwaterę na cmentarzu. Wtedy cały krąg życia się dopełnia.

Dotarło do mnie, że prawdziwy mężczyzna nie tylko powinien wybudować dom, spłodzić syna i zasadzić drzewo, ale jeszcze musi ogarnąć swoją kwaterę na cmentarzu.
Wtedy cały krąg życia się dopełnia.

I krąg miłości?

Wracamy teraz do filmu o Jacku i Gajce. Mnóstwo o nich czytam, oglądam, wszystkie książki Kuronia przestudiowałem. Ale moją ulubioną lekturą spośród tego wszystkiego są miłosne listy Jacka i Gajki. Czułość, oddanie, poczucie humoru i mnóstwo wiedzy o ówczesnych realiach.

Na 27 lat wspólnego życia z Gajką około dziewięciu Kuroń spędził w więzieniu. W jednym z listów napisał, że została stworzona na żonę kryminalisty.

W czasie drugiej odsiadki Kuroń doznał iluminacji. On wtedy jeszcze był zatwardziałym marksistą, sam to opisuje w „Wierze i winie". Chciał komunizm ulepszać, naprawiać. A w więzieniu nie miał pojęcia, ile czasu spędzi – miesiąc, rok, dziesięć lat... By nie oszaleć, za namową Gajki zabrał się za pisanie doktoratu. Punktem wyjścia była siódma teza Marksa o Feuerbachu, mówiąca, że byt określa świadomość.

Też mi się zdarza to słyszeć.

Gajka była kobietą o wyjątkowej wrażliwości, inteligencji i charyzmie. Podpowiedziała Jackowi: „Popatrz, ale tę tezę wszyscy zawsze czytają w ten sposób, że próbują interpretować wszystkie działania człowieka z punktu widzenia stosunków społecznych. A jakby odbyć tę drogę w przeciwną stronę?". Chciała, by spróbował udowodnić, że świadomość określa byt. Więc Jacek przez trzy lata pracował nad odwróceniem tego wektora. W pewnym momencie pojął, że marksizm z zasady jest nieprawdziwy, a on dotąd był kompletnym kretynem. Mogę zrobić małą dygresję?

Słucham uważnie.

Daniel Dennett twierdzi, że idea, która rozwija się w ludzkich umysłach, jest pasożytem robiącym nam krzywdę. Bo ona karmi się nami i sama sobą. Na pewno nie służy człowiekowi. Dennett podaje przykład mrówek, które, nie wiadomo dlaczego, wspinają się na szczyt źdźbła, spadają, wspinają się ponownie i znowu spadają – tak bez przerwy i bez wyraźnego biologicznego powodu.

Okazuje się, że w mózgu mrówki zadomowił się pasożyt – motyliczka wątrobowa, która, chcąc przedostać się do żołądka owcy lub krowy, by w jej wnętrzu rozpocząć kolejny etap cyklu rozwojowego, steruje swoim bezwolnym nosicielem. Dennett twierdzi, że coś podobnego przydarza się ludziom, a robakami naszych umysłów są idee, które bardziej niż o człowieczeństwo zdają się dbać o własne przetrwanie.

Człowiek jako narzędzie idei?

Ale też popełniający błędy, czasem zdolny do złych uczynków. Dotyczy to również Jacka Kuronia. Pracując nad tą rolą, zastanawiam się nad ludzką naturą. I nie mogę się zgodzić z powszechnym przekonaniem, że stoimy po ciemnej stronie mocy. Że mamy w sobie sadystę i oprawcę, i wystarczy tylko to uruchomić, co chciał udowodnić swoim więziennym eksperymentem Zimbardo. Ja uważam, że człowiek jest dobry.

No wie Pan...

Wierzę w siłę miłości. Ona nas potrafi zmieniać. Tak jak Gajka zmieniała Jacka, jak ona go formatowała duchowo i intelektualnie. Ona była pełnoprawnym partnerem Kuronia, nie tylko żoną, matką, gospodynią. Bez niej nie byłoby tego Kuronia, którego pamiętamy.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

MATERIAŁY PRASOWE X2

ARKADIUSZ JAKUBIK (ur. 1969) jest aktorem, scenarzystą i wokalistą założonego przez siebie zespołu Dr Misio.
Zagrał m.in. w filmach: „Wesele", „Dom zły", „Drogówka", „Pod Mocnym Aniołem", „Wołyń" i „Kler", wyreżyserowanych przez Wojciecha Smarzowskiego. Wystąpił w serialach „Król", Klangor", „Informacja zwrotna". Ostatnio ukazała się jego solowa płyta „Romeo i Julia żyją".

HANNA NAWROT / MATERIAŁY PRASOWE

Powyżej i obok: kadry z filmów „Dom zły" (2009 r.) i „Drogówka" (2013 r.) oraz okładka płyty „Romeo i Julia żyją" wydanej przez Mystic Production

Mądrość kobiety?

Z Agnieszką, moją żoną, jesteśmy razem od 33 lat. I ona jest dla mnie najważniejszą, najmądrzejszą, najpiękniejszą osobą pod słońcem. Jako pierwsza recenzuje rzeczy, które popełniłem, od scenariusza, przez rolę po płytę... Zawsze muszę, chcę i potrzebuję odbić się od zdania Agnieszki. Wiem, że nie będzie mnie klepać po ramieniu nieszczerze, ale powie, co myśli.

Długowieczna miłość to również główny wątek Pana ostatniej płyty „Romeo i Julia żyją".

Bohaterowie tych 10 piosenek – Jan i Krystyna Marcowie – marzą, by zagrać razem Romea i Julię. Nie udaje im się, nawet w Domu Kultury w ich rodzinnym Piasecznie. Dlatego postanawiają wystawić przedstawienie w domu.

Skąd pomysł na tę opowieść?

Kiedyś Julia miała na imię Ruth, a Romeo – Oskar. Agnieszka i ja graliśmy przez 17 lat spektakl zatytułowany „Oskar i Ruth" Ingmara Villqista. To historia trochę o nas: zwariowanym małżeństwie, które kłóci się po włosku, by po chwili zalecać się i nawzajem podrywać w rozmaitych konwencjach teatralno-filmowych. Spektakl był rodzajem naszej małżeńskiej autoterapii. Dokładnie tak samo to działało, jak u Jana i Krystyny Marców...

Tak samo?

Wspólne działanie, wspólna pasja może połączyć ludzi, pomóc im w słabszych momentach, które zdarzają się w każdym związku, zwłaszcza tym długotrwałym. Z Agnieszką zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nie możemy grać tego przedstawienia pokłóceni. Bo wtedy okłamiemy widza, nie stworzy się między nami dobra energia i prawda, którą udawało nam się wygenerować na próbach.

Efekt?

Łatwo nie było, kiedy skłóceni mieliśmy wyjść na scenę jako Ruth i Oskar. Mieszkamy na wsi, godzinę autem od Teatru Powszechnego w Warszawie, gdzie graliśmy spektakl. Wyjeżdżamy o siedemnastej, ja prowadzę i nic, cisza. Siekierę można powiesić, takie napięcie. Podjeżdżamy pod teatr milczący i obrażeni. Wchodzimy do garderoby, Agnieszka zaczyna się malować, ja się przebieram. O dziewiętnastej ma się zacząć przedstawienie, zagląda inspicjent: „Witajcie, no to co, za 15 minut zaczynamy, jak was miło widzieć...". Wychodzi, a my nic. Za minutę dziewiętnasta z intercomu słychać: „Kochani, zapraszamy za kulisy, zaczynamy". Wstajemy bez słowa, nie patrzymy na siebie. Oczywiście, każde czeka, kto pierwszy wyciągnie rękę... Gong pierwszy, drugi, trzeci. Początek spektaklu, leci symfonia Beethovena. Zapalają się światła, teraz każda sekunda trwa wieczność. W końcu któreś z nas pierwsze musi się przełamać, wyciągnąć rękę. Czasem ja, czasem Agnieszka. Tak pół na pół. No dobra, ja częściej. „Cholera jasna, małpo, ty durniu, zołzo, kretynie, ty baranie, chodź, chodź szybko, dawaj, przestań już, o Jezus, dobra". I dopiero wtedy, oczyszczeni, po zrzuceniu tego ciężaru, mogliśmy wyjść na scenę i zagrać Oskara i Ruth.

Wybaczanie fundamentem głębokiej relacji?

Znaleźliśmy się w tym fantastycznym momencie małżeństwa, w którym nikt nikogo do niczego nie zmusza. A drugą osobę akceptuje się ze wszystkimi jej ↦

↦ ułomnościami, z całym, jak to się mówi kolokwialnie, dobrodziejstwem inwentarza. Mamy już za sobą ten nieszczęsny etap, kiedy próbowaliśmy zmienić drugą osobę na swoje podobieństwo, dostosowywać do wizji. Próbować ciosać, ulepszać. Z biegiem lat uczysz się człowieka. I to się dzieje małymi kroczkami, nie ma drogi na skróty. Trzeba wspólnie przeżyć kawałek życia. I jeżeli nie możemy czegoś zmienić, trzeba to polubić, ba! pokochać. Z Agnieszką jesteśmy kompletnymi przeciwieństwami i jednocześnie działamy na siebie jak yin i yang.

Ładnie brzmi, ale mnie interesuje konkret.

Poznaliśmy się w Szkole Teatralnej we Wrocławiu. Agnieszka należała do tzw. klubu angielskiego, gdzie było elegancko, lampka wina, towarzystwo artystyczne, dywagacje o sztuce, takie „ę", „ą". A ja? „Klub rosyjski". Czyli przepocona męska szatnia w Szkole Teatralnej, czysty alkohol, z kumplami rozmowy o życiu i śmierci. Więc mamy dwa światy. A teraz na moment zapraszam do naszej alkowy. Tadam, kurtyna w górę! Oto nasza sypialnia, w której wyraźnie zaznacza się pewna granica. Jak się prezentuje część lewa, należąca do Agnieszki? Totalny chaos: rzeczy na wierzchu, porozrzucane wieszaki, sterty książek, czasopism. Wylewająca się na boki, żyjąca, nieokiełznana lawa.

Zgadza się. I słabo się zgadza z prawą...

Bo to mój kawałek podłogi. Mało rzeczy. Stoi śliczny ludwiczek z tapicerką we wzory kwiatowe, a wokół panuje sterylna czystość. Na parapecie bonsai, które skrupulatnie podlewam, obok śliczna laleczka gejszy i to by było na tyle. Ważne jest to, że kiedy ta lawa, ta masa rzeczy od strony Agnieszki zaczyna się przelewać na moją stronę, przekraczając linię demarkacyjną przebiegającą w połowie łóżka, to ja te wszystkie książki i inne rzeczy po prostu pcham na stronę żony i robię dla siebie miejsce. Każde ma swoją przestrzeń, która jedocześnie tworzy naszą wspólną. Bezpieczną.

©℗ Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

WOJCIECH JANKOWSKI, ZBIORY MUZEUM WARSZAWY // MATERIAŁY PRASOWE

Młodość śpiewa, młodość grzmi

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | W 70. rocznicę Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów Muzeum Warszawy przypomina „Lato, które zmieniło wszystko". Czy rzeczywiście – wszystko? Na pewno zmieniło wiele. Tak jest pamiętane do dzisiaj.

Kiedy w Warszawie rozpoczął się Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, Polska była dyktaturą, krajem o szczelnie zamkniętych granicach, a Europę przecinała Żelazna Kurtyna. Jednak „Lato 1955 roku było piękne: słoneczne i niezbyt gorące. W lipcu Warszawę pokryto dekoracjami. Ruiny zasłonięto malowanymi parkanami, nad głowami powiewały barwne proporce i wstęgi" – notował w swoim „Dzienniku" Jan Józef Szczepański, pisarz, były żołnierz AK, związany z „Tygodnikiem Powszechnym". Miasto niespodziewanie zmieniło swój wygląd i nabrało kolorów.

Festiwal zorganizowano wtedy po raz piąty – pierwszy odbył się w Pradze w 1947 r. Nad ich przygotowaniem czuwała Światowa Federacja Młodzieży

Uczestniczki V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów podczas pochodu w Alejach Ujazdowskich, 1955 r.

Demokratycznej (WFDY). Kiedy pod koniec lat 40. ubiegłego wieku podporządkowała się ZSRS, festiwalowe wydarzenia stały się narzędziem walki propagandowej. I tylko ten jeden warszawski wyróżniał się wśród nich – tak został w Polsce zapamiętany.

Czynnik społecznej zmiany

Przekonanie, że Festiwal uchylił żelazną kutynę i wpuścił odrobinę wolności, był początkiem końca stalinizmu w naszym kraju, przetrwało zmiany pokoleń i upadek PRL-u. Jednym z przejawów jego żywotności była ostatnio książka Jacka Świdzińskiego „Festiwal" (2023), pierwszy nagrodzony komiks w historii Paszportów „Polityki". Jego fragmenty, z charakterystycznymi, minimalistycznymi rysunkami i równie oszczędnymi w słowa tekstami, stały się częścią wystawy w Muzeum Warszawy. Rodzajem współczesnego komentarza do ówczesnych wydarzeń.

Znana i popularna w tym czasie piosenka Ludwika Starskiego z muzyką Tadeusza Sygietyńskiego zaczynała się od pytania: „Co tak dudni, co tak grzmi?". Odpowiedź padała w niej natychmiast: „To idzie młodość, młodość, młodość i śpiewa". W ówczesnej Polsce osoby do 18. roku życia stanowiły ponad jedną trzecią społeczeństwa. Rok 1955 był zresztą rekordowy: wskaźnik przyrostu naturalnego osiągnął najwyższy poziom w powojennej historii – niemal 20 urodzeń na 1000 mieszkańców.

Młode pokolenie odegrało istotną rolę w podnoszeniu z ruin kraju. „Dla budowy młode dłonie, dla budowy młoda myśl" – oznajmiała dalej piosenka. I było oczywistym czynnikiem zmiany społecznej, co wykorzystywała władza, wprowadzając ścisły nadzór nad organizacjami młodzieżowymi, a działający w szkołach, na uczelniach i zakładach pracy Związek Młodzieży Polskiej stał się głównym narzędziem agitacji politycznej oraz wprowadzania ideologii komunistycznej. Był też organizacją bardzo liczną – w szczytowym okresie do ZMP należały ok. 2 miliony ludzi. I to na ZMP spadł główny wysiłek organizacji Festiwalu Młodzieży.

Wystawę otwiera przegląd dzieł socrealistycznych poświęconych młodym. Oni bowiem byli ważnym tematem wielu obrazów, rzeźb czy fotografii powstających w stalinowskiej Polsce. To jeden z kontekstów, który pozwala lepiej zrozumieć fenomen Festiwalu. Nie jedyny.

Ceremonie zaprzyjaźniania

W 1955 r. liczba mieszkańców miasta przekroczyła milion. Chociaż odbudowano już część zabytków, powstały nowe osiedla mieszkaniowe i gmachy publiczne, to widok ruin był codziennością.

W Warszawie funkcjonowało zaledwie dziewięć hoteli, a liczba dostępnych w nich łóżek ledwie przekraczała 2 tys. Tymczasem na Festiwal przybyło ok. 26 tys. osób ze 116 krajów oraz 140 tys. młodych Polek i Polaków. Zajęto nie tylko hotele i akademiki, ale stworzono także trzy miasteczka namiotowe – na Bielanach, Grochowie i Rakowcu. O skali tego przedsięwzięcia przypominają przywołane na wystawie zamówienia dokonane przez komitet organizacyjny (35 tys. łóżek sprężynowych, 40 tys. krzeseł czy 70 tys. koców, ale nie zapomniano też o zakupieniu lusterek – 5 tys., popielniczek – 10 tys., a nawet spluwaczek – 7 tys.

Od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 r. przyjezdna była prawie co szósta osoba przebywająca w Warszawie. W kraju niemalże zamkniętym (w 1954 r. prywatnie wyjechało w podróż zagraniczną 1681 osób) taka różnorodność i odmienność musiały szokować. Usunięto z ulic wszelkie komunistyczne emblematy oraz portrety przywódców. Zastąpiły je wielobarwne dekoracje zaprojektowane przez artystów, m.in. Wojciecha Fangora (autora także festiwalowego plakatu), Oskara Hansena i Henryka Tomaszewskiego.

Organizatorzy Festiwalu starali się szczelnie wypełnić czas przyjezdnych: manifestacje, spotkania i dyskusje, zawody sportowe i konkursy kulturalne, zabawy. Były nawet specjalne „ceremonie zaprzyjaźniania się". Festiwal był bowiem przede wszystkim imprezą propagandową, o czym przypominają pokazywane na wystawie relacje Polskiej Kroniki Filmowej.

„Lato, które zmieniło wszystko" pokazuje jednak przede wszystkim, jak Festiwal wymykał się władzy. Nie udało się wszystkiego nadzorować, a relacje międzyludzkie szybko przybrały mało formalny charakter. Legendą stała się swoboda seksualna podczas jego trwania – chociaż to sfera bardziej opowieści niż potwierdzonych faktów. Znacznie istotniejszy był wpływ tych dwóch letnich tygodni na modę, muzykę i styl życia młodych Polek i Polaków.

Arsenał sztuki

Z Festiwalem bezpośrednio związane jest jeszcze jedno wydarzenie: „Wystawa Młodej Plastyki. Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi". Prezentowana w warszawskim Arsenale, była jedną z sześciu ekspozycji wpisanych do programu imprezy. Znalazło się na niej niemal 500 prac, w tym blisko 200 obrazów. W Muzeum Warszawy znalazł się ich wybór, w którym nie brakuje najsłynniejszego: „Napiętnowanych" Marka Oberländera, wstrząsającego, ekspresyjnie namalowanego portretu trzech mężczyzn z wyciętymi na czołach krwawymi ranami w kształcie gwiazd Dawida. To też ↦

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM WARSZAWY X2

Powyżej: wystawa „Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955" w Muzeum Warszawy

Obok: Plakat, projekt Wojciech Fangor, Jerzy Tchórzewski, 1955, zbiory Muzeum Warszawy

↦ jedna z nielicznych prac, które po latach pozostały w pamięci i podręcznikach historii sztuki. A przecież w wystawie brało udział wielu młodych wtedy artystów i artystek kluczowych dla tego, co wydarzyło się w sztuce polskiej drugiej połowy XX w., by wymienić jedynie Jerzego Beresia, Stefana Gierowskiego, Jerzego Tchórzewskiego, Alinę Szapocznikow, Marię Pinińską-Bereś czy Jacka Sempolińskiego.

Arsenał przeszedł do historii jako wystawa zapowiadająca koniec socrealizmu, ale też symbol twórczości zaangażowanej, takiej, której nie jest obojętne to, co dzieje się w otaczającej nas rzeczywistości, a nawet etycznej postawy w sztuce. Jednak pokazane na niej dzieła budziły zakłopotanie. Współkuratorka wystawy Elżbieta Grabska po latach wspominała reakcję historyka sztuki Piotra Krakowskiego na przygotowaną przez nią ekspozycję: „Przyjechał i oprowadzałam go po »Arsenale«. Patrzył na mnie oczami okrągłymi jak spodki i mówił: »Co to jest? Jakbym był w Niemczech na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, albo i wtedy w Warszawie. (...) Wy to uważacie za malarstwo nowoczesne?«". Była to reakcja osoby, która w Krakowie stale miała kontakt z artystami, którzy w czasach socrealizmu pozostali wierni awangardowej tradycji.

Dotyk czasu

Kuratorom wystawy Zofii Rojek i Błażejowi Brzostkowi udało się połączyć w jednej ekspozycji historię polityczną i społeczną sztuki i przemian kulturowych. Umożliwili widzom spojrzenie na ten czas zarówno od strony wielkich wydarzeń, ideowych sporów, jak i codzienności. Zwrócenie uwagi na zwykłe przedmioty, możliwość kontaktu z zapisaną w nich historią, wyróżnia Muzeum Warszawy spośród wielu muzeów historycznych, które w ostatnich dekadach postawiły na multimedia.

„Może Festiwal nigdy się nie skończy?" – tym pytaniem zamyka swój komiks Jacek Świdziński. Na istotny polityczny przełom trzeba było czekać kolejny rok. Mimo to, jak wspominał po latach w autobiografii Sławomir Mrożek, festiwal i to, że wpuszczono do kraju tyle osób, odczuliśmy „jako zapowiedź daleko idących, prawie rewolucyjnych zmian". I nie był w tym odosobniony. Kilka tygodni po Festiwalu w „Nowej Kulturze" ukazał się „Poemat dla dorosłych" Adama Ważyka. Oddawał on nastrój tego czasu. „Wróciłem do domu, jak człowiek, który poszedł po lekarstwo i wrócił po dwudziestu latach // Żona spytała, gdzie byłeś" – pisał. Ale przede wszystkim brutalnie, szokująco wręcz opisał rzeczywistość Polski Ludowej. „Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą zbudować hutę, wyczarować miasto, wykopać z ziemi nowe Eldorado, armią pionierską, zbieraną hałastrą tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, człapią i gwiżdżą w błotnistych ulicach: wielka migracja, skudlona ambicja, na szyi sznurek – krzyżyk z Częstochowy".

Festiwal rozbudził oczekiwania wobec państwa, których nie było w stanie spełnić, i jednocześnie, siłą kontrastu, obnażał jego słabość, wręcz – nędzę. Procesu zmian nie dało się już zatrzymać.

© PIOTR KOSIEWSKI

LATO, KTÓRE ZMIENIŁO WSZYSTKO.
Festiwal 1955, Muzeum Warszawy, wystawa czynna do 21 grudnia br., kuratorzy: Błażej Brzostek, Zofia Rojek

■ *Marcin Maciejowski*
RYSUNKI WAWELSKIE
Zamek Królewski na Wawelu

Marcin Maciejowski zabiera nas na królewskie wzgórze. Opowiada o spotkaniach ze sztuką na Wawelu, obejrzanych wystawach, przeczytanych tekstach i odbytych rozmowach. A także współczesnych i historycznych postaciach: królowej Bonie i Zygmuncie Starym, ale też o Szczepanie Twardochu czy współtwórcy galerii Raster, Łukaszu Gorczycy. „Rysunki wawelskie" to także kronika wydarzeń, których Wawel był świadkiem, jak pandemia czy protesty przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. O wszystkich tych sprawach Maciejowski opowiadał przez lata w rysunkach wykonanych precyzyjną, a jednocześnie oszczędną kreską. Opatrzył je też ręcznie pisanymi komentarzami, w których z bardzo osobistej perspektywy mówi o historii, polityce, kulturze i sztuce. Teraz rysunki wraz z komentarzami zostały zebrane w obszerną, bardzo starannie przygotowaną książkę: jeden z piękniejszych artbooków wydanych w Polsce w ostatnich dekadach. Twórczość Maciejowskiego oparta jest na uważnej obserwacji życiowych sytuacji. Przeszłość jest pretekstem do opowiadania o współczesności, a postacie historyczne służą do prowadzenia aktualnych sporów. Sam Wawel z kolei oglądamy zupełnie inaczej niż podczas wakacyjnej wycieczki.
© PIOTR KOSIEWSKI

MATERIAŁY PRASOWE X3

■ **BLUE PRINCE**
Producent: Dogubomb, wydawca: Raw Fury, platformy: PC, PS5, XSX

Przygodówkom już kilkukrotnie wieszczono śmierć. Zarzucano wyczerpanie formuły i przestarzałą konwencję, odbiegającą od dynamicznych rozgrywek, umożliwiających eksplorację coraz większych wirtualnych światów. „Blue Prince" udowadnia, że gry przygodowe mają jeszcze wiele do zaoferowania. Produkcja studia Dogubomb jest niecodziennym przykładem gatunkowej hybrydy. Oto młody protagonista otrzymuje w spadku tajemniczą posiadłość. Aby stać się jej prawowitym właścicielem, musi wziąć udział w osobliwej rozgrywce – stawiając czoła wymyślnym zagadkom, próbuje odnaleźć drogę do ukrytego pokoju. Twórcy postanowili skomplikować tę detektywistyczną zabawę, wprowadzając element dobrze znany fanom gier *roguelike*: tajemniczy pokój tym trudniej znaleźć, że mapa posiadłości zmienia się każdego dnia. Sięgając do bliższej grze metafory, można powiedzieć, że bierzemy udział w pojedynku szachowym, w którym nasz przeciwnik nieustannie podmienia pionki na wymyślne figury, poruszające się wbrew wcześniej ustalonym zasadom. Rozpoczynając wycieczkę z głównego holu, losujemy pokoje, które za każdym razem prowadzą w inne miejsce. Łamigłówki przenikają się i piętrzą, a w najbardziej nieoczekiwanym momencie znajdujemy wskazówkę, której poszukiwaliśmy od wielu dni. I kiedy w końcu się udaje, a bohater odnajduje drzwi do strzeżonego sekretu, okazuje się, że... to dopiero początek.
© MAGDALENA KOZYRA

■ **OSTATNI MOHIKANIN**
scen. Catamalou, Cromwell, rys. Cromwell, tłum. Monika Motkowicz, Mandioca

Johnie Greenwood był najszybszym żołnierzem w całym pułku, a mimo to nie udało mu się uciec przed nożem Huronów. Stał się jedną z wielu ofiar wojny siedmioletniej, zwiastunem rzezi, która miała dokonać się podczas oblężenia fortu William Henry. Martwy mężczyzna jest narratorem swobodnej adaptacji „Ostatniego Mohikanina" Jamesa Fenimore'a Coopera autorstwa Catamalou i Cromwella. Podczas gdy oskalpowane zwłoki zwiadowcy płyną w dół rzeki Hudson, nad jej brzegiem toczy się krwawa walka między Brytyjczykami i sprzymierzonymi z Indianami Francuzami. Cromwell za pomocą gęstych smug akrylowych farb maluje piekło wojny o Nowy Świat. W ilustracjach francuskiego nonkonformisty ważny jest zarówno kolor, jak i faktura. Paleta barw odzwierciedla degrengoladę europejskich kolonii; jej fundamentem są zaśniedziały turkus, krwista czerwień oraz brudny brąz. Powierzchnia płótna przypomina naskalne rysunki, co udobitnia pierwotność ludzkiego okrucieństwa. Bądź co bądź adaptacji Cromwella i Catamalou bliżej do „Jądra ciemności" Conrada niż melodramatu Michaela Manna. „Ostatni Mohikanin" to naturalistyczna opowieść na skraju horroru. Scenariusz rozpięty jest wokół niedopowiedzeń, tworząc ciąg sugestywnych scen. Z kolei rysownik, wykorzystując ekspresjonistyczną kreskę, buduje aurę posępności północnoamerykańskich lasów, nazywanych zresztą dziką krainą.
© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, JUŻ NIEBAWEM W „TYGODNIKU"

dodatek **Nagroda Literacka GDYNIA**

a w nim **PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI, INGA IWASIÓW, GRZEGORZ JANKOWICZ** i **RYSZARD KOZIOŁEK**
opowiedzą o tym, jak się dziś myśli i jak się współodczuwa literaturą.

Ten obcy

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Prawie pół wieku temu David Lynch nakręcił film głęboko empatyczny – między innymi o tym, że nikt z nas nie ma wpływu na to, w jakim ciele się rodzi. Świat nie był jeszcze na niego gotowy.

MATERIAŁY PRASOWE

Musi upłynąć prawie kwadrans, zanim zobaczymy całkowicie zmienioną twarz Johna Hurta (na zdjęciu obok). I całe ciało zdeformowane przez „guzy włókniste, skręt kręgosłupa, przerost czaszkowy, zwiotczenie skóry", jak głosi medyczna analiza. To ciało wywołuje całą gamę reakcji: zaciekawienie, wstręt, śmiech, strach... Lecz co z empatią?

Nakręcony w 1980 r. „Człowiek słoń" w ogóle się nie zestarzał. Również dlatego, że w wiktoriańskich dekoracjach umieszcza ciągle aktualne pytania o tak zwaną normę, sam będąc mistrzowskim połączeniem (a zarazem ówczesnym przekroczeniem) ekranowej estetyki i etyki.

Bohater w rzeczywistości nazywał się Joseph Merrick. Tu występuje pod imieniem John, podobnie jak we wspomnieniach Fredericka Trevesa z 1923 r. Ale zagrany przez Anthony'ego Hopkinsa młody londyński chirurg nie jest jedynym źródłem tej historii, autentycznej tylko w swoim zarysie. Była jeszcze wydana pół wieku później książka „The Elephant Man: A Study in Human Dignity" Ashleya Montagu, pogłębiająca problem Człowieka Słonia od strony humanitarnej.

Na tej podstawie Christopher De Vore i Eric Bergren napisali scenariusz, do którego przyłożył rękę David Lynch. Stworzyli opowieść fikcyjną w szczegółach, acz przeszywająco prawdziwą na poziomie emocji i przemyśleń związanych z byciem odmieńcem w „zdrowym" społeczeństwie.

Powstał film, w którym na pierwszy rzut oka dickensowski wyciskacz łez spotyka się z kontrowersyjnymi „Dziwolągami" (1932) Toda Browninga. W Londynie z końca XIX stulecia, wieku pary i elektryczności, sąsiadują przecież obok siebie badania naukowe i ludowe przesądy, szemrane biznesy i mało wybredne rozrywki, a do tego postromantyczne fantazje i sensacje z prasy brukowej.

Na młodego Johna Merricka rzucają się wszyscy – ambitni badacze różnej maści „wynaturzeń", zwykli gapie z lunaparku szukający w anatomicznych deformacjach „owoców grzechu pierworodnego", zarabiający na tym hochsztaplerzy oraz wykwintne damy zahipnotyzowane widokiem cudzego cierpienia. Wielu z nich, jak poczciwy doktor Treves czy słynąca z dobroczynności aktorka teatralna Madge Kendal, zagrana przez Anne Bancroft, dopiero z czasem uświadomi sobie, co bywa wybrukowane najlepszymi intencjami.

Dzięki pieczołowitej inscenizacji Lyncha, nie mówiąc o całym pionie technicznym odtwarzającym w Londynie dawny kształt miasta (sceny fabryczne zaczerpnięto z archiwaliów), narodził się świat realistyczny i zarazem na pograniczu koszmaru. Nie jest on projekcją wyłącznie tego, który patrzy z troską na krzywdzonego Człowieka Słonia, ale także jego samego. Kogoś, kto bywa nieustannie oglądany, podglądany, wyszydzany, badany i dopiero w tej historii przestaje być obiektem. Bo nawet szlachetna pomoc bywa poniżeniem.

Najbardziej przejmujące są w filmie sceny, kiedy tytułowy bohater nabiera coraz to nowej świadomości – że ktoś go znowu wykorzystuje, że na moment stał się modny. A chciałby być po prostu kochanym i wyjść choć na chwilę z gabinetu osobliwości, w jakim uwięziło go zniekształcone ciało. Poczuć, czym jest dom, lub nawet coś większego – toteż zamknięty i chwilowo bezpieczny w szpitalnym pokoju buduje z odpadków makietę katedry, częściowo widzianej z okna.

Ten odważny pod wieloma względami film o tęsknocie za „normalnością" zapowiada autorski styl przyszłego twórcy „Miasteczka Twin Peaks". Uroda czarno-białych kadrów Freddiego Francisa wydaje się mocno zwodnicza. Sceny oniryczne i wizyjne wybijają z narracyjnego rytmu. Nastrojowa muzyka Johna Morrisa plus zagrane w finałowej scenie „Adagio for Strings" Samuela Barbera kontrapunktuje okrucieństwo świata, w którym jeszcze przez jakiś czas funkcjonować będzie rozrywka nazywana „ludzkim zoo", czyli publiczna ekspozycja osób odmiennych rasowo czy kulturowo.

Prawie pół wieku temu Lynch nakręcił film głęboko empatyczny – między innymi o tym, że nikt z nas nie ma wpływu

CZŁOWIEK SŁOŃ
(„The Elephant Man”) – reż. David Lynch. Prod. USA/Wielka Brytania 1980. Dystryb. Reset/Gutek Film. W kinach od 22 sierpnia. Wcześniej pokazy przedpremierowe.

David Lynch (1946-2025) nakręcił „Człowieka słonia” po niskobudżetowym debiucie „Głowa do wycierania”. Odrzucany przez różne wytwórnie, został wyprodukowany przez Paramount z udziałem pierwszoligowych aktorów i okazał się sukcesem kasowym. Choć o cztery lata późniejsza „Diuna” była spektakularną klapą, Lynch stał się jednym z najważniejszych twórców w historii kina.

na to, w jakim ciele się rodzi. Zresztą część organów wewnętrznych Josepha Merricka, jak to często bywało w tego rodzaju przypadkach, pobrano pośmiertnie do badań naukowych. Uległy zniszczeniu podczas nazistowskich nalotów, przetrwały za to gipsowe odlewy fragmentów jego ciała, z czego Christopher Tucker skorzystał przy tworzeniu mistrzowskiej charakteryzacji Merricka.

Okazało się, że świat nie był w pełni gotowy na tego rodzaju film. Jego produkcję nadzorował sam Mel Brooks (zachwycony Lynchowską „Głową do wycierania”), który od początku stał murem za mało doświadczonym, a już mocno ekscentrycznym reżyserem. Strzegł niezależności Lyncha do tego stopnia, że zdecydował się usunąć swe nazwisko z czołówki filmu, by nie wywoływało komediowych skojarzeń.

Jednakże nominowany do aż ośmiu oscarów tytuł ostatecznie nie dostał żadnego. Tym bardziej za wspomnianą charakteryzację, jako że dotychczas nie było osobnych nagród Amerykańskiej Akademii dla tego rodzaju osiągnięć i, co zmienił właśnie *casus* „Człowieka słonia”, dopiero w następnym roku wprowadzono nominacje w tej kategorii.

Dziś, w dobie popularności ekstremalnych body horrorów, ta nieironiczna opowieść o napiętnowanym przez chorobę mężczyźnie, który rozpaczliwie próbuje udowodnić, że nie jest zwierzęciem, nadal działa. Nie potrzebuje do tego żadnych światopoglądowych wykładni, chociaż bardzo łatwo taki film zawłaszczyć w ramach jakiejś wojny kulturowej. Na przykład *pro life* kontra *pro choice* i obie strony z łatwością znalazłyby dla siebie argumenty.

„Człowiek słoń” pozostaje dziełem szeroko otwartym i jest w nim miejsce na różne dyskursy: niepełnosprawności, cielesności, jakkolwiek rozumianej inności, o naszym stosunku do natury nie wspominając. Bez wątpienia David Lynch przetarł w kulturze (bo przecież nie tylko w kinie) wiele szlaków.

Tym bardziej cieszy, że coraz chętniej powraca się do jego twórczości i w ogóle do klasyki, czego przykładem działalność firm dystrybucyjnych Reset, So FILMS, Past Perfect czy warszawskiego Timeless Film Festival. Dzięki odrestaurowanym kopiom odżywają dawne arcydzieła, a my możemy się przeglądać w tych obrazach z przeszłości i pytać, gdzie właściwie jesteśmy i kim są dzisiejsze słonie. ©

Lektor:
Weekend z Robinsonem

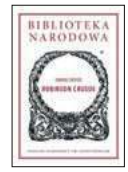

▪ *Daniel Defoe*
ROBINSON CRUSOE
przekład Józef Birkenmajer, nieznany tłumacz, Michał Lachman. Wstęp i opracowanie Jakub Lipski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2025, ss. CVIII + 1122. Biblioteka Narodowa seria II nr 267.

Powieść, którą wszyscy znają, a przynajmniej o niej słyszeli, w dodatku napisana ponad trzysta lat temu – książką tygodnia? Czy to nie dziwactwo? Niekoniecznie. „Niewiele jest dzieł w historii literatury światowej, które pozornie znane są niemal każdemu, a w rzeczywistości mało komu” – pisze o „Robinsonie” Jakub Lipski. I uświadamia nam, że historia pobytu bohatera na bezludnej wyspie zajmuje zaledwie połowę pierwszego tomu, a tomu trzeciego w ogóle dotąd po polsku nie mieliśmy.

No i teraz mamy. Zatytułowany jest „Poważne rozważania poczynione w trakcie życia oraz zadziwiających przygód Robinsona Crusoe przedstawione wraz z Wizją anielskiego świata Jego własną ręką spisane”. Przygód więcej nie będzie, za to otrzymujemy, można by rzec, w formie moralistyczno-filozoficznych wywodów teoretyczną podbudowę tego, co otrzymaliśmy wcześniej. Sam Robinson Crusoe (o skomplikowanych relacjach bohatera z autorem należałoby napisać osobno) tłumaczy, że „niniejszy tom nie pojawił się bynajmniej jako kontynuacja dwóch wcześniejszych części. Przeciwnie, dwa pierwsze tomy mojego dzieła wyrosły z myśli zawartych w części trzeciej. Wszak to przypowieść rodzi się jako ilustracja moralnej lekcji, a nie na odwrót”.

Przypowieść? A co w takim razie z powieściowym realizmem? W końcu Ian Watt widział w „Robinsonie” pierwszą powieść w literaturze światowej. Większość badaczy nie idzie tak daleko, a nawet w obszarze anglojęzycznym feministki odbierają Defoe pierwszeństwo na rzecz Aphry Behn. „Robinson Crusoe” jako przypowieść religijna, jako mit cywilizacyjno-imperialny, jako narracja autobiograficzna, ale też jako początek gatunku robinsonady – wszystkie te tematy rozważa Jakub Lipski i pisze zarówno o ogromnym czytelniczym sukcesie powieści, jak o jej admiratorach (Rousseau) i krytykach (np. Swift).

Swoją drogą – fakt, że optymistyczne i poniekąd dydaktyczne przesłanie „Robinsona” utorowało mu, po pewnych operacjach na tekście, drogę do młodego czytelnika, zupełnie nie dziwi. Jak to się jednak stało, że jedno z najmroczniejszych i najbardziej pesymistycznych dzieł literatury światowej, czyli Swifta „Podróże Guliwera”, też (choć mocno wykastrowane) trafiło do dziecinnego pokoju – zrozumieć nie potrafię. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Akcja – reakcja

Dwa miliony Francuzów i Francuzek podpisały w niecały miesiąc – wakacyjny, dodajmy – petycję przeciwko nowej ustawie. Czy to naprawdę poważna liczba i warto o tym pisać? Przecież to bardzo liczny i rozpolitykowany naród. Choć gdyby zastosować ścisłe kryteria czystości, jakie wydaje się stosować nasz nowiutki prezydent międlący to słowo jak zaklęcie, to by się okazało, że trzon prawdziwej Francji trzeba by z pewnością ściąć o połowę. Odpadliby różni tacy nie bardzo jaśni, w zawojach i powłóczystych szatach. Albo nawet ci z licem bladym i włosem płowym jak Marianna na godle, lecz zupełnie wypłukani z tożsamości, renegaci i pacyfiści odmawiający śpiewania refrenu „Marsylianki" „do broni, obywatele, marsz, marsz, niech poleje się nieczysta krew". Zwróćcie na marginesie uwagę, że wprawdzie my również maszerujemy z Dąbrowskim, ale jeśli w ogóle jest mowa o biciu, to tylko w tarabany. Taki przyczynek do wyjaśnienia niewątpliwie pozytywnego zjawiska, iż przemoc jest w sumie w polskiej polityce rzadka.

A jednak te dwa miliony to i tak wielka liczba. Rekord, jeśli chodzi o petycje polityczne w najnowszych dziejach Francji. Przeciwko czemu się ta ciżba pojednała? Jakaś świeża wojna kulturowa? Nakaz inicjacji seksualnej przed piętnastym rokiem życia albo urzędowe limity liczby wiernych na mszy? A może pieniądze, socjal i roszczenia – cały kraj przecież pokryty jest graffiti żądającymi czterodniowego tygodnia pracy. Nie, poszło o acetamipryd. Środek owadobójczy z rodziny neonikotynoidów.

Na pewno się wam obiło o uszy to słowo, zwykle kojarzone z marnym losem pszczół. Wprawdzie dalekosiężną szkodliwość koktajlu pestycydów dla człowieka poznamy w sposób zgodny z rygorami naukowego dociekania za czas dłuższy, bo nikt nie może brać przecież ludzi „do testów", ale szkodliwość tych konkretnych związków dla pszczół została wykazana rzetelnie i przekrojowo. Stąd te efektywne środki, stosowane np. poprzez zaprawianie nasion – co czyni całą roślinę nośnikiem odpowiedniej trucizny – zostały stopniowo zakazane. Ostatnio dużą regulację w tej sprawie Unia wydała w 2018 r., zostawiając rozliczne furtki, zwane po urzędniczemu derogacjami, z których Polska korzystała, ile wlezie. Niektóre substancje są zresztą nadal dostępne, tyle że do stosowania wyłącznie pod dachem. Można je sobie kupić bez żadnych papierów.

Po tym ostatnim cięciu na liście dopuszczeń został jednak właśnie acetamipryd, jako ten najmniej groźny dla

pszczół (producenci twierdzą, że w ogóle niegroźny). Ale Francja postanowiła być prymusem: zakazała także i jego. W tym samym roku 2018, kiedy przyjęła „kartę środowiskową", stanowiącą prawo do życia w bezpiecznym i zrównoważonym środowisku jako nową część konstytucji. Jak już to przez ostatnie lata z bliska obserwowaliśmy, najpierw było przepychanie różnych zielonych ładów, w aurze pewnego ferworu ekologicznego, niewolnego, niestety, od cech pokracznej religii, a potem, zgodnie z prawami fizyki, wahadło wychyliło się w drugą stronę. Akcja – reakcja.

Ta metafora jest całkiem na miejscu, bo to drugie słowo ma też polityczny sens, dobrze oddający trendy i nastroje w głównym nurcie władzy wszystkich krajów europejskich. O tym, co się porobiło w kwestii migracji, nawet nie wspominajmy, to zbyt bolesne i pogmatwane sprawy jak na rozmowy przy krojeniu pomidorów na przecier. Ale nieraz już mówiliśmy, że teraz jest w modzie dogadzanie wsi – czytaj: agrobiznesowi. Do kosza idą m.in. zbyt ambitne ograniczenia narzucone rolnictwu, a ono w pewnych sferach oddziałuje na klimat i środowisko jeszcze mocniej niż huty i koksownie. Francuscy posłowie przygotowali ustawę upraszczającą różne procedury, a przy okazji przywrócili swoim rolnikom dostęp do środka, którego konkurenci, np. z Niemiec czy Polski, używają nadal w najlepsze. Wymieniam te kraje nieprzypadkowo, bo o prawo do acetamiprydu walczyli najbardziej plantatorzy buraka cukrowego. Francja jest nadal największym producentem cukru w Europie, ale lobby rolnicze i pestycydowe zapewnia, że jak tak dalej pójdzie, polski i niemiecki burak wygra, bo szkodniki coraz bardziej dziesiątkują niechronione nowocześnie uprawy.

KUTTELVASEROVA STUCHELOVA / SHUTTERSTOCK

Przekonamy się o tym niebawem. Parlament bowiem ustawę co prawda przyjął, ale, pod wpływem błyskawicznej petycji, tamtejszy odpowiednik Trybunału Konstytucyjnego przepisy o acetamiprydzie uwalił. Jako niezgodne z tym nowym rozdziałem konstytucji właśnie, choć gdy czytałem uzasadnienie, wydało mi się ono dość mgliste, jak wszystkie próby wywiedzenia bardzo konkretnych decyzji z ogólnikowych zasad. W żargonie prasowym nazywa się ową radę „mędrcami" i dużo zależy od wiary w ich autorytet.

Konstytucja każe zostawić przyszłym pokoleniom znośne warunki życia. Czy akurat ten środek, a raczej jego brak, zrobi istotną różnicę w demolce, którą uskuteczniamy naszym sposobem życia, w tym także jedzenia? Podejrzewam, że biedne pszczoły były dobrym hasłem jednoczącym przeciwników nowego prawicowego ładu i dlatego akurat ten temat stał się godny uwagi mędrców.

A jeśli faktycznie szkodniki będą coraz bardziej dewastować uprawy buraka, to przyszłe pokolenia będą jadły mniej cukru i to byłoby na pewno dla nich dobre. Byłoby, bo jak mówiliśmy tu niedawno, teraz niszczymy swoje receptory, mózgowy ośrodek nagrody i wątrobę znacznie tańszym syropem z kukurydzy. Chronionej, jak najbardziej, ale tę lekcję biochemii i polityki zostawimy sobie na później.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Kulki z bakłażana

Spędzam parę dni we Francji. Niczego tu nie piszą o absurdalnie rozdętej sprawie paruset cwaniaków, którzy przynoszą złą sławę potrzebnej wszak wszystkim branży gastronomicznej. Jadam wspaniale, ale głównie sery i pasztety, a tego się nie da zreplikować w naszej rubryczce. Cierpię też od upału, stąd moi współtowarzysze pobytu doceniają, kiedy ich karmię w ciągu dnia rzeczami, które mogę upiec zawczasu, o świcie, gdy kuchnia jeszcze się nie nagrzała. Przekąską wystarczającą za obiad w upalny dzień są te kulki – znacie moją słabość do tej formy, wynika to pewnie z tego, że dla posiadacza dwóch lewych rąk jest najłatwiejsza.

SKŁADNIKI

800 g bakłażana 1 jajko 100 g tartego parmezanu ok. 150 g bułki tartej (albo więcej, zależy od wilgotności bakłażana) ▪ garść natki parę listków bazylii ▪ sól ▪ czosnek

Częściowo obieramy bakłażany, kroimy w dużą kostkę, szczodrze solimy. Podsmażamy na patelni z oliwą i ząbkiem czosnku przez kilka minut, mieszając. Następnie dusimy pod przykryciem jeszcze trochę, aż porządnie zmiękną. Robimy to partiami, żeby na patelni nie było tłoku. Studzimy, siekamy z grubsza nożem, mieszamy w misce z jajkiem, parmezanem i posiekanymi ziołami (można też dać szczypiorku). Dosypujemy stopniowo bułkę tartą, aż masa da się lepić (najlepiej dosypać jej trochę i odczekać parę minut, aż nasiąknie, i wtedy sprawdzić, czy konsystencja jest dobra). Formujemy kulki wielkości piłeczki pingpongowej, obtaczamy w bułce tartej. Przepis kanoniczny każe je teraz smażyć przez 3 minuty w głębokim tłuszczu, ale w lecie wolę lżejszą wersję: układamy je na blasze wyłożonej papierem do pieczenia i pieczemy w 180-200 st. C, aż się dobrze zrumienią. Można je potem znów lekko podgrzać w piecu, jeśli domownicy wam na to pozwolą, ale ja lubię je na zimno. ©℗

ROMANADR / SHUTTERSTOCK

WASZE BEZPIECZEŃSTWO, NASZ KODEKS

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA,
PSYCHOLOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA:

Regulacja naszych zawodów jest konieczna, bo przez ponad 30 lat pracowaliśmy bez zewnętrznych kodeksów i procedur. Ale przede wszystkim przyda się pacjentom.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Polacy to naród dobrze psychologicznie wyedukowany?

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA: Może jakieś 10-15 proc. społeczeństwa, głównie osoby dobrze wykształcone, które zetknęły się z jakąś formą rozumienia świata i siebie poprzez psychologię. Ale w tej grupie pewnie jeden procent to ludzie psychologicznie zdemoralizowani.

Zdemoralizowani?!

Używają tej wiedzy nadmiarowo, często nieadekwatnie, psychologizują, we wszystkim widzą drugie dno, chętnie wysłaliby wszystkich na psychoterapię.

A reszta społeczeństwa, czyli te przybliżone 90 proc., ma do psychoterapii i psychologii stosunek raczej obojętny albo wręcz sceptyczny: „Po co rozdzielać włos na czworo, skoro na świecie są naprawdę poważne problemy?".

Jest Pani psycholożką i psychoterapeutką. Nawet ci, którzy przeszli własną terapię, nie zawsze rozumieją, jaka jest różnica między tymi zawodami.

Zacznijmy od psychiatry – czyli lekarza specjalisty. Dzisiaj już wiemy, i tu mam na myśli na szczęście grupę większą niż owo 10-15 procent, że w przypadku ciężkiej depresji, uniemożliwiających funkcjonowanie lęków, urojeń, myśli prześladowczych, myśli albo zamierzeń samobójczych nas albo kogoś bliskiego – należy zwrócić się właśnie do psychiatry.

A co do psychologa i psychoterapeuty, to w sensie formalnym ten pierwszy musi mieć – by wykonywać swój zawód – ukończone pięcioletnie studia psychologiczne, a jeśli wejdzie w życie rządowa ustawa o zawodzie psychologa, będzie też zobowiązany odbyć roczny staż. Psycholog może udzielać doraźnego wsparcia, zajmować się wstępną interwencją kryzysową, diagnozować za pomocą testów dysleksję, ADHD i inne zaburzenia.

Możemy go spotkać w poradni zdrowia psychicznego, nasze dziecko może się z nim zetknąć w szkole, przyjaciółka na oddziale patologii ciąży, sąsiadka w ośrodku pomocy społecznej, dziadek w szpitalu...

Do psychologa w poradni psychologiczno-pedagogicznej zgłosi się kobieta, która była świadkiem przemocy, jakiej używa wobec dzieci jej brat. Psycholog jej wysłucha, okaże zrozumienie, coś doradzi. Ale jeśli okaże się, że pani – w związku z ową przemocą albo niekoniecznie – ma problemy emocjonalne, z którymi sama nie umie sobie poradzić, to powinna zgłosić się do psychoterapeuty.

Czyli do kogo?

ADOBE STOCK

Kiedy powinniśmy iść do psychologa? Kiedy do psychoterapeuty? Kiedy do psychiatry?

Mocno rzecz upraszczając, powiedziałabym tak. Do psychologa pójdzie człowiek zdrowy, do psychiatry chory. A do psychoterapeuty często ktoś, kto nie jest ani zdrowy, ani chory, ale czuje się nieszczęśliwy.

I tu się zaczyna spór, na który natrafiłem, próbując ustalić, co środowisko psychoterapeutów sądzi o próbach regulowania Waszego zawodu. Jedni mówią: terapia to leczenie. Inni: to również rozwój, samodoskonalenie.

Rozwój i samodoskonalenie zdecydowanie wkładałabym do innej szuflady niż ta z napisem „psychoterapia" – co nie oznacza, że tę ostatnią można uznać za działanie ściśle medyczne. Psychoterapia to wspomaganie zmiany, ale nie zmiany wyłącznie rozwojowej, kiedy jest dobrze, ale chcę, by było jeszcze lepiej. Do psychoterapeuty zgłasza się człowiek, który przeżywa coś trudnego, bolesnego, powodującego cierpienie.

Nie musi on jednak – choć może – wymagać leczenia! Np. gdy zgłasza się do mnie para w fazie ostrego konfliktu, który za moment pokaleczy i ich samych, i ich dzieci, nie oznacza to przecież choroby. Podobnie w przypadku kobiety, która boi się wyjść do ludzi, nie potrafi tego przezwyciężyć i czuje się boleśnie samotna. Wychodzenie z kryzysu, nawet bardzo poważnego, nie musi wymagać wejścia w paradygmat czysto medyczny.

Polskie Towarzystwo Terapii Poznawczej i Behawioralnej stoi na stanowisku, że nie ma jednego zawodu psychoterapeuty, a projekt ustawy wrzuca bardzo różne podejścia do jednego worka.

Konflikt o to, czy i jak uregulować nasz zawód, niestety bardzo podzielił środowisko, wzbudza silne emocje, co powoduje uskrajnienie stanowisk i ostre ataki. Ja akurat jestem w grupie tych, którzy wspierają procedowaną w Sejmie ustawę o zawodzie psychoterapeuty jako zawodzie zaufania publicznego. Ale nie oznacza to, że całkowicie odmawiam racji koleżankom i kolegom z podejścia poznawczo-behawioralnego.

To niestety w Waszym środowisku nie reguła. Rozmawiałem o tej ustawie z kilkoma osobami. Miały na jej temat różne opinie, ale jedno ich łączyło: że każdy przypisywał stronie przeciwnej nieczyste intencje.

Ten spór zaszedł za daleko. Np. wobec mojego środowiska i mnie osobiście pada zarzut, że chcemy tej ustawy, bo ona cementuje *status quo*, czyli dopuszcza do zawodu osoby z różnym bazowym wykształceniem.

Dzięki czemu ośrodki szkolące psychoterapeutów, włącznie z Laboratorium Psychoedukacji, które Pani współzakładała, będą wciąż miały klientów.

Cóż mogę na taki zarzut odpowiedzieć... Mamy wystarczającą historię i renomę, żeby o brak kandydatów na szkolenie się nie martwić. Ale ponieważ taki zarzut jest obraźliwy, a nie będę udawać, że deszcz pada, jak ktoś pluje w twarz, dodam, że druga strona – czyli sprzeciwiające się ustawie środowisko większości terapeutów poznawczych i behawioralnych ↦

Wedle dzisiejszych przepisów trudno na to pytanie odpowiedzieć. Bo jeśli pan albo pana koleżanka artystka otworzycie jutro gabinet, a na drzwiach powiesicie tabliczkę „psychoterapeuci", to nikt was z tego nie rozliczy. Śpiewać każdy może. W praktyce psychoterapeutą jest osoba, która ukończyła studia magisterskie, a później szkolenie psychoterapeutyczne, w założeniu intensywne, wymagające i prowadzone przez wysokiej klasy profesjonalistów, ale na poziomie centralnym niestety nikt tej jakości szkolenia obecnie nie sprawdza.

↦ – ma swoje prywatne ośrodki szkolące nieledwie taśmowo. Na czele ze Szkołą Wyższą Psychologii Społecznej.

Tyle że taki ping-pong do niczego nie prowadzi. Poza poczuciem, że środowisko, które ma koić nasze emocje, samo się nawzajem wyniszcza.

Słyszałam już nieraz przytyki, że szewc bez butów chodzi, ale proszę zobaczyć to inaczej – jako bolesny proces porządkowania się środowiska, które przez ponad trzy dekady działało w zasadzie bez zewnętrznych kodeksów i procedur. Rozmaite grupy dorobiły się swoich trybów, zasad, mitów założycielskich. W kontekście tych wieloletnich zaszłości uwspólnianie jest niełatwe.

Ale proszę mi wierzyć: większość z nas potrafi spojrzeć na nowe uregulowania z punktu widzenia interesu pacjentów.

W takim razie co one nam dadzą?

Bezpieczeństwo. Pacjent będzie mógł sprawdzić, czy jego psychoterapeuta jest w oficjalnym rejestrze osób uprawnionych do wykonywania zawodu. A co za tym idzie, czy ukończył akredytowane studia podyplomowe – wieloletnie teoretyczne i praktyczne przygotowanie do zawodu, staż kliniczny, psychoterapię własną.

Teraz tak nie jest?

Teraz ktoś mianujący się psychoterapeutą mógł tych szkoleń nie przejść, albo przejść, ale w sposób nieweryfikowalny z zewnątrz. Owszem, mamy rejestry towarzystw psychoterapeutycznych, ale tych towarzystw jest przecież mnóstwo. Wśród nich są i takie, które przyznają niewiele warte certyfikaty.

W ramach konsultacji pytam rutynowo pacjentów, czy korzystali wcześniej z pomocy. „O, tak – słyszę. – Ale to było dziwne, bo jak mówiłam, że mi ciężko, bo nie mam rodziny, psychoterapeutka opowiadała o swoich problemach z dziećmi". Dopytuję, czy ta „psychoterapeutka" miała certyfikat. „Chyba tak. Coś wisiało na ścianie, a poza tym mnie tę panią poleciła koleżanka".

I trudno się dziwić: skąd pacjent ma wiedzieć, który dyplom ile waży?

I po to właśnie jest ustawa, by taką jasność miał. Gdy udamy się do terapeuty certyfikowanego, to będziemy mieli pewność, iż ta osoba ukończyła szkolenie w standardzie wyznaczonym przez nowe prawo, a nie wedle widzimisię jednego czy drugiego towarzystwa, czasami raptem kilkunastoosobowego.

Poza tym psychoterapeuta będzie musiał należeć do samorządu zawodowego, a tam potencjalny pacjent będzie mógł sprawdzić formalne kompetencje osoby, do której chce się zgłosić.

Rejestr terapeutów, mówią krytycy ustawy, można było stworzyć bez powoływania samorządu, który może się stać korporacyjnym państwem w państwie.

To ryzyko dotyczące każdej grupy zawodowej, choćby prawników. Ale samorząd przydaje się też pacjentom, np. po to, by było gdzie złożyć skargę na psychoterapeutę, który mnie skrzywdził albo mi zaszkodził. Teraz taką skargę można złożyć co najwyżej do sądu powszechnego, co zresztą rzadko kończy się sukcesem pacjenta.

Opowiem panu historię. Psychoterapeuta należący do jednego z towarzystw nawiązał romans z pacjentką. W ten sposób złamał kodeks etyczny, co pacjentka uświadomiła sobie, gdy psychoterapeuta z nią zerwał. Gdy jednak wniosła skargę do komisji etyki tego stowarzyszenia, terapeuta się z niego szybko wypisał.

W samorządzie już takiej możliwości nie będzie, bo tam przynależność ma być obowiązkowa.

Pani mówi o bezpieczeństwie, PTTPB twierdzi, że projekt pacjentom zagraża. Chodzi o szeroki dostęp do zawodu osób, które skończyły bardzo różne kierunki studiów, a niekoniecznie psychologię czy medycynę.

Tyle że i teraz tak jest – z tą różnicą, że po wejściu w życie ustawy będziemy mieli większą gwarancję rzetelności czteroletniego szkolenia po magisterium.

A co do psychologicznego wykształcenia, ono się niestety mocno zdewaluowało. Mamy już sporą nadprodukcję magistrów tego kierunku, duża część tych studiów to w zasadzie skrócone – w dodatku przeprowadzane częściowo zdalnie – kursy psychologiczne.

Skąd ten wysyp?

Wynika z popytu, ale też z faktu, że organizacja tego kierunku jest tania. Nie trzeba laboratoriów, oprzyrządowania. Efekt? Nawet niesławne Collegium Humanum naprodukowało trochę psychologów... Ale jeżeli mówimy o dobrych studiach psychologicznych, z wiarygodną akredytacją, to nie przeczę, że jest to najlepszy wstęp do szkolenia się w zawodzie psychoterapeuty. Tyle że to nie jest jedyna słuszna droga. Mogę *ad hoc* wymienić ze dwadzieścioro wybitnych psychoterapeutów, którzy skończyli polonistykę, etnografię, prawo, filozofię. A potem uczyli się przez co najmniej 4 lata, uzupełniając wiedzę.

Ustawa, twierdzą krytycy, jest wadliwa prawnie.

Na ten zarzut trudno mi odpowiadać, bo nie jestem prawniczką: wiem natomiast, że opinie legislatorów są podzielone, zarzuty tyczą się raczej drobiazgów. A projekt można poprawić, sama dostrzegam jego pewne słabości.

Jakie?

Jego inkluzywność – którą co do zasady pochwalam – jest może zbyt daleko posunięta. Ustawa wymienia jako równoprawne bardzo różne podejścia psychoterapeutyczne. To dobrze, że środowiska, które przez trzydzieści lat czuły się wykluczone, jak np. terapeuci humanistyczno-egzystencjalni, zostali teraz włączeni do mainstreamu. Ale już tzw. podejście integracyjne nie bardzo wiadomo, co oznacza. Jeśli integrujemy dwa inne psychoterapeutyczne podejścia, to proszę bardzo. Ale trzeba by podać, jakie konkretnie, na jakiej zasadzie się je łączy i czy obu uczą specjaliści. Brakuje mi w tej ustawie dookreślenia, co właściwie taka „integracja" może oznaczać. Najchętniej to pojęcie bym z ustawy usunęła, bo to taki „kontener" na wszystko.

Jest w Sejmie jeszcze jedna ustawa. Rządowa, mniej kontrowersyjna niż ta o psychoterapeutach, ale równie ważna – o zawodzie psychologa.

Jestem wielką zwolenniczką jej uchwalenia. Choćby dlatego, że wprowadza wspomniany wymóg odbycia rocznego

stażu. Ponadto psychologowie też będą mieli swój samorząd, co nie tylko zwiększy bezpieczeństwo pacjentów, ale też integrację i identyfikację środowiska.

Dlaczego miałoby mi, potencjalnemu pacjentowi, na tym zależeć?

Jeśli psycholog czy psychoterapeuta działa sam, nigdzie nie należy, nikomu nie pokazuje swoich prac, przemyśleń, emocji, to zwiększa się prawdopodobieństwo nadużyć. My w branży dobrze pamiętamy sprawę Andrzeja Samsona [oskarżonego o molestowanie nieletnich – red.]. Wspólnota chroni.

Spotkałem się z opinią, że największe bolączki szeroko pojętego systemu pomocy wykraczają poza działanie jakichkolwiek ustaw.

Jakie to bolączki?

Dostać się do psychoterapeuty czy psychiatry na NFZ to cud, a ceny na rynku prywatnym są horrendalne, w przypadku psychiatrów oscylujące nawet wokół 300-400 zł za dwudziestominutowe spotkanie.

Do tego wciąż nie znamy decyzji, czy bardzo obiecujący projekt, jakim są Centra Zdrowia Psychicznego, stanie się czymś więcej niż pilotażem. A czas oczekiwania na psychoterapię przez NFZ to czasami rok, czasami półtora. To wszystko prawda.

Półtora roku w przypadku depresji to ponury żart.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest m.in. brak wystarczającej liczby psychoterapeutów w ośrodkach mających podpisane kontrakty z NFZ. A nie ma ich tu w wystarczającej liczbie nie tylko z powodów finansowych.

A z jakich?

Trudno jest funkcjonować w nieustannej niepewności, co dalej, czy będzie kolejny kontrakt, czy z końcem roku nie będzie się zmuszonym opuścić swoich pacjentów. Do tego przełożeni często niewiele wiedzą o psychoterapii, bywa, że traktują ją jako najmniej ważne ogniwo. Brakuje częstokroć gabinetu do prowadzenia psychoterapii, a do przypadkowego pomieszczenia w każdym momencie intymnej rozmowy ktoś może wejść i powiedzieć: „Przepraszam, ale ja tu w fartuchu klucze zostawiłam".

Więc fachowcy idą na swoje, bo tam jest chleb?

Owszem, terapeuta zarobi więcej w prywatnym sektorze, ale wielu tęskni do pracy w instytucji publicznej i chętnie godziliby jedno z drugim. Sama pracowałam w szpitalu psychiatrycznym i głębokość napotkanego tam cierpienia sprawiała, że miałam poczucie wielkiego sensu tej pracy.

Co z Waszą pracą, a z naszą terapią, robi technologia? Mam na myśli i wysyp terapii online, i ofensywę AI.

Co do spotkań *online*, jestem konserwatywna, i to właśnie w interesie pacjenta: to nie jest pełnowartościowa terapia.

ARCHIWUM PRYWATNE

ZOFIA MILSKA-WRZOSIŃSKA jest psycholożką, psychoterapeutką i superwizorką. Współzałożycielka i szefowa warszawskiego Laboratorium Psychoedukacji, autorka książek i artykułów popularyzujących wiedzę psychologiczną. Jest członkinią Zarządu Sekcji Psychoterapeutycznej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Prowadzi terapię indywidualną i par w nurcie psychodynamicznym.

Skoro zwykliśmy myśleć o psychoterapii jako działaniu relacyjnym, to nie możemy udawać, że w takich warunkach odbywa się pełnowartościowy kontakt.

Rozmawiamy teraz online...

...nie możemy sobie spojrzeć w oczy i niby widzę pana twarz, a jednak wielu rzeczy nie dostrzegę.

Np. mógłbym popijać podczas tej rozmowy piwo, a pani by nie wiedziała, że po dwóch latach niepicia znowu „popłynąłem".

Albo nie zauważyłabym, że się panu trzęsą ręce. Spotkanie twarzą w twarz to czasami również wyciąganie wniosków na podstawie zapachu – on może być sygnałem, że się człowiek zapada albo społecznie degraduje. Do tego dochodzi bezpieczeństwo. Gdy mam sesję terapeutyczną, a ktoś mi zaczyna zgłaszać, wedle fachowego określenia, „myśli samobójcze z tendencją do realizacji", to mogę znaleźć sposób, by tę osobę zatrzymać i wezwać pomoc.

Zatrzymać?

Jeśli stanowi zagrożenie dla siebie lub innych, to tak. Niegdyś pacjentka podczas wizyty wpadła w stan psychozy i wyglądało na to, że jak wyjdzie na ulicę, to zrobi krzywdę sobie albo komuś. Poprosiłam dwóch pracowników biurowych, by jej nie wypuszczali, a sama zadzwoniłam po rodzinę i karetkę. Jeśli jednak pacjent siedzi przed komputerem w Sztokholmie albo choćby w Olkuszu, to nasze możliwości są ograniczone.

A co ze sztuczną inteligencją?

Uczy się bardzo szybko i już na poziomie elementarnym – np. wstępnej rozmowy wspierającej – może okazać się pomocna. „Rozumiem, że jest ci ciężko, a czy jest ktoś bliski, komu możesz o tym powiedzieć?" – jest w stanie formułować w rozmowie takie komunikaty. Ale im bardziej złożona interwencja, im cięższy przypadek, im bardziej nietypowy pacjent, tym AI okaże się mniej przydatna. Przynajmniej na obecnym etapie.

AI to szansa na egalitaryzację pomocy?

Może tak być, ale może też się okazać, że terapia AI będzie tania, łatwa, dostępna – i mało skuteczna. A ta tradycyjna pozostanie czymś dla wybranych. A nawet stanie się ofertą elitarną, czego bardzo bym nie chciała.

Istnieje jakiś próg wieku, za którym psychoterapia nie ma większego sensu?

Psychoterapia nie zawsze ma sens, mimo jej trafienia pod strzechy. Ale akurat nie wiek jest tu kryterium. W każdym wieku można osiągnąć pożytek z psychoterapii, co pięknie ilustrują udane procesy psychoterapeutyczne w domach spokojnej starości. A moja najstarsza pacjentka miała 88 lat.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Nic się nie zmieniło*

Sprawa Krzysztofa Gonciarza, youtubera, który przez kilka kobiet został oskarżony o rozmaite nadużycia, następnie publicznie napiętnowany i „skancelowany", później zaś przekonująco dowiódł (w serii filmów pod tytułem „Perseusz"), że padł ofiarą oszustwa, wskazuje, poza wszystkim, na jedną, niezaprzeczalną okoliczność.

Mianowicie: nic się nie zmieniło, wciąż żyjemy w rzeczywistości, a nie w teoretycznym konstrukcie. W rzeczywistości, w której obowiązują te same prawa fizyki i biologii. Te same ograniczenia poznawcze i materialne. Te same reguły życia społecznego. Te same parametry funkcjonowania umysłów i psychik. Te same systemy prawne oparte na tych samych fundamentach.

Nic się nie zmieniło. Także to, że zanim wyda się wyrok, zarówno sądowy, jak amatorski, zanim skaże się kogoś na banicję, odtrąbi jego upadek, zmobilizuje jak największą grupę, żeby go potępiła – trzeba odrobiny cierpliwości i opanowania. Są one niezbędne do weryfikacji oskarżeń. Nic się bowiem nie zmieniło i oskarżenia wciąż mogą być nadmiarowe, fragmentaryczne, a nawet fałszywe. Z tego, że ktoś coś mówi, wciąż nie wynika, że jest tak, jak mówi.

Zresztą dlatego właśnie pojawiły się pojęcia „prawdy", „kłamstwa" i „weryfikacji". Oraz oparte na tych pojęciach instytucje, których zadaniem jest dochodzenie do prawdy. Oddzielanie jej od kłamstwa, konfabulacji i innych poznawczych zakrzywień, żeby móc działać wyłącznie w oparciu o nią. Dlatego właśnie – mozolnie, pokolenie za pokoleniem, tworząc kulturę, obowiązujące w niej zasady, kody postępowania, a także doskonaląc instrumenty służące badaniu rzeczywistości – wypracowano do tego celu metody. Zorientowano się bowiem w pewnym momencie, że bez tych metod, bez odpowiednich narzędzi, bez stosownych środków ostrożności, ludzie wcale nie zbliżają się do świata i siebie (a więc do prawdy), lecz raczej generują nieskończone, piętrowe fikcje. Na swój własny temat i na temat innych.

A z tych fikcji nader często rodzi się przemoc. Dotyczy to zarówno zbiorowości, jak jednostek, nikt nie jest od tego wolny. Trzeba mieć się stale na baczności, sprawdzać, weryfikować, odsiewać. Nie ma innego sposobu. Przynajmniej, dopóki nic się nie zmieni. Przynajmniej, dopóki żyjemy w rzeczywistości.

A na razie nic się nie zmieniło. Ludzkie motywacje cały czas bywają skomplikowane i niejednoznaczne, rzeczy zaś wcale nie zawsze są takie, jakie się wydają. I nie zawsze – bo nic się nie zmieniło – potwierdzają nasze pragnienia, poglądy i ideologie, nie zawsze są takie, jakie wedle naszych pragnień, poglądów i ideologii być powinny. Przeciwnie: czasami układają się dokładnie wbrew im. A najgorsze, co w takiej sytuacji możemy zrobić – choć, skądinąd, tak z natury pracuje ludzki umysł – to uporczywie trzymać się naszych pragnień, poglądów i ideologii. Utwardzać je wbrew faktom, zamiast modyfikować je pod tych faktów wpływem.

Nic się więc nie zmieniło. Nie w każdych okolicznościach ktoś, kto prezentuje się jako ofiara, jest ofiarą, a ktoś, kto wygląda na złoczyńcę, jest złoczyńcą. Bywa zupełnie inaczej, a nawet całkiem na odwrót. Nic się bowiem nie zmieniło i nie pojawiły się żadne niezawodne metody pozwalające – wyłącznie na podstawie deklaracji albo jakichś zewnętrznych atrybutów, np. płci, koloru skóry, wieku czy przynależności do tej lub innej klasy – oznaczyć bez sprawdzenia, kto jest winny, a kto niewinny. A także, kto w ogóle ma prawo się odzywać, a kto ma prawo tylko milczeć. I czyje słowo w magiczny sposób zawsze i wszędzie jest prawdziwe, czyje zaś w magiczny sposób nigdy prawdziwe być nie może.

Nic się bowiem nie zmieniło. Każdy ma prawo do mówienia, ale również – co ważne w stopniu tym samym, a być może nawet większym – każdy ma prawo zostać wysłuchany. A tam, gdzie jednym odmawia się prawa do mówienia i programowo się ich nie słucha, drugim zaś z kolei pozwala się mówić bez ograniczeń i *a priori* daje wiarę wszystkiemu, co twierdzą, tam wydarzają się krzywdy, nierzadko nieodwracalne. Tam też – prędzej czy później – pojawiają się ludzie, którzy dostrzegają tę osobliwą wybiórczość. I postanawiają wykorzystać ją w służbie własnych interesów.

Tymczasem nic się nie zmieniło. Wciąż żyjemy w świecie, w którym ani płeć, ani wiek, ani kolor skóry, ani stan konta, ani pozycja w hierarchii społecznej, ani też słuszne lub niesłuszne (z dowolnej perspektywy patrząc) polityczne przekonania, ani też żaden inny modny lub niemodny sposób różnicowania ludzi, nie czyni nikogo ani lepszym, ani gorszym. Nie gwarantuje z definicji żadnych moralnych przewag, nie sprawia, że jest się z automatu prawdomównym albo kłamliwym, dobrym albo złym, godnym albo niegodnym zaufania.

Nic się nie zmieniło. A zatem nic nie zwolniło nas z obowiązku krytycznego myślenia, nieufności wobec stereotypów (niezależnie od tego, na czyj temat i z jakiej strony wypreparowanych). Nic nie zwolniło nas z obowiązku weryfikowania faktów, uważności, racjonalności, dbania o sprawiedliwość, powściągania odruchów i impulsów, odporności na moralne paniki i inne mechanizmy zbiorowego wzmożenia, zbiorowej przemocy.

Nic się pod tym względem nie zmieniło. I z całą pewnością się nie zmieni. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 02
„TP" 33/2025

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 – 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA

Festiwal Conrada, 20–26 października

MICHAŁ SOWIŃSKI

Jak mówić o nadziei, gdy dookoła panują zmęczenie, przemoc i poczucie bezsilności? W drugim w tym roku numerze Magazynu Conrad przyglądamy się różnym, często nieoczywistym formom nadziei radykalnej.

Waldemar Kuligowski pisze o ludziach „nieznacznych" – niewidocznych, niewygodnych, pozornie zbędnych. Pokazuje, że ich sposoby trwania mogą być nie tylko formą sprzeciwu, lecz także próbą odzyskania sprawczości i godności. W świecie, który premiuje siłę i efektywność, oni wybierają wycofanie i alternatywne sposoby życia – dalekie od bierności i rezygnacji.

Weronika Murek opowiada o świecie, który nie tyle się wali, ile raczej stopniowo wygasa. O zmęczeniu, które odbiera siłę do działania – ale też o niezgodzie na bycie wymazanym. O prawie do własnej opowieści, nawet jeśli nikt nie czeka, by ją usłyszeć. A także o Polsce – przestrzeni pełnej fantazmatów, które, jak teatralne dekoracje, można przestawiać w niemal dowolny sposób.

Aleksandra Wojtaszek z kolei zadaje pytanie, czy wojnę da się jeszcze opisać – a jeśli tak, to po co, skoro opowieść nie zmienia rzeczywistości? Literatura może nie ocala, ale z pewnością pozwala nie zapomnieć. Świadectwo – nawet niepełne – staje się formą oporu i punktem wyjścia do dalszego działania.

Na koniec – mój tekst o Auður Avie Ólafsdóttir, islandzkiej pisarce, która podobnie jak jej bohaterowie wierzy, że świat wciąż da się naprawić. Nie przez wzniosłe deklaracje czy wielkie gesty, ale przez proste działania: naprawę cieknącego kranu, sadzenie róż, próbę opowiedzenia siebie na nowo. W jej prozie – podobnie jak w innych omawianych tu tekstach – nadzieja nie unosi się gdzieś ponad światem, lecz tkwi w nim głęboko. A to już coś.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI,
REDAKTOR LITERACKI FESTIWALU

W NUMERZE

78

WALDEMAR KULIGOWSKI
O ludziach wykluczonych i ichsposobach na życie w świecie po kryzysie

80

WERONIKA MUREK
O kobiecie, która znika, ale wciąż walczy o własną opowieść

84

ALEKSANDRA WOJTASZEK
O tym, jak literatura pomaga pamiętać i mówić o doświadczeniu wojny

88

MICHAŁ SOWIŃSKI
O książkach Ólafsdóttir i jej bohaterach, którzy próbują naprawiać świat

REDAKCJA
Michał Sowiński
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Andrzej Leśniak
GRAFIKA NA OKŁADKACH
Marcin Wolny
/ Conrad Festival

CONRAD FESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:
KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:
TYGODNIK POWSZECHNY
allegro

Dofinansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Pełny program Festiwalu ogłosimy już we wrześniu!

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Estakada na trasie S7 do Zakopanego, 2024 r.

Jakby ktoś zgasił światło

WALDEMAR KULIGOWSKI

Gdy wszystko wokół zamiera – handel, ruch, poczucie sensu – zostają ci, którzy próbują przeżyć po swojemu. Nieefektowni, nieproduktywni, niewidzialni. A jednak to oni mogą być bohaterami opowieści o przyszłości. Innej niż te dobrze znane.

Pan Felek pod drzewem ma stolik i fotelik turystyczny. Skrzynka ze szparagami jest na wyciągnięcie ręki. Może obsługiwać kierowców nadjeżdżających z obu stron. Wymalował odpowiednie szyldy: „Szparagi" i „Spargel".

Pan Felek uprawia i handluje szparagami od 30 lat. I jest jednym z ostatnich, którzy łączą te zajęcia. Wytrzebiła ich nie bezlitosna konkurencja czy bessa na rynku – sezon szparagowy w restauracjach trwa przecież coraz dłużej – ale budowa autostrady. Gołym okiem widzi, że ruch na drodze krajowej 92 w niczym nie przypomina tego z lat świetności.

„Dwójka", jak potocznie nazywano DK92, była legendą. Ciągnęła się od Warszawy do Rzepina na granicy z Niemcami. Stanowiła najbardziej popularny drogowy korytarz na zachód, którym wyprawiali się handlarze, gastarbeiterzy, przemytnicy. Dla wielu ludzi żyjących na jej skraju, „dwójka" była też miejscem pracy. W przydrożnym barze, restauracji, punkcie sprzedaży małej architektury, hotelu, motelu, warsztacie samochodowym, stacji paliw. „Dwójka" żywiła, karmiła, pozwalała niektórym na stworzenie małych, rodzinnych fortun.

Złote czasy skończyły się nagle, 1 grudnia 2011 r. „Przed otwarciem autostrady jeździło tędy 40 tysięcy samochodów dziennie! – opowiadał o tym jeden z restauratorów. – Dosłownie zderzak w zderzak. A potem budzę się rano i słyszę tę straszną ciszę". „Kiedyś do mojej restauracji ustawiały się kolejki – zwierzał się inny. – Zatrudniałem prawie 30 osób, dzisiaj zostały 4, w tym ja i moja żona. Ale komu teraz chce się zjeżdżać z autostrady, żeby zjeść coś dobrego?" – podsumowywał kolejny.

Nowa droga

Oddanie do użytku zachodniej części autostrady A2 ówczesny rząd przedstawiał jako ogromny sukces modernizacyjny i ostateczny dowód na włączenie Polski do Europy. Antropologiczne badania, jakie w latach 2014-2016 prowadziliśmy z Agatą Stanisz na pograniczu województw wielkopolskiego i lubuskiego, pokazały, że wywołało też rozliczne konsekwencje, raczej słabo mieszczące się w owym triumfalistycznym dyskursie.

Negatywne zjawiska najsilniej zaznaczyły się w miejscowościach leżących przy DK92, zdegradowanych i „odsuniętych". Dla ich mieszkańców przeniesienie ↦

↦ się ruchu, ludzi i pieniędzy na autostradę było katastrofą. Destabilizacją oswojonej – choć także uciążliwej – rzeczywistości, zburzeniem lokalnego *orbis interior*. Pamiątkami po niej stały się natomiast, obecne wzdłuż całej „dwójki", ogłoszenia: o zamknięciu, upadłości, sprzedaży, zakończeniu działalności.

Rychło okazało się jednak, że za widomymi znakami nowej biedy zaczynają wyłaniać się przykłady nowej przedsiębiorczości. Rozwija się agroturystyka, powołano „Szlak wiklinowy", powstają drogi rowerowe, bary z powodzeniem kuszą unikalną ofertą, a hotele przyciągają zielone szkoły. Małe punkty usługowe, drobne plantacje i niewielkie hoteliki są w stanie sukcesywnie funkcjonować w konkurencji z gigantycznymi koncernami, których inwestycje wplecione są w infrastrukturę drogową. DK92 nie zmieniła się w zonę pustki i beznadziei.

Praktycy niemocy

Projekt „Ruchome modernizacje", który tutaj przywołuję, sytuuje się w nurcie badań poświęconych transformacji i postsocjalizmowi. O ile wcześniej akademicka antropologia zajmowała się zwykle małymi grupami regionalnymi, przedstawicielami ginących zawodów, enklawami ludowości i tradycji, o tyle na przełomie XX i XXI wieku ich miejsce zajęły grupy wykluczonych, bezrobotnych, ludzi „zbędnych" z punktu widzenia systemu produkcji i konsumpcji.

Systematycznie przedstawił te kategorie Tomasz Rakowski w książce pod wymownym tytułem „Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego". Rakowski w latach 2001-2006 prowadził badania w Wałbrzychu i wsiach okalających odkrywkę węgla kamiennego „Bełchatów" oraz na przedgórzu świętokrzyskim. Jako antropolog społeczny pracował wśród bezrobotnych górników, prowadzących amatorskie wydobycie węgla; bezrobotnych mieszkańców wsi, zajmujących się sezonowym zbieraniem i sprzedażą runa leśnego; zbieraczy wszelkich poprzemysłowych „pamiątek" pochodzących ze zlikwidowanych fabryk.

Co kluczowe: Rakowski nie stworzył obrazu bierności i rezygnacji, choć w realiach świata kryzysu jawić się to mogło jako oczywiste. Przeciwnie, jego „etnografia człowieka zdegradowanego" przyniosła wiele przykładów radzenia sobie z rzeczywistością, aktywnego reagowania na nowe warunki. Podobnie jak w przypadku kryzysu wywołanego przez otwarcie autostrady, nagła zmiana w lokalnym *milieu* zaowocowała nowymi formami przetrwania.

W obu przypadkach możemy mówić o „traumie wielkiej zmiany". Jest to pojęcie, które opisuje nagły, nieprzewidziany i przychodzący z zewnątrz kryzys. Kolejne dekady wypełniały jego pole semantyczne nowymi treściami: pośpieszna prywatyzacja, masowe bezrobocie, likwidacja PGR-ów, modernizowanie przez autostradę... W kontekście „traumy wielkiej zmiany" praktyki dotąd pomijane i lekceważone – takie jak „rytuały wycofania" i „spektakle przegranych transformacji", „zrzędzenie" czy „biadolenie" – zaczęto traktować jako konstytutywne elementy modernizacji, a nie tylko jej kaleki rewers.

Okazało się ponadto, że sprawczość i podmiotowość w obliczu nagłej zmiany warunków życia i pracy przybiera różne, czasem zaskakujące formy. Myślę tutaj o doraźnych usługach, spontanicznym rzemiośle, półlegalnym handlu, zbieractwie odpadów lub płodów natury, wynajmie ziemi i budynków itp. To są właśnie owe oksymoroniczne „praktyki niemocy".

Ludzie nieznaczni

Tyle że nawet te brawurowo pomysłowe i jak najbardziej spontaniczne formy posttraumatycznego radzenia sobie z rzeczywistością sprowadzają się do przyjmowania narzuconych przez system warunków. Liczą się wszak przedsiębiorczość i oczekiwany zysk. Taka czy inna produktywność. To zaś są przymioty, których nie mają „ludzie nieznaczni".

Kto to taki? Ludzie żyjący w świecie, na który, jak sądzą, nie mają wpływu, bez poczucia odpowiedzialności za bieg wydarzeń. Osoby trwale wycofane, apatyczne, permanentnie zmęczone, pogrążone w zwątpieniu, życiowe „przegrywy". Jak trafnie zauważa literaturoznawczyni Agnieszka Dauksza, taka kategoria istniała prawdopodobnie zawsze, ale teraz właśnie dokonuje się uznanie jej za najbardziej typową. Taką, która przekracza granice klas i generacji. Dauksza określa ich jako „ludzi nieznacznych".

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

AGNIESZKA DAUKSZA (ur. 1988) – literaturoznawczyni, eseistka, adiunktka na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zajmuje się historią kultury, pamięci, studiami nad Zagładą i antropocenem. Autorka książek „Klub Auschwitz i inne kluby" (2016, Nagroda Newsweeka), „Afektywny modernizm" (2017), „Jaremianka" (2019, Nagroda Literacka m.st. Warszawy, finał Nike) oraz „Ludzie nieznaczni. Taktyki przetrwania" (2024).

Czy rezygnacja może być formą oporu? A bezsilność – początkiem nowego języka, który pozwala mówić „nie chcę", „nie umiem", „nie jestem w stanie"? W świecie zbudowanym na sprawczości i efektywności to, co słabe, nieproduktywne i „nieznaczne", zyskuje paradoksalną siłę – bo nie daje się łatwo wchłonąć przez system. Podczas spotkania prowadzonego przez **WALDEMARA KULIGOWSKIEGO** porozmawiamy o tym, jak z niemocy wydobywa się inny sposób widzenia rzeczywistości – mniej efektowny, ale może właśnie przez to bardziej prawdziwy.

Gdy transformacja ustrojowa pozbawiła miliony osób pracy i dochodów, szybko pojawiła się figura „hamulcowych" postępu. Ludzi nienowoczesnych, myślowych skamielin, bezpośrednich dziedziców *homo sovieticus*. Szczególnie mocno modernizacyjny dyskurs uderzył w osoby etatowo związane z byłymi PGR-ami. To o nich przecież opowiadał brutalny dokument filmowy „Arizona", to o nich śpiewali prześmiewczo Hanka Bielicka czy Wały Jagiellońskie. A to był po prostu kolejny wariant „traumy wielkiej zmiany". „Jakby ktoś zgasił światło", tak o likwidacji PGR mówi jeden z bohaterów książki Bartosza Panka „Zboże rosło jak las".

Dauksza sugeruje, że porażka i nieznaczność może być strategią przetrwania, a nawet wolności i formą oporu. Że bezsilność – nieproduktywna, niezyskowna, aprzedsiębiorcza – w systemie gloryfikującym produktywność, zysk i przedsiębiorczość staje się radykalną innością. Owszem, trudno przetłumaczalną, ale realną i twórczą. Pozwalającą na to, by w przestrzeni publicznej móc powiedzieć: „nie umiem", „nie chcę", „nie jestem w stanie". Ile razy gryźliśmy się w język, by nie wypowiedzieć takich słów w obawie przed wstydem? Przed wykluczeniem? Ile razy?

Szerszą ramę dla wskazanych tutaj badań i refleksji wskazuje historyczka Ewa Domańska. Badaczka ta od lat propaguje afirmatywną postawę wobec przeszłości. Oznacza ona porzucenie zainteresowań katastrofą, apokalipsą, traumą, ofiarą, cierpieniem, pustką i wykluczeniem. Przeszłość winna być bowiem postrzegana inaczej, jako rezerwuar potencjalnych szans. Afirmatywne dekonstruowanie przeszłości ma uwyraźniać alternatywne scenariusze i przekonywać, że historia mogła potoczyć się inaczej, przecząc nieubłaganej rzekomo logice przemocy – także tej wpisanej w system neoliberalny. W konsekwencji, jak chciałbym sądzić, jej agentami i agentkami mogą stać się praktycy niemocy oraz ludzie nieznaczni, gdziekolwiek żyją.

Apokalipsy i odrodzenia

Przywołane wyżej wyznanie – „Jakby ktoś zgasił światło" – przypomina w swoim emocjonalnym formacie słowa wodza Wiele Przewag. Opowiadając dzieje swojego narodu, stwierdził: „Odkąd odeszły bizony, serca moich ludzi upadły na ziemię i nikt ich już nie podniósł. Potem nic się już nie wydarzyło". Brak światła i brak wartych odnotowania zdarzeń to wyraziste symptomy braku nadziei w sytuacji, gdy zawala się nasz świat.

Być może jeszcze dosadniej opowiada o tym poeta Albert Leomala z Vanuatu (poeta i krytyk kolonializmu z wyspiarskiego państwa na Pacyfiku), w jedynym znanym mi wierszu miłosnym skierowanym do... kultury (przekład własny):

Kulturo, moja kulturo
Dlaczego odchodzisz
Dlaczego nas opuszczasz
Zatrzymaj się, zatrzymaj
Potrzebuję Cię, kulturo
Pragnę Cię
Chcę być z tobą
Zostań tu
Kulturo
Proszę, moja kulturo
Wróć
Wróć do mnie
Zniszcz to, co zachodnie
Nie pozwól temu wzrastać
Spal to
Bo to cię zabija

Kulturo
Moja kulturo
Wróć
Potrzebuję Cię
I umrę razem z tobą

Jako antropolog chętnie sięgam po przykłady małych, lokalnych społeczności zderzających się z Molochem kolonializmu. Nic niemal nie wskazywało na to, by miały one szanse na przetrwanie, często również w sensie *stricte* populacyjnym. Stało się inaczej. Vanuatu od prawie półwiecza cieszy się niepodległością. Spadkobiercy wodza Wiele Przewag to członkowie federalnie uznanego plemienia Wron, prowadzącego własną szkołę wyższą, do którego w 2008 r. przyjęto przyszłego prezydenta Baracka Obamę.

Zderzenia z Molochem modernizacji i neoliberalizmu przebiegają zgodnie z podobną logiką. Ani ludobójstwo, ani kolejne epidemie, ani narzucona akulturacja, strukturalne bezrobocie czy destrukcja środowiska nie muszą być jednak ostatecznym kresem, odcięciem światła, końcem historii. Oczywiście, bilans apokalips i odrodzeń nie jest zerowy. Pewnie dlatego, że często nie wiemy, czemu nie można pozwolić wzrastać.

© WALDEMAR KULIGOWSKI

TOMASZ RAKOWSKI (ur. 1974) – antropolog kultury, etnolog i lekarz. Adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książek „Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy" (2009, Nagroda im. ks. Tischnera 2011) i „Praktykowanie świata" (2016). Bada społeczności byłych regionów przemysłowych i ich oddolne strategie działania. Prowadził badania terenowe m.in. w Mongolii, wśród koczowników i artystów lokalnych scen. Łączy doświadczenie medyczne z pracą antropologiczną.

MATERIAŁY PRASOWE

Autor (ur. 1972) jest antropologiem kultury, profesorem nauk humanistycznych, pracuje w Instytucie Antropologii i Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkunastu książek i ponad dwustu artykułów naukowych. Specjalizuje się w antropologii współczesności, teorii kultury i antropologii festiwalu. Prowadził badania terenowe m.in. w Polsce, Niemczech, Węgrzech, Hiszpanii, Uzbekistanie i Albanii. Był redaktorem naczelnym kwartalnika „Czas Kultury" (2008–2015).

Inne życia, inne Polski

WERONIKA MUREK, PISARKA:

O „Miczurinie" mówiłam, że to Polska Latającego Kufra, jak w baśni Andersena – Polska podręcznych fantazmatów. „Urodziny" są bardziej osadzone: dzieją się w Warszawie, ale wciąż działają na skojarzeniach, guzikiem uruchamiają różne rzeczywistości.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jaga Babażyna, bohaterka „Urodzin", nie dominuje, nie narzuca się światu. Jest zmęczona. Skąd pomysł, żeby właśnie taka postać znalazła się w centrum tej opowieści?

WERONIKA MUREK: U Jagi najważniejszy był dla mnie problem odpowiedzialności – i to, że gospodaruje nią bardzo oszczędnie. Jakby każda decyzja, każde zaangażowanie musiało przejść przez filtr pytania: „czy mam na to siłę?". Odpowiedzialność to jedno z podstawowych spoiw każdej wspólnoty, ale w praktyce różnie nam to wychodzi. U jednych ten mechanizm działa sprawnie, u innych – nazwijmy to delikatnie – mocno przecieka.

To opowieść o świecie postępującego wyczerpania? Bez zwrotów, bez zrywów – po prostu coraz mniej, coraz samotniej?

Wracamy tu do zmęczenia. Świat Jagi Babażyny się nie wali, nie eksploduje, nie rozpada dramatycznie. On po prostu powoli wygasa. Z braku sił, z braku zasobów, z braku energii do tego, żeby pod-

WERONIKA MUREK (ur. 1989) – prozaiczka i dramatopisarka, absolwentka prawa na Uniwersytecie Śląskim. Autorka książki „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina" (2015, Nagroda im. Witolda Gombrowicza, nominacje do Paszportu „Polityki", Nike i Gdyni), tomu dramatów „Feinweinblein" (2019, nominacja do Paszportu „Polityki") oraz eseistycznej książki „Dziewczynki. Kilka esejów o stawaniu się" (2023, nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia). Laureatka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej (2015). W 2025 r. wydała powieść „Urodziny".

trzymywać ogień. Żeby jeszcze komuś pomóc, jeszcze o coś zawalczyć, jeszcze w coś się zaangażować – nie tylko zawodowo, ale po prostu: życiowo.

Nie wiem, czy to już koniec świata, ale na pewno coś się zawęża. Postrzeganie siebie, relacji, sprawczości – wszystko staje się rodzajem „widzenia tunelowego", a co za tym idzie „myślenia tunelowego". I w tym sensie samotność Jagi nie jest tylko jej prywatnym doświadczeniem. To samotność strukturalna, systemowa.

Plaga współczesności?

Samotność w „Urodzinach" wiąże się wprost z widocznością i widzialnością. U Jagi Babażyny wszystko to zyskuje dosłowny wymiar, w końcu jest aktorką – jej praca krąży wokół bycia widoczną. Ale mnie nie interesowała wyłącznie ta teatralna widzialność.

Jest w tym wszystkim też element horroru.

Tak, bo niewidzialne często przychodzi „z tamtej strony". Ale mnie interesowało coś odwrotnego: co, jeśli niewidzialność dotyczy tych, którzy są tu, obok, ale przestali być zauważani? Nie dlatego, że zniknęli, ale dlatego, że świat przestał na nich patrzeć. Jaga powoli się usuwa – i nikt już nie patrzy w jej stronę.

Paradoks polega na tym, że ciało Jagi Babażyny jest nieustannie wystawione. W teatralnym sensie – w tym, co zawiera się w wyrażeniu „wystawiać w teatrze" – ale i w znaczeniu „wystawiania się". Jej starzenie się to tylko podkategoria zanikania. Starzejemy się w oczach i na oczach innych. A niewidoczni – siłą rzeczy – przestają podlegać jakiejkolwiek uwadze. Także tej osądzającej.

Jaga to także czarownica, wielka reżyserka rzeczywistości. Opisujesz ją z czułością, ale bez użalania się. To ofiara czy drapieżnik?

Nie interesowało mnie opisanie kogoś, kto stanowiłby ofiarę idealną. Chciałam stworzyć postać, która nie będzie jednoznaczna ani łatwa do polubienia – chociaż, mimo wszystko, sporo osób się z nią identyfikuje. I ja to rozumiem.

Nie interesuje Cię w literaturze łatwa empatia?

Mało mnie interesują prosto rozdane karty: tu ofiara, idealna, upucowana, nad którą łatwo się wzruszyć – i wszystko w opowieści pracuje na jej korzyść, uruchamia naszą empatię. Mnie interesuje raczej wysiłek, jaki trzeba włożyć w empatię wobec niektórych bohaterów. Czasem myślę, że empatia jest mięśniem, który trzeba ćwiczyć – a jeśli za sprawą książki, to świetnie.

Szczególnie zależy mi na tym, by odspawać je od wizerunku bezbronnych i bezwładnych ofiar. Jaga Babażyna bywa straszna. Nie jest typową bohaterką horroru, która schodzi z latarką do piwnicy i wzbudza współczucie widza – „biedulinko, nie schodź tam!". Dla mnie postać nie jest tylko naczyniem na to, co jej się przydarza – jest też naczyniem na to, kim jest.

Teatr – Twój kolejny wielki temat. Czy „Urodziny" to rozczarowanie teatrem jako wspólnotą i jego możliwością wpływu na rzeczywistość?

Dla mnie ta książka jest zarówno o rozczarowaniu teatrem, jak i o zachwycie nim. A im większy zachwyt, tym większe rozczarowanie.

Można popaść w gorycz?

Taka gorycz jest łatwa. Trudniej postawić duszę na nogi wobec czegoś, co dobrze i do cna się poznało. A mimo wszystko czasami myślę, że warto ją postawić. Rozczarowanie Babażyny nie jest więc tylko rozczarowaniem teatrem, ale raczej tym, że tak bardzo zabrakło w nim dla niej miejsca. Ale umówmy się – żeby zsunąć się z jakiejś rzeczywistości, wcale nie trzeba być starzejącą się aktorką. W historii Jagi Babażyny może się odnaleźć prawie każdy, kto kiedyś komuś albo czemuś przestał być potrzebny.

Może właśnie o to chodzi – życie jako śmierć w starych dekoracjach? Pogodzenie się z bylejakością, z kiepskimi dialogami i scenografią?

Myślę, że energią Jagi Babażyny nie jest pogodzenie się – przynajmniej nie w sensie intelektualnym. To raczej rodzaj całkowitego wytracenia sił. Jej pomysł na życie był prosty: pracować, być dzielną, wytrwałą, ofiarną – a wtedy praca przyniesie owoce. Czasami nie przyniesie. Czasami nasze poświęcenia nie mają sensu. Czasami nasza karta się nie odwróci.

Czyli to opowieść o porażce – ale bez dramatycznych zwrotów akcji?

Tak. Motyw porażki – nazwijmy to tak, a Jaga Babażyna na pewno by tak to nazwała – był dla mnie i interesujący, i trudny do opisania. Opowieści o tym, że komuś się udało, a potem upadł – mają swoją dramaturgię. Albo że komuś długo nie szło, a potem się udało. Klasyczne historie to opowieści o zmianie stanu skupienia. „Długo byłem przegranym, ale teraz...". I wtedy ta historia jest wartościowa, może przynieść nadzieję albo przestrogę.

A co, jeśli nic się nie zmienia?

No właśnie. A co, jeśli dramaturgia jest płaska jak flauta? Trudno z tego zrobić horror czy thriller. A przecież życie pełne jest historii, w których bardzo dużo się wydarza, żeby ostatecznie wszystko zostało – mniej więcej – tak jak było. Interesuje mnie daremność i marnotrawstwo. W tym sensie „Urodziny" są dla mnie rewersem „Dziewczynek", w których pisałam o marzeniu przeistoczenia się, przepoczwarzaniu, i o tym poczuciu, że ma się przed sobą bardzo dużo czasu.

To jeszcze zostaje ważne pytanie o nadzieję. Czy Jaga jeszcze ją ma? Czy raczej pogodziła się z wygasaniem?

Myślę, że postawa Jagi Babażyny to czysty o'haryzm – ale nie mam tu na myśli Franka O'Hary, tylko Scarlett O'Harę. Ten tryb, który pozwala człowiekowi mówić sobie: „pomyślę o tym jutro, jak będę mieć siłę". W „Urodzinach" są postacie, które uważają, że sposób, w jaki Jaga utrzymuje nadzieję przy życiu, jest głupi, zgubny – może nawet stanowi o jej tragedii. Ale ona potrafi pomieścić w sobie i wielki zawód, i nadzieję. Jej życie jest ↦

MATERIAŁY PRASOWE

MATERIAŁY PRASOWE

ADAM UBERTOWSKI
(ur. 1967) – prozaik, socjolog i psycholog. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego, wykładowca akademicki. Autor kilkunastu powieści, m.in. „Syndykatu", „Meczu", „Węzła" oraz sagi „Mesjasz" (2024). Jego twórczość łączy elementy prozy sensacyjnej i refleksyjnej. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu. Mieszka w Sopocie.

↦ pojemne. A utrzymywanie nadziei wymaga siły – nadzieja karmi się ludzkimi zasobami. Życie te zasoby z człowieka obiera. Nie dać się obrać z nadziei – to realny wysiłek.

A groza? Nadnaturalność?

Czasami mówię, że „Urodziny" to książka realistyczna i nierealistyczna – zależnie od drogi, jaką przyjmie czytelnik. Poza tym ja lubię grać w gry, w których się nie wygrywa. Interesowały mnie strategie grozy, które nie mają szansy zadziałać. Wcześniej mówiłam już o widzialności i niewidzialności, o rezygnacji z *katharsis*, z klasycznego łuku przemiany bohatera. Wprost piszę, że to, co prawdziwie realne, nigdy nie jest prawdziwie fabularne. Zwykłe życie – co z tym zrobić?

Nie zależy mi na tym, żeby czytelnik drżał wobec nieznanego – chcę, żeby drżał wobec tego, co dobrze zna. Co prozaiczne, zbyt niskie, by zasługiwało na opowieść. I tak, interesował mnie też język grozy. W książce są cytaty i kryptocytaty z klasycznych horrorów – ale nie zależało mi, żeby działały zgodnie z „przeznaczeniem".

Język Jagi – racjonalny, analityczny – nie pasuje do tego, co ją spotyka?

Dokładnie tak. To język osoby, która przez całe życie polegała na racjonalności, psychologii, wierze, że wszystko da się – mniej więcej – wytłumaczyć. A kiedy coś staje poza tym kręgiem? Jak o tym mówić?

„Urodziny" to też opowieść o Polsce.

O „Miczurinie" mówiłam kiedyś, że to taka Polska Latającego Kufra – nie wiem, czy kojarzysz tę baśń Andersena, ale nawet jeśli nie, to sam tytuł daje podpowiedź. Tamte opowiadania były osadzone w rzeczywistości, którą można by nazwać Polską – Polską fantazmatów, Polską w locie, Polską upchniętą do rodzinnych kufrów. Taki rodzaj społecznej wyobraźni – w jej podstawowych rekwizytach – bardzo mnie literacko interesuje.

„Urodziny" są bardziej osadzone w realnym świecie, choć oczywiście pełnym najróżniejszych fantazmatów.

„Urodziny" dzieją się w Warszawie. Mógłbyś z tą książką przejść miasto i lekko tylko zbłądzić. Są ulice, place, realia. I to było dla mnie ważne, bo było wyzwaniem – trzeba było tę prozę „wylądować", zakotwiczyć. Ale masz rację: opowieść składa się z elementów, skojarzeń, nawiązań, guzików uruchamiających różne plany czasowe i rzeczywistości. Tylko że to nie ja je buduję jako autorka – to robi bohaterka.

Czyli to świat Jagi Babażyny?

Wyobraźmy ją sobie: kobieta, która żyła w różnych rzeczywistościach, opowieściach, sztukach teatralnych. Niosła je na sobie – na swoim ciele, w pamięci. Teatr jest pełen fantazmatów. I to one pozwalają jej się poruszać. Albo – całkowicie się zgubić.

To prowadzi do pytania o duchy. Rozmawianie z nimi to specyfika naszej kultury.

Dla mnie tematem tej powieści nie jest kontakt, ale raczej niemożność kontaktu z duchami. W klasycznym horrorze uznanie istnienia innego świata jest warunkiem gry. Wpuszczasz go do swojej rzeczywistości, choćby tylko uznając, że masz do czynienia z problemem. Groza karze za brak wiary; za zaniechanie.

ROBERT J. SZMIDT
(ur. 1962) – pisarz, tłumacz i redaktor. Autor powieści fantastycznych i sensacyjnych, m.in. „Apokalipsy według Pana Jana", cyklu „Pola dawno zapomnianych bitew" oraz serii „Szczury Wrocławia". Założyciel i redaktor naczelny magazynu „Science Fiction" (2001-2009). Laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla (2022), Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego (2016) oraz Śląkfy (2005, 2015). Mieszka we Wrocławiu.

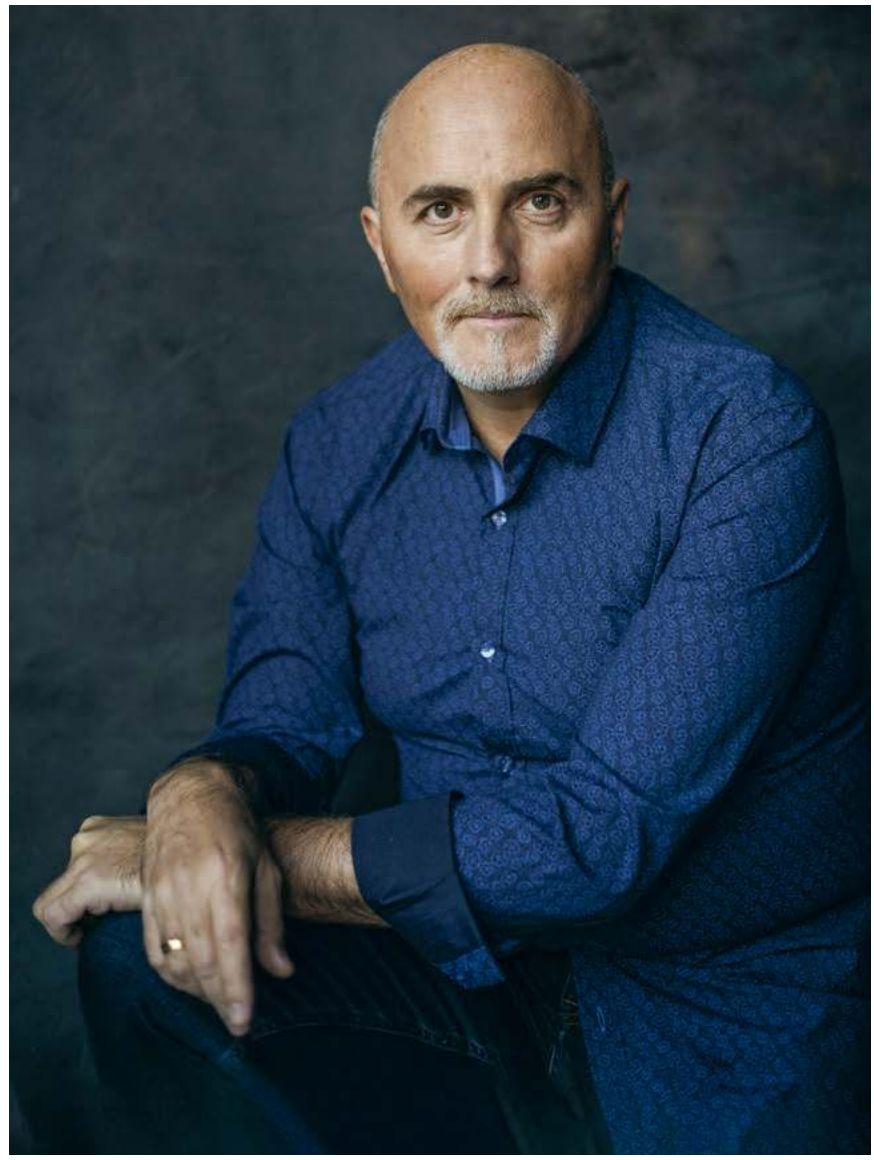

MATERIAŁY PRASOWE

Klasyczny mechanizm horroru: niewierzący umiera pierwszy.

Oświecony mędrek z globusem ginie w trzeciej scenie, chojrak pierwszy wchodzi na strych i przepada, rodzice, którzy nie wierzą dzieciom, ostatecznie muszą przyjąć ich perspektywę – i to popycha akcję. Horror działa, jeśli zgodzisz się grać na jego warunkach. A co, jeśli ktoś tej gry odmawia?

Na Festiwalu Conrada mówimy o wyobrażaniu sobie innej Polski. Wierzysz w zmianę społeczno-kulturową? Czy literatura może tu pomóc?

Nie dam ci przykładu z literatury, ale dam z teatru. I to będzie też odpowiedź na pytanie, czemu ja cały czas wierzę w teatr.

Parę lat temu robiliśmy w Teatrze Współczesnym w Szczecinie spektakl „Spartakus. Miłość w czasach zarazy", inspirowany reportażem Janusza Szwertnera. Dotyczył zapaści psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej w Polsce – był rekonstrukcją dramatycznych warunków w szpitalach. Ale w pewnym momencie spektaklu przychodziło przełamanie i ta okropna rzeczywistość stawała się marzeniem; marzeniem o tym, że wszystkie te osoby, przede wszystkim ze społeczności LGTBQ+, którym rzeczywistość w Polsce nie dawała i nie daje szans na normalne życie, znajdują bezpieczne miejsce. Druga część spektaklu to były śluby par nieheteronormatywnych – w barwnych, ludowych dekoracjach. Wiem, że to tylko teatr – i aż teatr. I wiem, że to tylko błyski. Ale pytasz mnie o ćwiczenia z nadziei – to są właśnie takie ćwiczenia.

Ćwiczenia, które zmieniają wyobraźnię?

To chwila, gdy możesz się przymierzyć do innej rzeczywistości. Wystawić na nią świadomość, wyobraźnię, ciało. Jasne, to trwa chwilę. Ale dla mnie to ma swoją moc. To, co zawsze przyciągało mnie w literaturze, teatrze, filmie, muzyce – to moment wyciągnięcia jakiegoś elementu z wody codzienności i zanurzenia go w czymś innym. On nie sprawia, że coś staje się łatwiejsze, ale sprawia, że coś staje się wyobrażalne. To nie jest mało. Dlatego nie interesuje mnie opowieść, która daje weto w stylu: wszystko źle, taplamy się w błocie, chłop się zapija, babcia płonie. Tylko konstruktywne weto. Stawianie takiego w literaturze jest trudne. Sama jeszcze tego nie potrafię – a może bym chciała. Ale to jak z nadzieją: może czasem trzeba się odważyć.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Polska niejedno ma imię. W prozie **ADAMA UBERTOWSKIEGO, ROBERTA J. SZMIDTA** i **WERONIKI MUREK** rzeczywistość często się rozdwaja – zanika granica między tym, co historyczne, możliwe i fantastyczne. Nasza ojczyzna może być międzyplanetarnym imperium, krainą spowitą przez mgłę melancholii albo mocno już poprzecieraną scenerią egzystencjalnego horroru. Nie istnieje prosty sposób, aby o niej opowiedzieć – każda próba to wybór gatunku, tonu, maski. Podczas spotkania będziemy dyskutować, czy istnieje wspólne doświadczenie Polski – i dlaczego to dobrze, że nie.

Opiewać okaleczony świat

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Czy literatura może pomóc przeżyć wojnę? Czy potrafi ocalić jednostkowe doświadczenie w świecie przemocy i chaosu? W obliczu współczesnych konfliktów wraca pytanie o sens opowieści – i o to, czy nie przychodzą za późno.

Któż mógłby zapomnieć ten »cudowny« czas wojny, kiedy cała literatura tego świata była na naszych ustach, wypowiadana jako niepodważalna prawda, modlitwa albo przekleństwo?" – zanotowała literaturoznawczyni z Sarajewa Nirman Moranjak-Bamburać.

Podobną myśl formułuje ukraiński dziennikarz Oleksandr Myched w „Kryptonimie dla Hioba", kronice pierwszego roku rosyjskiej inwazji: „Całe moje dotychczasowe doświadczenie, poza literackim, wydaje się puste i zbędne" (przełożył Jerzy Czech). W obu przypadkach widoczne jest przekonanie o wadze literatury w sytuacji granicznej, które prowokuje do kłopotliwego pytania: czy może być ona potrzebna do przeżycia wojny?

Której wojny?

Czy to ważne? „*All of war is that way*" – pisze Hemingway. Z kolei w książce „Behind the Lines. Powerful and Revealing American and Foreign War Letters" Andrew Carroll porównał setki listów amerykańskich, niemieckich, rosyjskich i włoskich żołnierzy z różnych okresów. Zaskoczyło go, jak bardzo podobne były ich przeżycia.

We wstępie do polskiego wydania „Kobiety na froncie" Alaine Polcz – autobiograficznej opowieści o terrorze i przemocy seksualnej, jakiej kobiety doświadczyły ze strony żołnierzy Armii Czerwonej – Oksana Zabużko opisuje swoje przerażenie. Patrząc na fotografie ocalałych z Zagłady, uświadomiła sobie, że wychudzeni więźniowie do złudzenia przypominają ukraińskich jeńców pokazywanych wieczorem w telewizji – tych, których wypuścili Rosjanie.

Od wielu jugosłowiańskich pisarzy słyszałam, że na początku lat 90. sięgali po polskich poetów – przede wszystkim Różewicza, Miłosza i Herberta – by w ich wierszach odnaleźć słowa zdolne opisać własne doświadczenia. „»Raport z oblężonego miasta« jak gdyby został napisany w ostrzeliwanym Sarajewie. Polska poezja była wtedy dla mnie czymś głęboko przekonującym, większym niż życie: dawała mi siłę i nadzieję, że odbudujemy się kiedyś od wewnątrz, w sobie" – tłumaczył mi Faruk Šehić.

W jego debiutanckim „Nieśmiertelniku 03 1043" znajdziemy także Ginsberga, Apollinaire'a i Marksa, nawiązania do muzyki rockowej i filmów partyzanckich. Cytaty i parafrazy stają się tu jednym ze sposobów poszukiwania formy i języka zdolnych opowiedzieć o nieprawdopodobnym, a zarazem boleśnie powtarzalnym koszmarze. Intertekstualność wychodzi z borgesowskiego labiryntu i wkracza w aż nazbyt namacalną rzeczywistość błotnistego okopu.

Drugie pytanie brzmi: komu?

Jeśli – za Emmanuelem Lévinasem – uznamy, że wojna to przede wszystkim katastrofa polegająca na totalizacji, czyli ujednoliceniu i zatarciu jednostkowości, wtedy mówienie o niej jako o doświadczeniu uniwersalnym staje się problematyczne. Sprowadzenie wojny do czegoś powtarzalnego oznacza powielanie jej własnej retoryki. Może więc literatura powinna iść w odwrotnym kierunku – próbować przywrócić jednostkowość, a wraz z nią wyjątkowość przeżyć. Ale to także niesie ryzyko: dotarcia do doświadczenia tak osobistego, że staje się nieprzekładalne na język i niemożliwe do opowiedzenia.

Gdy w 1982 r. ukazała się bestsellerowa książka Williama Styrona „Wybór Zofii" (jej popularność spotęgował film z Meryl Streep w roli głównej), wywołała falę kontrowersji. Krytyków nie oburzyło jednak przełamywanie obyczajowych tabu – liczne i dość dosadne sceny seksu sąsiadują tu z obozowymi wspomnieniami Zofii, która cudem ocalała z Auschwitz.

Głównym zarzutem był rewizjonizm historyczny, polegający na uniwersalizacji Zagłady: wyrwaniu jej z konkretnego kontekstu jako masowej eksterminacji Żydów i przedstawieniu jako symbolu zła absolutnego, wymierzonego w całą ludzkość. Zofia jest Polką i katoliczką, a do tego córką antysemity. Jej żydowski kochanek, chory psychicznie i uzależniony od narkotyków, w napadach szału krzyczy: „Dlaczego akurat ty przeżyłaś? Co zrobiłaś, by przeżyć?".

To pytanie w kontekście literatury wojennej i obozowej powraca nieustannie: przymus życia bywa dla bohaterów największą karą. Tak jest w przypadku powieści Aleksandra Tišmy „Kapo", która właśnie po raz pierwszy ukazuje się po polsku. To opowieść z perspektywy jednocześnie ofiary i kata – człowieka, który, usiłując za wszelką cenę przetrwać Auschwitz i Jasenovac, zatracił się w świecie zła. Wiele lat po wojnie cierpi, ale nie szuka wybaczenia, bo wie, że nie jest mu ono dane. Pragnie jedynie zrzucić ciężar swojej tajemnicy i potrzebuje kogoś, kto go zrozumie – a może to zrobić tylko ktoś, kto przeszedł przez podobne piekło, nawet jeśli był jego ofiarą.

Jak zatem mówić?

O potrzebie mówienia połączonej ze strachem przed byciem niezrozumianym opowiadali mi często weterani wojen w Jugosławii. To znów prowadzi do pytania o (nie)adekwatność języka i formy – problemu wielokrotnie podejmowanego w literaturze obozowej. W relacjach z nazistowskich obozów koncentracyjnych często pojawiają się

GRAŻYNA MAKARA

fragmenty mówiące o niewyrażalności tych doświadczeń. Istniejący język okazuje się niewystarczający – by oddać tamte przeżycia, potrzebny byłby nowy, stworzony w realiach tego właśnie okrutnego świata.

Jedną z najciekawszych prób dostosowania formy do opowieści proponuje amerykański poeta Charles Reznikoff. W tomie zatytułowanym po prostu „Holocaust" preparuje autentyczne wypowiedzi uczestników Zagłady – jednak nie ofiar, lecz sprawców. Unika w ten sposób zawłaszczenia, estetyzacji, fikcjonalizacji, a nawet samej narracji. Oszczędny język i faktograficzna metoda sprawiają, że to, co niewiarygodne, staje się realne. Ten tom wciąż jednak pozostaje problematyczny dla czytelników.

W opozycji do tak wymagających dzieł pojawia się od kilku lat popularny nurt określany mianem „pop Holocaustu" lub nawet „holo-polo". Bestsellerowe powieści z Auschwitz w tytule to pełne błędów historycznych, pisane według jednego schematu przesłodzone romanse albo sensacyjne historie epatujące okrucieństwem.

Osiemdziesiąt lat po wojnie i po fundamentalnych pytaniach o etykę estetyzacji Zagłady obóz koncentracyjny stał się atrakcyjną dekoracją dla masowej fabuły. Nie jest to jednak zjawisko wyłącznie naszych czasów – wystarczy przypomnieć stalagi, pornograficzną literaturę obozową popularną w Izraelu w latach 60. Niezbadane są drogi łamania tabu.

ANTONINA PALARCZYK
(ur. 2001) – korespondentka „Tygodnika Powszechnego" z Ukrainy. Studentka psychologii na SWPS Katowice, autorka reportaży z rejonów frontowych, m.in. z Hulajpola i Donbasu, dokumentujących życie cywilów, działania pomocowe i trudności związane z wojną.

Po co wojnie literatura?

Pierwsza, zdawałoby się najoczywistsza odpowiedź brzmi: aby dać świadectwo. Współcześnie istnieją nie tylko pojedyncze osoby, ale i całe ugrupowania polityczne, które negują istnienie komór gazowych i systematycznej zagłady Żydów. Zeznania świadków, procesy sprawców, raporty i dokumenty stają się bronią przeciwko historycznemu rewizjonizmowi, wykorzystywanemu w konkretnych celach politycznych lub wynikającemu z krańcowej ignorancji.

Dlatego tak często pierwsza pojawia się literatura dokumentalna – skrupulatnie odtwarzająca wydarzenia, przywołująca faktyczne szczegóły i osoby, pisana właśnie po to, by pamiętać. Myrosław Łajuk, znany w Ukrainie przede wszystkim jako poeta, w zbiorze reportaży „Bachmut" pisze: „Decyduję się na metodę utrwalania – fotografowania za pomocą tekstu (...) Najważniejsze, że reportaż potrafi coś, co umie tylko poezja: ↦

DŽENAT DREKOVIĆ / MATERIAŁY PRASOWE

FARUK ŠEHIĆ (ur. 1970) – bośniacki pisarz, poeta i publicysta. Z wykształcenia lekarz weterynarii, w czasie wojny dowodził oddziałem w armii Bośni i Hercegowiny. Autor powieści „Książka o Unie" (2011, pol. 2018), zbioru opowiadań „Pod ciśnieniem" (2004, pol. 2021), tomu poetyckiego „Miasto, w którym mnie nie ma" (2020, pol. 2023) oraz książki „Nieśmiertelnik 03 1043" (2024). Laureat Nagrody Literackiej Unii Europejskiej oraz wyróżnień Meša Selimovicia i Mirko Kovača. Mieszka i pracuje w Sarajewie.

↦ uchwycić emocje w locie jak dzikiego ptaka".

A zatem: autentyczność, wierność jak na fotografii, ale też szybkość reakcji. Nierzadko również czarno-biała optyka, bo jak pyta Łajuk: „Czy warto teraz szukać półtonów? Właściwie: czy rozdrabnianie się nie jest przywilejem tych, którzy nie walczą o swoje życie tu i teraz? A może to obowiązek ocalałych?" (przeł. Maciej Piotrowski).

Odpowiedź na pytanie o półtony, zwłaszcza w literaturze powstającej w czasie konfliktu, bywa często przecząca. Ramą moich rozważań o literaturze wojennej pozostaje twórczość dotycząca konfliktów po rozpadzie Jugosławii. Nie tylko ze względu na moje *emploi* – to wojna jednocześnie bliska i daleka: 30 lat po ludobójstwie w Srebrenicy możemy już prześledzić, jak zmieniały się sposoby jej opisywania. Liczni wciąż żyjący uczestnicy nie pozwalają jednak uznać tej opowieści za na wpół mityczną, należącą wyłącznie do porządku historii.

Do opowiedzenia katastrofa totalna

Zauważalna jest pewna interesująca różnica: Chorwaci, dla których była to wojna o niepodległość, początkowo tworzą przede wszystkim literaturę świadectwa, w której wartość literacka schodzi na dalszy plan. Liczy się dokumentaryzm i „prawo do mówienia", zdobywane zwykle na froncie.

Do pisania przystępują amatorzy, notujący własne przeżycia; dominuje czarno-biały obraz świata, podzielonego na swoich i wrogów. Trzeba niemal dekady, by zaczęto opowiadać o konflikcie inaczej

– z większym wyczuciem, świadomością długofalowych konsekwencji, często w formie powieści, a jeśli w trybie autobiograficznym, to także z perspektywy kobiet i dzieci.

Inaczej poetykę świadectwa rozumie się w Bośni, gdzie wojna była przede wszystkim totalną katastrofą człowieczeństwa. Tamtejsza literatura od początku patrzy na świat oczami zwykłego człowieka, uwikłanego w mechanizmy historii, których nie jest w stanie kontrolować. Pisarz staje się świadkiem koszmaru, przejmując na siebie obowiązek moralnej oceny zła.

To proza wyraźnie antywojenna, ale pozbawiona ideologicznego tonu – literatura, która próbuje przywrócić poranionemu światu zdolność odczuwania. Absurd wojny obnażany jest tu najpełniej w zetknięciu z codziennością, drobnymi gestami, rytuałami i mitologizowaną przeszłością.

Ten sposób pisania dobrze oddają dwie powieści Darka Cvijeticia, które niedawno ukazały się po polsku: „Winda Schindlera" i „Czemu na podłodze śpisz?". To proza oszczędna, poetycka, skoncentrowana na detalu. W pierwszej z nich losy kraju uosabia jeden wieżowiec, w drugiej mikropowieści snute są przez kilku narratorów stojących po przeciwnych stronach konfliktu. Fragmentaryczność staje się tu nie tylko formą, lecz koniecznością – o rozbitym świecie nie da się opowiedzieć w całości.

Podczas spotkania porozmawiamy o tym, co zostaje po wojnie – o traumie i o opowieściach, które próbują ją przepracować. A także o poszukiwaniu nowych słów i form, bez których bylibyśmy bezradni wobec ogromu cierpienia. **OŁEKSANDR MYCHED** i **FARUK ŠEHIĆ** – pisarze z dwóch różnych krajów i historii – mierzą się w swoich książkach z przemocą, utratą i pamięcią. Nie interesuje ich patos ani polityka, ale indywidualne życie: dom, który przestał być domem; ciało, które pamięta strach; język, który nie chce (a wręcz nie może) zapomnieć. Rozmowę poprowadzi Aleksandra Wojtaszek.

Jak objąć ten ogrom nieszczęścia?

Paulina Małochleb w eseju o literaturze poświęconej I wojnie światowej przytacza szacunki, według których w stulecie wybuchu konfliktu powstało ok. 25 tysięcy dzieł na ten temat. Na podobne wyliczenia dla II wojny światowej nikt się jak dotąd nie odważył. To oczywiście wojny największe i najczęściej opisywane, ale w historii ludzkości od czasów sumeryjskich wydarzyło się ok. 15 tysięcy konfliktów zbrojnych. Nie trzeba być matematykiem, by zrozumieć, że ich pełne opisanie przekracza nasze możliwości.

Ten zbiór bynajmniej się nie zamyka. Wojna w Ukrainie dzieje się na naszych oczach, tuż za progiem. Słuchamy i czytamy relacje, reportaże, poezję i wojenną prozę tworzoną przez ukraińskich pisarzy. Równocześnie dokonujące się ludobójstwo w Gazie dociera do nas głównie za pośrednictwem mediów – tradycyjnych i społecznościowych – stając się bardziej obrazem niż opowieścią. To ma wielowymiarowe konsekwencje: choć wywołuje silne emocje, ostatecznie prowadzi często do zobojętnienia lub poczucia bezsilności.

Przedstawianie wojny przez obraz nie jest zjawiskiem nowym – pierwszym konfliktem, po którym została obszerna dokumentacja fotograficzna, była I wojna światowa. Dziś możemy śledzić przebieg wojen niemal w czasie rzeczywistym, a jednak ten nadmiar realności nie zwiększa naszej empatii. Doskonałym przykładem są mordowani właśnie teraz w Gazie Palestyńczycy.

Wygląda na to, że wciąż potrzebujemy opowieści – oby nie przyszły zbyt późno.

© ALEKSADRA WOJTASZEK

MATERIAŁY PRASOWE

OŁEKSANDR MYCHED (ur. 1988) – ukraiński pisarz, eseista i kurator projektów artystycznych. Autor książki „J.A." (2019) oraz reportaży „Wymieszam twoją krew z węglem" (2023), przetłumaczonych na kilkanaście języków. Kurator platformy Amnesia Project, współtwórca podkastu literackiego „Station 451". Jego teksty były prezentowane m.in. w USA, Niemczech, Japonii i Korei Południowej. Laureat rezydencji literackich w Niemczech i Czechach. Członek PEN Ukraina. Mieszka i pracuje w Kijowie.

Autorka (ur. 1991) jest tłumaczką literatury południowosłowiańskiej, literaturoznawczynią i dziennikarką. Absolwentka slawistyki i doktor nauk humanistycznych, wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Autorka książki „Fjaka. Sezon na Chorwację" (2022). Laureatka Nagrody za Najlepszy Przekład w konkursie Europejski Poeta Wolności 2024 za tłumaczenie tomu „Okres ochornny " chorwackiej poetki Moniki Herceg.

Skrzynka z narzędziami

MICHAŁ SOWIŃSKI

U islandzkiej pisarki Auður Avy Ólafsdóttir radykalna nadzieja nie przejawia się w wielkich, patetycznych gestach. To pełne spokoju, ale jednocześnie uparte przekonanie, że świat wciąż da się naprawić.

Sama siebie nazywa „optymistyczną pesymistką" – co, nawet w tej ostrożnej wersji, brzmi dziś niemal jak bluźnierstwo. W świecie zdominowanym przez bezprecedensowe kryzysy – globalne i lokalne – brak nadziei stał się domyślną tonacją literatury.

Auður Ava Ólafsdóttir, islandzka prozaiczka, poetka i dramaturżka, od lat idzie pod prąd tej tendencji. Jej fabuły są pełne światła i subtelnego humoru, choć ich bohaterowie mierzą się z dojmującą pustką i brakiem sensu. Dzięki osobliwej mieszance naiwności i uporu zwykle wychodzą z tych starć zwycięsko. Choć nie bez blizn.

„Radykalność" nadziei – o której w tym roku będziemy rozmawiać podczas Festiwalu Conrada – nie musi przyjmować spektakularnych form. Jonathan Lear, autor tego pojęcia, opisywał los rdzennego plemienia z Ameryki Północnej, które, by przetrwać, musiało na nowo wymyślić sposób życia w radykalnie zmienionej rzeczywistości. U Ólafsdóttir chodzi o sytuacje jednostkowe, bliższe naszym codziennym doświadczeniom – bo nieodłączną częścią tragiczności, z którą przychodzi nam się mierzyć, bywa jej... banalność.

Remont na końcu świata

„Blizna", powieść z 2016 r., przyniosła Auður Avie Ólafsdóttir międzynarodowe uznanie. Jej bohaterem jest Jónas Ebeneser, 49-letni rozwodnik pogrążony w kryzysie wieku średniego. Ma poczucie, że jego życie się skończyło. Dorosła córka, jak sądzi, już go nie potrzebuje. Małżeństwo rozpadło się dawno temu. Matka, pogrążona w demencji, przestaje go rozpoznawać. Znika z życia innych – i sam zaczyna znikać z własnego.

Postanawia więc zakończyć wszystko samodzielnie. Nie chcąc robić nikomu kłopotu, planuje samobójstwo z dala od domu – gdzieś, gdzie nikt nie będzie musiał po nim sprzątać. Wybiera kraj, który właśnie podnosi się z ruin po wyniszczającej wojnie domowej (jego nazwa nie pada, ale przypomina Syrię). Kupuje bilet w jedną stronę, rezerwuje pokój w świeżo otwartym hotelu i pakuje tylko najpotrzebniejsze rzeczy – w tym skrzynkę z narzędziami. Jónas całe życie prowadził małą firmę remontową – jest prawdziwą złotą rączką.

Od razu pojawia się pytanie: po co mu narzędzia? Ebeneser tłumaczy sobie, że aby się powiesić, potrzebuje solidnego drążka – a w kraju podnoszącym się z ruin może być z tym problem. To jeden z wielu przykładów mroczno-groteskowego humoru, charakterystycznego dla prozy Ólafsdóttir. Narracja, jak zawsze u tej autorki, prowadzona jest w pierwszej osobie – co każe podejrzewać, że bohater oszukuje nas albo siebie. A może jedno i drugie.

To człowiek, który potrafi naprawić niemal wszystko – poza własnym życiem. A przynajmniej takim go poznajemy. Na miejscu okazuje się jednak, że hotel prowadzi rodzeństwo dwudziestolatków (w wieku jego córki), które ledwo wiąże koniec z końcem, a sam budynek jest w opłakanym stanie. Ebeneser odruchowo zaczyna naprawiać wyrwane zawiasy, poluzowane gniazdka i cieknące krany. Wieść o jego umiejętnościach – niemal nadludzkich – szybko rozchodzi się po okolicy. Sieroty, wdowy, ludzie okaleczeni fizycznie i psychicznie, ustawiają się w kolejce, prosząc o podłączenie prądu, wstawienie okien, naprawę kanalizacji – wszystko, co pozwoliłoby im na nowo zamieszkać w zrujnowanym świecie.

Ólafsdóttir jest mistrzynią balansowania na granicy banału i olśniewającej alegorii. Jej oszczędny styl i zapętlające się wokół jednego tematu motywy przypominają pozytywistyczne dykteryjki przeniesione w realia XXI wieku. Ale to właśnie nadmiar metafor – wysypujących się niemal z każdego akapitu – niuansuje kryzys, przez który przechodzi Ebeneser.

Tak jak bohater książki krok po kroku naprawia otaczający go świat, tak Ólafsdóttir rozbudowuje językową rzeczywistość swojej opowieści. W ciasnym i mrocznym uniwersum pojawia się coraz więcej światła, przestrzeni i powietrza. Liczne remonty toczą się równolegle z poszerzaniem i oczyszczaniem języka – tego, którym Ebeneser próbuje nadać sens własnej historii. W prostych, zbawiennych dla innych czynnościach odnajduje coś, co przypomina sens życia. Dzięki odremontowanemu językowi potrafi to nie tylko poczuć, ale też – choćby nieporadnie – o tym opowiedzieć.

Róża o ośmiu płatkach

W literackim uniwersum Ólafsdóttir naprawiaczy nie brakuje. Elektrycy, hydraulicy, stolarze – ludzie, którzy próbują poskładać na nowo nie tylko domy, ale i siebie. Szczególną odmianą tej figury jest ogrodnik – bohater powieści „Afleggjarinn" (2007), której tytuł można przetłumaczyć jako „odrost" lub „boczna odnoga". Choć książka wciąż nie została przetłumaczona na polski, to właśnie ona przyniosła autorce pierwsze ważne nagrody, przekłady na inne języki i uznanie skandynawskiej krytyki.

Głównym bohaterem i narratorem powieści jest Lobbi – dwudziestokilkuletni mężczyzna, który właśnie doświadczył dwóch życiowych wstrząsów: niespodziewanej śmierci matki oraz narodzin córki (będącej owocem przypadkowego i krótkiego romansu). Zrezygnowany i zagubiony, opuszcza rodzinny dom i wyrusza ↦

365 EHF / STEFÁN KARLSSON / MATERIAŁY PRASOWE

AUÐUR AVA ÓLAFSDÓTTIR
(ur. 1958) – islandzka pisarka, autorka bestsellerowej powieści „Blizna", uhonorowanej Literacką Nagrodą Rady Nordyckiej (2018), która ukazała się w Polsce w 2020 r. w przekładzie Jacka Godka (Wydawnictwo Poznańskie). Jej twórczość wyróżnia się delikatnym humorem, humanizmem i precyzją języka. Studiowała historię sztuki i filozofię, pracowała jako wykładowczyni na Uniwersytecie Islandzkim i jako dyrektorka Muzeum Uniwersyteckiego w Reykjavíku. Jesienią 2025 r. nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukaże się jej powieść „DJ Bambi".

↦ do nieokreślonego kraju na południu Europy, by objąć posadę przyklasztornego ogrodnika. Jego zadaniem jest odtworzenie zapomnianego, ale słynnego niegdyś ogrodu różanego. Z Islandii zabiera ze sobą sadzonki unikalnej odmiany róży o ośmiu płatkach. Proza Ólafsdóttir jest oszczędna, ale metafory potrafią tu rozkwitać szeroko i pięknie.

Jednak samotność, rutyna i konieczność zajęcia się małą córką – którą matka wkrótce przywozi do klasztoru – sprawiają, że Lobbi zaczyna stopniowo porządkować nie tylko ogród, ale i własne życie. Kobieta zostawia dziecko pod jego opieką na jakiś czas; próbują nawet stworzyć coś na kształt rodziny, ale są zbyt młodzi i niedoświadczeni, by mogło się to udać.

Tak jak wcześniej Ebeneser w „Bliźnie", Lobbi skupia się na pojedynczych, konkretnych działaniach: sadzeniu, podlewaniu, gotowaniu, przewijaniu. W tych prostych, powtarzalnych czynnościach odnajduje coś w rodzaju rytmu i sensu – czegoś, czego wcześniej mu brakowało.

Tym razem nie chodzi już o remont, lecz o ogrodnictwo – pielęgnację, przesadzanie, tworzenie nowych odmian. Dbanie o to, co żywe i kruche. Praca Lobbiego nie polega na przywracaniu tego, co było, lecz na towarzyszeniu czemuś, co dopiero kiełkuje – czasem z resztek, które zdążyły już obumrzeć. Stąd tytuł powieści. Życie, sugeruje Ólafsdóttir, nie toczy się liniowo. Przypomina raczej system korzeni – z rozwidleniami, ślepymi zakończeniami i niespodziewanie wypuszczanymi pędami. Czasem coś się urywa, ale w innym miejscu wyrasta coś nowego.

Najzwyczajniejsza kobieta na wyspie

Bohaterka powieści „DJ Bambi", która wkrótce ukaże się po polsku, ma 61 lat. Mieszka samotnie w jednym z bloków, jest na emeryturze i właśnie minęło sześć lat, odkąd złożyła wniosek o operację korekty płci. Urodziła się jako Vilhjálmur, ale od zawsze wiedziała, że to nie jest jej imię. Przez dekady funkcjonowała pomiędzy tym, kim czuła się naprawdę, a tym, kim pozwalał jej być świat. Teraz nazywa się Logn – po islandzku: cisza, bezwietrzna pogoda, zjawisko rzadkie i trudne do uchwycenia, szczególnie na tej surowej, wietrznej wyspie.

Słowo to nie opisuje konkretnego stanu, ale brak: wiatru, ruchu, kierunku. To imię przejściowe, tymczasowe, wciąż czeka, by zastąpić je innym – Guðríður, po ukochanej babce. Rodzina jednak nie wyraża zgody – Logn trwa więc w zawieszeniu. Jak ironicznie zauważają niektórzy (a inni z troską): jest najstarszą transpłciową kobietą na Islandii, a mimo to wciąż nie może być w pełni tym, kim pragnie.

„DJ Bambi" to także opowieść o tym, że tożsamość nie jest czymś, co ustala się raz na zawsze. Nie jest stabilnym fundamentem, ale raczej procesem – fragmentarycznym, narażonym na zewnętrzne zakłócenia, zależnym od pamięci, języka i spojrzeń innych. Przeszłość, która wydaje się punktem oparcia, nieustannie się przemieszcza, wymaga korekt, przypisów, a czasem – bolesnej redakcji. Tym razem Ólafsdóttir nie pyta o przyszłość ani teraźniejszość, ale o to, jak – i czy w ogóle – da się uporządkować to, co za nami.

Powieść ma szkatułkowy charakter. Jej główną osią jest relacja Logn z dawną znajomą ze szkoły, dziś dziennikarką, która postanawia napisać o niej książkę. Logn jest sceptyczna – podejrzewa, że chodzi wyłącznie o modny, dobrze sprzedający się temat transpłciowości. Mimo to kobiety się zaprzyjaźniają, a rozmowy stają się coraz bardziej osobiste. W pewnym momencie dziennikarka stwierdza: „Jesteś najzwyczajniejszą kobietą, jaką poznałam w życiu" – co Logn przyjmuje jako osobliwe, ale cenne uznanie. Projekt książki zostaje zarzucony. Opowieść jednak powstaje – tyle że napisana przez samą bohaterkę.

Jak inni bohaterowie Ólafsdóttir, Logn mówi we własnym imieniu (narracja pierwszoosobowa ma tu kluczowe znaczenie). Jej język jest nierówny, chwilami nieporadny, pełen dygresji i szczegółów. Ale właśnie w tej koślawości (oczywiście po mistrzowsku wystylizowanej przez pisarkę) realizuje się ta wielka potrzeba autentyczności. To sposób mówienia kogoś, kto przez lata nie miał komu opowiedzieć swojej historii. Narracja o codzienności, o rzeczach pozornie małych i nieistotnych, która właśnie dzięki temu staje się tak przeszywająca.

Bo radykalna nadzieja, o której będziemy w tym roku rozmawiać na Festiwalu Conrada, zawsze zaczyna się od małych kroków. Od tego, że ktoś odzyskuje sprawczość, zaczyna mówić własnym głosem, próbuje opowiadać swoją historię na własnych zasadach. To nie jest łatwe. Na szczęście pomaga w tym Auður Avy Ólafsdóttir.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

Bohaterowie powieści **AUÐUR AVY ÓLAFSDÓTTIR** to osoby pogubione, zmęczone, zmagające się z depresją albo żałobą – a jednak podejmujące próbę poskładania codzienności na nowo. Czasem wystarczy skrzynka z narzędziami, innym razem kilka sadzonek róży albo własne imię wypowiedziane na głos. Podczas spotkania z pisarką porozmawiamy o radykalnej nadziei, która nie unosi się ponad rzeczywistość, ale tkwi w niej głęboko – w codziennych gestach i uporze mówienia własnym głosem. Spotkanie poprowadzi Michał Sowiński.

Autor (ur. 1987) jest krytykiem literackim, redaktorem i eseistą. Dyrektor ds. promocji „Tygodnika Powszechnego" oraz redaktor literacki Festiwalu Conrada. Członek jury Nagrody Conrada. Absolwent polonistyki UJ, przez lata związany z krakowską Korporacją Ha!art. Współautor raportu „Pisać może dziś każdy" o kondycji gdańskiego pola literackiego i członek zespołu badawczego w projekcie „Literatura polska po 1989 roku w świetle teorii Pierre'a Bourdieu".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

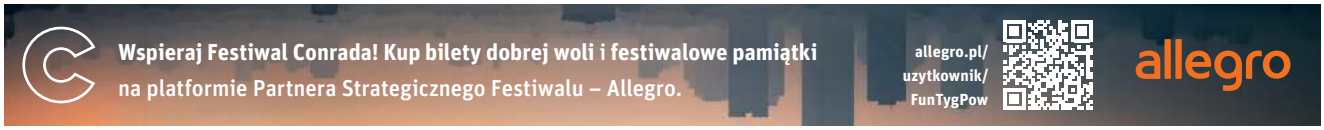

allegro

Jak książki z najlepszej strony, **to Allegro**

Nowości i bestsellery w niskich cenach

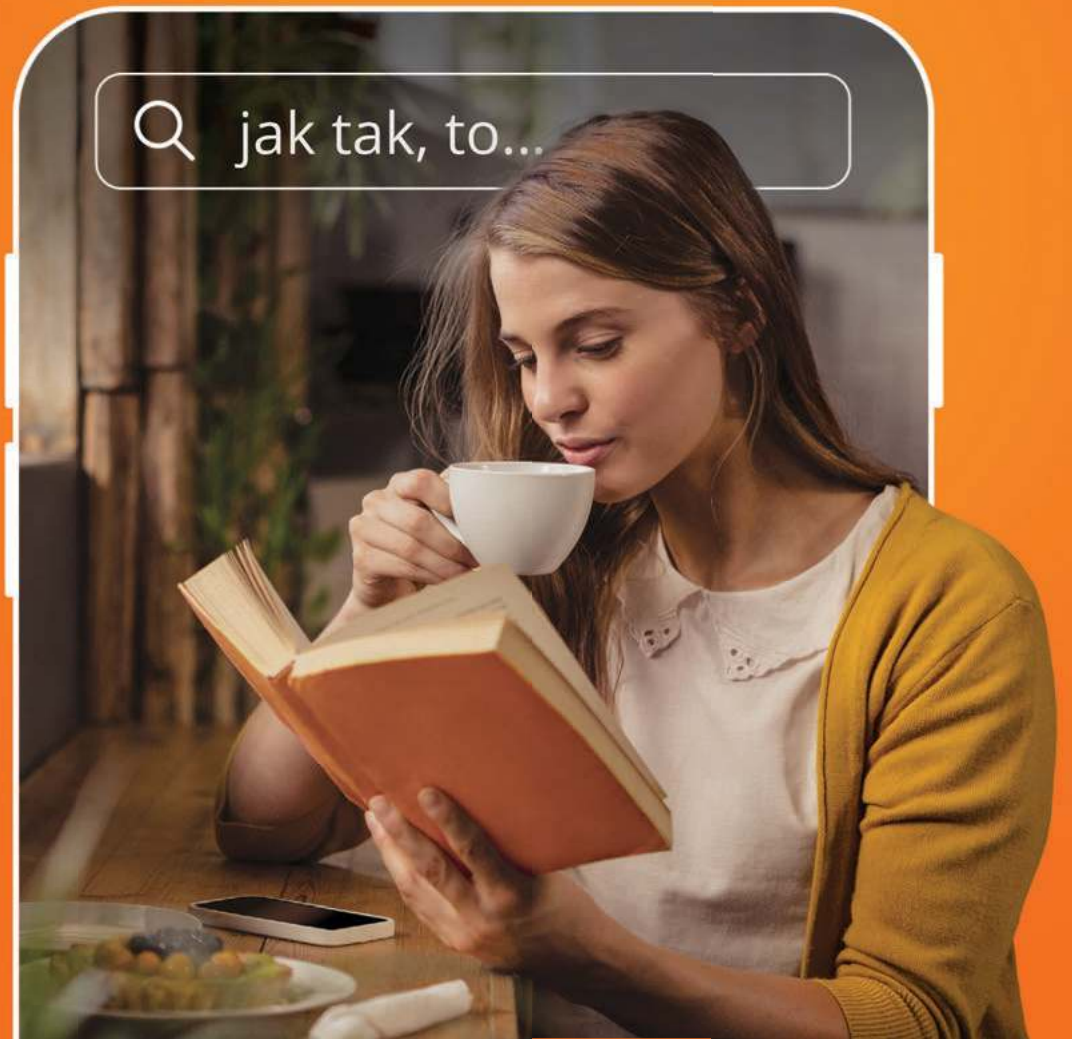

REKLAMA

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA